



LUCIUS SHEPARD

PIĘKNA KREW

UCZTA WYOBRAZNI

Lucius Shepard

PIĘKNA KREW

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH SZYPUŁA

**WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2018**

Tytuł oryginału:
Beautiful Blood: A Novel of the Dragon Griaule

Copyright © 2014 by Lucius Shepard
Copyright for the Polish translation
© 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta:
Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii:
Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-81-9

Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 47 43
www.mag.com.pl

Nocą po krętych uliczkach Morningshade, rozbrzmiewających śmiechem, krzykiem i kakofonią konkurujących melodii, przewalał się tłum pijaków, awanturników, kupców, dziwek, rzezimieszków, kieszonkowców oraz ich nielicznych potencjalnych ofiar. Przechodnie przepychali się, poszturchiwali i przeciskali w kłębach dymu, leniwa rzeka ludzkości odzianej w łachmany i krzykliwą tandetę chlupotała o brzegi tawern i sklepów z ginem, nędznych gospód, podejrzanych zamtuzów i rozchwierutanych domków wspartych na sobie nawzajem niczym zramolali wujowie o szarych gębach w zapadniętych kapeluszach z nasmołowanego papieru. Nad tym wszystkim wypiętrzał się kłęb smolistej czerni – brzuch i bok tułowia Griaule’a, z którego zwieszała się kurtyna pnączy i kępiastych epifitów; niektóre opadały tak nisko, że niemal ocierały się o dachy rysujące się na granatowoczarnym tle nieba.

W miarę jak przepychaliśmy się coraz bliżej smoka, ludzi ubywało, kuchenne wonie słabły, zabudowa rzedła, aż w końcu znaleźliśmy się na półokrągłym ubitym placu (za dnia rozkładał się na nim pchli targ) przylegającym do przygiętej przedniej łapy i potężnej szponiastej stopy Griaule’a. Stała tam tylko jedna godna uwagi budowla, rozchwierutana konstrukcja ze sfatygowanych desek, z mnóstwem mansard, wykuszy i innych architektonicznych ozdóbek: hotel Sin Salida, najbardziej niesławny dom publiczny w całym Morningshade. Dwa smocze pazury zostały wkomponowane w fundamenty budynku, tworząc kolosalne poźółkłe ze starości kościane obramowanie jego wejścia, on sam zaś wznosił się na niewiarygodną wysokość ośmiu pięter i zdawało się, że jest o krok od runięcia w gruzy – chociaż w rzeczywistości był całkiem solidny, a stabilność gwarantowały mu sznury grube jak cumy okrętowe, łączące go z łuskowatą kostką łapy Griaule’a, o którą się opierał.

Na stopniach przy wejściu stało pół tuzina kobiet w

aksamitnych szarawarach i z obnażonymi piersiami oraz większa od nich liczba mężczyzn, podejrzanych z wyglądu i w większości uzbrojonych w maczety. Wśród nich ganiały bawiące się w berka dzieci w jasnoniebieskich spodniach i koszulach, który to strój był jak hotelowy uniform dowodzący ich przynależności do Sin Salida. Z początku nikt nie zwracał na nas uwagi, kiedy jednak znaleźliśmy się w zasięgu głosu, wszyscy – zarówno dzieci, jak i dorośli – zwrócili się w naszą stronę, jakby zareagowali na jakiś niesłyszalny dla nas sygnał. Na ich twarzach malowało się niepokojące połączenie wielkiego skupienia i całkowitej obojętności. Dziwna poza szybko jednak zniknęła, a gospodarze wybiegli nam na spotkanie z uśmiechem i szeroko rozpostartymi ramionami, zapraszając do skorzystania z gościny.

Braulio DaSilva, *Dom Griaule'a*

Dwudziestosześcioletniego Richarda Rosachera, świeżo upieczonego lekarza (nikomu nie chwalił się swoim wykształceniem, a jego dyplom lekarski spoczywał na podłodze sypialni pod stertą brudnych ubrań), cechowała żarliwa determinacja, jakiej prędzej można by się spodziewać po człowieku dwukrotnie starszym i znacznie bardziej doświadczonym. Od najwcześniejszego dzieciństwa fascynował go smok Griaule – długi na milę stwór, sparaliżowany przed tysiącami lat rzuconym przez czarownika zaklęciem – pod którym i wokół którego skupiło się miasteczko Teocinte. W miarę dorastania jego dziecięca fascynacja wykryształizowała się w obsesyjną naukową ciekawość, zarazem jednak wciąż rozpieierała go nieokiełznana młodzieńcza arogancja, przez którą łatwo wpadał w złość. Jego mieszkanko, zajmujące część pierwszego piętra hotelu Sin Salida w Morningshade (najuboższej dzielnicy Teocinte, tak bardzo wtulonej w bok smoka, że nie docierało do niej światło brzasku), gorszyło go nie tyle swoją nędzą, ile raczej fatalnym kontrastem z gustownie urządzonymi wnętrzami, jakie – wedle jego wyobrażenia – człowiek o jego statusie i pozycji powinien zamieszkiwać. Czuł wprawdzie głęboką sympatię dla mieszkańców hotelu (prostych ludzi – robotników, złodziei, prostytutek i tym podobnych), ale uważał, że on sam zasługuje na lepsze otoczenie, i wyobrażał sobie, że pewnego dnia, w nieodległej przyszłości, będzie obracał się wśród poetów, artystów i naukowców, a łoże dzielił z kobietami, których uroda i wdzięk są emanacją ich wrażliwych, wyrafinowanych dusz. Jego snobistyczną postawę wzmocniało oburzenie na mieszkańców Teocinte, traktujących smoka jak przedmiot przesądów, boską istotę, która siłą swojej prastarej woli oddziałuje na ich zachowania, nie zaś jak wybryk natury, gigantycznego jaszczura godnego uwagi wyłącznie ze względu na

ogromną wartość naukową. Z tych właśnie przyczyn, kiedy na drodze do realizacji jego ambicji stanął Timothy Myrie, niechlujny wrak człowieka, którego jedyną ambicją było codzienne upijanie się do nieprzytomności, Rosacher zareagował w sposób najzupełniej przewidywalny.

Do konfrontacji doszło późnym wieczorem u Rosachera w saloniku – wąskim pokoju ze skosem, gdzie sufit przecinały poczerniałe od sadzy belki stropowe, a pędzel czasu nadał ścianom szarawo-śmietankowy odcień nadpsutego jaja i pokrył je mapą zacieków w kolorze zaschniętego moczu. Sklepienie w narożnikach podierały kratownice pajęczyn wydymanych wiatrem zawiewającym przez uchylone okno w wykuszu. Świeże powietrze, choć w miarę rześkie, niosło dyskretną nutę rynsztoka i nie było w stanie rozproszyć woni nieprzeliczonych zgorzkniałych żywotów. Rosacher zepchnął sofę i krzesła pod ścianę, robiąc miejsce dla dębowej skrzyni z lodem i topornie wykonanego warsztatu, na którym poniewierały się rozrzucone papiery, a także używany mikroskop, szkatułka z wiśniowego drewna zawierająca fiołki, szkiełka i odczynniki, nieumyty talerz z resztkami kolacji (kostkami kurczaka i skórką od chleba) oraz lampa olejna, której liche żółte światło w sam raz wystarczało do podkreślenia nędznej natury wnętrza. Myrie – w za dużym o kilka numerów szynelu i miękkim kapeluszu z obwisłym rondem, którego cień skrywał ściągniętą w grymasie twarz – sterczał obok warsztatu w pozie zdradzającej lekkie niezadowolenie. Stojący na wyciągnięcie ręki Rosacher – którego szczupła, przystojna twarz, bystre oczy, połyskliwe brązowe włosy i wyraźna witalność silnie kontrastowały z wizerunkiem jego gościa – mierzył go spojrzeniem spode łba. Ubrany w luźną białą koszulę i pumpy z moleskinu, trzymał w wyciągniętej ręce garść wymiętych banknotów, których Myrie ku jego wielkiemu zdumieniu nie chciał przyjąć.

– Mało – wyjaśnił Myrie. – Myślałem, że mi serce całkiem wysiądzie, tak się przeraziłem.

– Nie stać mnie na więcej – odparł stanowczo Rosacher. – Może następnym razem.

– Następnym razem? Nie zamierzam tam w najbliższym czasie wracać. Nie po tym, co tam widziałem.

– Rozumiem, w porządku. Ale zawarliśmy umowę.

– A i owszem, zawarliśmy. A teraz zawrzemy nową. Chcę stówę ekstra.

Frustracja Rosachera przerodziła się w gniew.

– To nie była trudna robota, byle dureń by sobie poradził!

– Skoro to takie proste, dlaczego sam nie pójdiesz? – Myrie zastrzygł uchem, jakby oczekiwał odpowiedzi. – Powiem ci, dlaczego: bo nie masz ochoty zakradać się do pyska kurewsko wielgachnego smoka i odsysać krwi z jego jęzora! Zresztą wcale ci się nie dziwię. To nie jest przyjemne doświadczenie. – Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. – Stówą ekstra to i tak będzie taniocha.

– Nie mam pieniędzy! Wbij to sobie do głowy!

– W takim razie nie dostaniesz swojej cennej krwi. – Myrie poklepał się po kieszeni na piersi. – W mieście ostatnio nie brakuje świrów, każdy chciałby mieć stąd pamiątkę. Może znajdzie się ktoś, kto zapłaci moją cenę.

– Dobrze! – warknął Rosacher, piniąc się w środku. – Dostaniesz swoje pieniądze.

Myrie uśmiechnął się z wyższością.

– Mówiłeś, że nie masz...

– Pożyczę od jednej dziewczyny z parteru.

– Masz kochaneczkę? – Myrie zacmokał z aprobatą. – No to śmiało, idź ją poproś.

– Przynajmniej włóż krew do lodówki. – Rosacher ze wszystkich sił starał się nie krzyzczeć. – Nie chcę, żeby rozkład postępował.

Myrie obrzucił dębową skrzynię podejrzliwym spojrzeniem.

– Chyba jednak zatrzymam ją przy sobie, dopóki nie zobaczę tej stówki.

– Na litość boską, człowieku! Dziewczyna może być zajęta. Może nie mieć dla mnie czasu. Włóż krew do lodówki. Wróć z forszą najszybciej, jak się da.

– Która to z dziewczyn?

– Ludie.

– Ta czarna sucz? Na pewno będzie miała kasę na zbyciu. Ma wzięcie. – Myrie konspiracyjnie zniżył głos, jakby wyjawiał Rosacherowi pilnie strzeżony sekret. – Słyszałem, że jest wprost wyjątkowa; ponoć ma dodatkowe mięśnie w... trala-la-la-la.

I uśmiechnął się oblesnie, jakby oczekując potwierdzenia tych pogłosek.

– Proszę – powiedział tylko Rosacher. – Krew.

Myrie teatralnym gestem sięgnął za pazuchę i wyjął weterynaryjną strzykawkę wypełnioną złotym płynem. Pokazał ją Rosacherowi z przesadnie rozanieloną miną, jakby pokazywał dziecku cudowną zabawkę, po czym otworzył dębową skrzynię, położył strzykawkę na lodowym bloku, zamknął wieko i usiadł na nim.

– Bardzo proszę – powiedział. – Będzie bezpieczna do twojego powrotu.

Rosacher zmierzył go nienawistnym wzrokiem, zakręcił się na pięcie i wyszedł do sypialni.

– Ej! – zawołał za nim Myrie. – Dokąd to?

– Buty muszę włożyć!

Rosacher wyciągnął buty spod łóżka. Irytowała go perspektywa proszenia Ludie o pieniądze. Kiedy zmagął się z opornym lewym butem, próbując go wzuć, ogólny bałagan panujący w jego życiu, pocerowane pończochy, prująca się kamizelka, złachmaniony płaszcz i nędzne drobiazgi osobiste zaczęły nagle boleśnie podkreślać jego ubóstwo.

Uczucie upokorzenia zgasało jednak zdmuchnięte przypływem lodowatej determinacji. Jak można ulegać komuś takiemu jak Myrie?! I jak ten bandyta śmie kazać mu zwlekać choćby chwilę z przebadaniem smoczej krwi?! To niedopuszczalne. Odrzucił buty i wrócił do saloniku. Z każdym kolejnym krokiem wzbierał w nim gniew.

Myrie spojrział na niego pytająco i chyba chciał coś powiedzieć, jednakże zanim zdążył otworzyć usta, Rosacher złapał go za kołnierz, szarpnięciem postawił na nogi i pchnął na ścianę. Mały człowieczek grzmotnął głową w mur i osunął się na podłogę z

wilgotnym młaśnięciem. Rosacher ponownie chwycił go za kołnierz i tym razem wyrznął jego twarzą o deski, po czym, klnąc wściekle, obrócił go na wznak, dźwignął na nogi i rzucił nim o drzwi. Przydusiwszy go przedramieniem, drugą ręką namacał klamkę. Krew z nosa zalewała Myriemu usta, różowa bańka wezbrała na wargach i pękła. Rosacher otworzył drzwi, wypchnął Myriego na korytarz i patrzył, jak ten znów osuwa się bezwładnie. Zamierzał rzucić jeszcze jedno przekleństwo na odchodnym, ale cały aż trząśł się z wściekłości i nie mógł zebrać myśli, patrzył więc tylko, jak Myrie z wysiłkiem podnosi się na czworaki. Czerpał z tego widoku prymitywną satysfakcję i zarazem był przerażony tym, jak łatwo stracił panowanie nad sobą. Choć, jak sobie tłumaczył, miał ku temu dobry powód.

Nie znalazłszy żadnej stosownej obelgi, kopniakiem wyrzucił za próg kapelusz Myriego i zamknął drzwi.

Na uniwersytecie Rosacher specjalizował się w hematologii, ale poetycka natura krwi, tego czerwonego szeptu życia krążącego w jaskiniach ciała, zaintrygowała go na długo przed podjęciem studiów. Naturalną kolejną rzeczą zainteresowania naukowe w połączeniu z fascynacją smokiem doprowadziły go do prawdziwej obsesji na punkcie smoczej krwi. Nie mógł uwierzyć, że nikomu dotąd nie przyszło do głowy, żeby ją zbadać. Krew, która – pompowana przez serce uderzające raz na tysiąc lat – nie krzepnie, utrzymując stan płynny wbrew nieubłaganej logice fizyki... Potencjalne korzyści płynące z takich badań były wręcz niewyobrażalne. Odkąd jednak obejrzał pod mikroskopem sporządzony własnoręcznie preparat i stwierdził, jak niewiele wspólnego ma ta złota ciecz z ludzką krwią, zwątpił w wartość ewentualnych wyników analiz. Przede wszystkim krew była pozbawiona dających się wyróżnić krwinek. Owszem, roiło się w niej od mikroskopijnych struktur, które rysowały się ciemnym konturem na tle złocistego osocza, lecz struktury te nieustannie pojawiały się, mnożyły i przeobrażały, przechodziły błyskawiczne metamorfozy, nie zachowując dłużej żadnej trwałej formy i charakteru, by w końcu zupełnie się rozpuścić. Po ponad godzinie obserwacji Rosacher doszedł do wniosku, że krew Griaule'a stanowi nośnik dla wszelkich możliwych kształtów, z których każdy zmienia się w jakiś inny. Kiedy zaczęło mu dokuczać zmęczenie, przetarł tylko oczy, ochlapał twarz wodą i zaraz znów pochylił się nad mikroskopem w nadziei na dostrzeżenie jakiejś prawidłowości tych zmian – a gdy niczego podobnego nie znalazł, zaczął się przychyłać do konkluzji, że ma do czynienia z substancją magiczną, całkowicie niepodatną na obserwacje naukowe. Mimo to wcale nie chciał się uwolnić od swojej obsesji, urzeczony nieskończonością widocznych pod mikroskopem zmiennych wzorów, wielością konturów

tajemniczych struktur, ruchomą mozaiką złota i ciemnych szczegółów, pulsujących tak, jakby odzwierciedlały falowanie przesycającej je rytmicznej siły; jakby krew sama sobie była napędem i nie wymagała serca, które musiałoby ją tłoczyć i utrzymywać w ruchu. I może tak właśnie było. Nie widząc innego wytłumaczenia, Rosacher uznał, że powinien wobec tego przeniknąć działanie tego mechanizmu i zbadać, czy nie dałoby się go przenieść do krwi człowieka.

Przyszło mu do głowy, żeby pójść na spacer. Aktywność fizyczna powinna ukoić wzburzony umysł, który, odświeżony w taki sposób, mógłby zająć się następnie tworzeniem jakiejś użytecznej strategii empirycznej. Na razie jednak Rosacher nie był w stanie oderwać się od mikroskopu, bez reszty zniewolony proteuszowym pięknem rozkwitających przed nim deseni – na przemian to delikatnie rozmytych jak frotaż, to rysujących się ostro na złotym tle.

Wyglądało na to, że krew Griaule'a zawiera jakiś składnik, który – wbrew nieuchronnemu upływowi czasu – zapobiega jej rozkładowi. Rosacher nie próbował nawet spekulować, czy jest to jej naturalna właściwość, czy raczej skutek działania zaklęcia, które unieruchomiło smoka, przyszło mu jednak do głowy, że niestałość składu krwi i ewolucja jej komponentów mogą być przejawem nieustannej adaptacji do przepływu czasu przez materię. Może to właśnie ten proces powstrzymywał jej rozkład. Wniosek ten wypływał najprawdopodobniej nie tyle z jakiegoś świadomego procesu dedukcyjnego, ile wprost z krwi, jakby stanowił podstawową informację zawartą w jej strukturach, którą Rosacher przyswoił sobie nieświadomie na drodze obserwacji. Mimo że przyjęcie tak niedorzecznej konkluzji przeczyło jego naturze, złapał się na tym, że nie potrafi jej ot tak, po prostu odrzucić, a gdy ostatecznie się z nią pogodził, zdał sobie sprawę, że krew nie tyle zawiera jakiś nadzwyczajny składnik przeciwkrzepliwy, ile raczej – być może – stanowi uniwersalne lekarstwo na niszczyielską działalność czasu i wszelkie przypadłości związane ze starzeniem się. Zaaferowany migotliwą mozaiką preparatu ledwie usłyszał pukanie do drzwi.

– Richardzie?! – zawołała Ludie. – Jesteś tam?

Zniecierpliwiony otworzył drzwi. Miała na sobie halkę i falbaniasty gorset, na jej kakaowej, nieco kociej twarzy malowało się zatroskanie. Już miał powiedzieć, żeby przysłała kiedy indziej, kiedy mężczyzna o żuchwie wielkiej i kanciastej jak obudowa latarni odepchnął ją na bok. Przerastał o głowę Myriego, który wyglądał zza jego pleców, i był dość podobnie odziany: szynel, ubłocone wysokie buty, miękki kapelusz. Twarz akromegalika przecinał groteskowy uśmiech; w porażonych zapaleniem dziąsłach zbrązowiałe zęby sterczały pod wszelkimi możliwymi kątami.

– Czołem! – rzucił wesoło i grzmotnął Rosachera pięścią w skroń.

Kiedy Rosacher doszedł do siebie na tyle, by znów zacząć rejestrować otoczenie, stwierdził, że leży na podłodze ze związanymi rękami i nogami. Ludie kuliła się obok niego, a dwaj mężczyźni – Myrie i dryblas, który go uderzył – przeszukiwali pokój, rozrzucali książki i papiery, zwałali wszystko z półek. Kiedy przewrócili mikroskop, zaprotestował słabo, czym zwrócił na siebie uwagę dryblasa. Mężczyzna przyklęknął przy nim, złapał go za przód koszuli i podniósł tak, że ich nosy znalazły się w odległości dosłownie paru cali. Oszołomionemu Rosacherowi, któremu głowa pulsowała bólem, chropowata twarz tamtego wydała się abstrakcyjną kompozycją pieprzyków, plamek, żyłek i głębokich bruzd, zdominowaną przez dwoje niedopasowanych oczu (jedno było piwne, drugie zielone); jałową krainą, w której utworzyły się dwa dziwnie pokolorowane stawiki.

– Gdzie masz pieniądze? – zapytał dryblas. Cuchnący zgnilizną oddech buchnął mu z ust jak fala smrodu z gwałtownie otwartej stajni.

Rosacherowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby kłamać: wskazał kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła, po czym otumaniony i zrozpaczony patrzył, jak intruz opróżnia mu portfel. Ludie jęknęła ze zgrozy.

– To nie może być wszystko! – Dryblas rzucił Rosacherowi w twarz skromną garść banknotów. – Za mało! O wiele za mało!

– Mówiłem ci, że nie ma pieniędzy, Arthurze – rzekł Myrie, stając obok niego. – To jego dobytek jest naprawdę cenny.

– Dobytek? To badziewie?

Dryblas z niesmakiem odepchnął Myriego, który omal nie stracił równowagi. Rosacherowi przyszło na myśl, że tylko niezwykle wyrafinowanemu zrządzeniu losu może zawdzięczać pobicie i okradzenie przez typków o imionach Timothy i Arthur.

Myrie, zapałszy się o warsztat, żeby nie upaść, wziął do ręki mikroskop.

– Za to na pewno dostaniemy okrągłą sumkę!

Arthur wybałuszył oczy.

– A do czego to?

– On przez to ogląda krew.

– Krew, powiadasz?

– Może ją obejrzyć z bardzo bliska.

– Aha. No, to rzeczywiście istny skarb.

Myrie uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Serio – ciągnął tymczasem Arthur. – Zaniesiemy to coś do sklepu Teda Crandalla. Słuchaj, Ted, powiem mu, na pewno masz dziesiątki... co ja mówię, na pewno masz setki klientów, którzy nie mogą się doczekać, żebyś sprzedał im przyrząd do oglądania krwi. Z bardzo bliska! – Pokręcił smętnie głową. – Jak mi Bóg miły, Tim, prawdziwy z ciebie mistrz, kurwa.

Myrie przestał się uśmiechać, ale zaraz znów się rozpromienił. Podszedł do skrzyni z lodem.

– Ma jeszcze to! – obwieścił i pokazał Arthurowi strzykawkę. – Przywiązuje do tego wielką wagę.

Arthur podsunął strzykawkę pod lampę i przyjrzał się jej badawczo.

– To ta krew?

– Myślę, że znajdziemy kupca, który sporo za nią zapłaci – powiedział Myrie, wskazując Rosachera.

Arthur spojrzął na niego z niesmakiem. Bez słowa wcisnął kciukiem tłoczek i siknął złotą krwią na płaszcz kompana. Myrie kwiknął i odskoczył pośpiesznie.

– Ty bezmózgi ośle! – złażał go Arthur i jeszcze raz obryzgał

krwią. – To po to wyciągnąłeś mnie z knajpy?! Nie zapomnę ci tego. Wisisz mi dużą kasę.

Wydawało się, że już, już wyjdzie z pokoju, gdy nagle znów spojrzął na Rosachera.

– A ty na co się gapisz?

Rosacher, który jeszcze nie doszedł do siebie na tyle, żeby wyraźnie artykułować słowa, próbował jako tako inteligentnie udawać, że się nie gapi.

– Rozumiem... – Arthur wykonał zamaszysty gest strzykawką, w której zostało jeszcze sporo złotej cieczy. – Martwisz się o krew.

– Mógłbyś... – Rosacher wykaszłał grudę flegmy. – Mógłbyś odłożyć ją na miejsce?

Arthur przyłożył dłoń do ucha.

– Co mógłbym? Nie dosłyszałem końcówki.

– Krew się rozłoży, jeśli nie będzie odpowiednio przechowywana.

– W rzeczy samej! A nie chcielibyśmy przecież, żeby się rozłożyła. Może w takim razie umieszczę ją w jakimś bezpiecznym miejscu, hmm?

Arthur padł na jedno kolano i złapał Rosachera za gardło, a potem wbił mu igłę strzykawki w udo. Rosacher krzyknął i próbował się wyrwać, ale wtedy Myrie uklękła mu na nogach i je unieruchomiła. Arthur wcisnął tłoczek.

Jedynym natychmiast odczuwalnym skutkiem zastrzyku był chłód rozlewający się po mięśniach uda. Szczercząc zęby, Arthur upuścił na wpół pustą strzykawkę na pierś Rosachera i wstał.

– No dobrze – powiedział. – Moje zadanie skończone.

Po tych słowach wyszedł. Myrie skorzystał jeszcze z ostatniej okazji, żeby napluć Rosacherowi w twarz, i wybiegł w ślad za Arthurem.

Ludie uklękła przy Rosacherze i zaczęła się mocować z jego więzami.

– Zmusili mnie, Richardzie! Tak mi przykro!

Gadała cały czas, szarpiąc się z węzłami, rozwiązała mu ręce, nogi, dopytywała się, jak się czuje, a jej głos dochodził do niego dziwnie stłumiony, jakby mówiła z wnętrza szafy. Odrętwiający

ziąb po ukąszeniu strzykawki rozpląnął się i ciało Rosachera zalała fala ciepła i cudownego samopoczucia. Przyszło mu do głowy, że mógłby usiąść, lecz impuls ten nie przeobraził się w wysiłek woli. Wszystko, co widział, nabrało niezwykłego połysku. Pajęczyny mieniły się jak utkane z platynowych nici, deski lśniły ziarnistą perfekcją szarego marmuru, odłamki potłuczonych szklanych naczyń skrzyły się feerią rozszczępionych barw niczym najrzadsze klejnoty. Wszystkie rozrzucone na podłodze przedmioty współtworzyły dekorację pomieszczenia, jakby panujący w nim godny pożałowania nieład był dziełem artysty, który – obdarzony dekadencją wrażliwością – usiłował stworzyć namiastkę zaniedbania przy użyciu najszlachetniejszych materiałów. Na co dzień Rosacher uważał Ludie za śliczną dziewczynę, teraz jednak wydała mu się absolutnym ideałem kobiecej urody. Włosy obcięte krótko, przy skórze, przydające filuterności bystrej trójkątnej twarzy o ostro zarysowanych kościach policzkowych, ogromnych oczach i ustach, na których (na skutek drobnej wady zgryzu) utrzymywał się naturalny wyraz wiecznego nadąsania; zagłębienie u nasady szyi, które codziennie rano osładzała wodą miodową z sokiem z limonki; piersi ledwie opięte szkieletem koronkowego gorsetu... Wylicznanka jej powabów stawała się coraz bardziej intymna, aż w końcu podniecony porwał Ludie w ramiona i przeniósł na łóżko. Zaskoczona jego nagłym powrotem do pełni sił zapytała, co robi. Próbował jej odpowiedzieć, ale jego myśli, zamiast układać się w liniową sekwencję, rozkwitały na wszystkie strony, tworząc ulotne fantazje podporządkowane niemożliwej do ujęcia w słowa logice. Dotyk skóry Ludie był jak dotknięcie jedwabiu. Wszystkie bujne detale jej figury składały się na dzieło architektoniczne, w którego samym centrum znajdowało się źródło światła. To jej anima, pomyślał Rosacher. Jej duch. I kiedy się z nią zespolił, kiedy ich ciała skleiły się w zwierzęcym rytmie, dążył do tego jej blasku, nurkował ku niemu, aż ich światła połączyły się w efektownej fuzji zakończonej strzaskaniem pryzmatów w jego oczach i dezorientującą mnogością cudownych odczuć, z których chyba nie wszystkie były jego

własne.

Po długiej chwili zostawił Ludie drzemiącą w łóżku, wciągnął spodnie i stanął przy oknie w saloniku, skąd rozpościerał się widok na dachy okolicznych bud i baraków, a także na nieco bardziej okazałe i mniej podupadłe domy schodzące koślawymi rzędami ze zbocza, a wyżej przechodzące płynnie w tułów Griaule'a. Sam smok był widoczny tylko jako kopiec ciemności obrysowany poświatą księżyca, który niedawno wszedł. Tu i ówdzie okna budynków wyróżniały się migotliwymi światłami, wyglądającymi jak gwiazdy nanizane na złote nici i tworzącymi naziemne konstelacje – nie były to jednak łatwe do ogarnięcia sylwetki byka, wojownika czy tronu, lecz skomplikowane rysunki złożone z mnóstwa linii i punktów, niczym podświetlone plany budowlane. Rosacher zaczął podejrzewać, że tworzony przez nie obraz – podobnie jak desenie widziane w krwi Griaule'a – zawiera informacje, które bez udziału obserwatora nakładają się na elektryczne schematy funkcjonowania jego mózgu i samoczynnie nadają istocie przekazu zrozumiałą formę. Po kwadransie wpatrywania się w nie zdał sobie sprawę, że rozwiązanie trapiącego go problemu jest na wyciągnięcie ręki.

Odpowiedź była tak prosta, że kusiło go, by z powodu tej właśnie prostoty od razu ją odrzucić; przecież rozwiązanie tak oczywiste musiało być niedoskonałe. Ostatecznie jednak pozostała mu tylko jedna wątpliwość: czy mniejsza dawka wywołałaby takie same skutki jak duża porcja, którą przyswoił? Stwierdziwszy, że nie ma innych pytań, zajął się etyczną stroną problemu. Wprowadzenie planu w życie równałoby się złamaniu przysięgi lekarskiej, byłoby wykroczeniem najwyższej wagi... Ale czy wierność przyrzeczeniu była w sensie etycznym znacząco lepsza niż możliwość sfinansowania dalszych badań?

Nad ranem, gdy efekt działania smoczej krwi zaczął słabnąć, Rosacher stał się wyjątkowo drażliwy; mógł to być objaw odstawienia, który jednak szybko ustąpił, pozostawiając po sobie (najwidoczniej trwałe) zadowolenie i znakomite samopoczucie. Zastanawiał się, czy owa drażliwość nie wynikała czasem z wielkości wstrzykniętej mu dawki; gdyby okazało się, że krew

nie wywołuje fizycznego uzależnienia, mogłoby to utrudnić przeprowadzenie planu. Po chwili jednak dotarło doń, że uzależnienie psychiczne aż nadto wystarczy do realizacji jego celu. Mieszkańcy Morningshade, pozbawieni wszelkich wpływów i perspektyw na lepsze życie, zapłacą każde pieniądze za przeobrażenie swoich nędznych domostw w pałace, a kochanków w seksualne ideały. W dodatku nie mieli ani krztyny silnej woli (on w każdym razie nigdy jej nie dostrzegł), która pozwoliłaby im oprzeć się pokusie – bez względu na cenę.

Miasteczko Teocinte rozlewało się spod boku Griaule'a na znaczny obszar doliny Carbonales. Po drodze zagarniało wyrastające z jej dna gruzłowate wzgórze (zwane Zmienną Grzędą na pamiątkę znajdującej się tam niegdyś gospody), na którym stały białe gmachy rządowe oraz kościół w budowie, i dalej rozprzestrzeniało się na ponad milę we wszystkich kierunkach, przechodząc w końcu w skupiska rozpadających się chałup tak samo popadłych w ruinę jak zabudowa Morningshade. Mimo że paraliż Griaule'a zdawał się stanem trwałym, nikt jeszcze nie odważył się pobudować w pobliżu smoczego łba; prawdopodobnie perspektywa codziennego oglądania rozwartej paszczy tuż za progiem domu była dla potencjalnych mieszkańców zbyt niepokojąca. Okolica zarosła więc kępami palmy sabalowej, krewetkowcami, dzikim hibiskusem, akacją, bananowcami i kolcowojem.

Od spotkania z Myriem i Arthurem upłynęły trzy dni. Stojąc o zmierzchu w gąszczu zarośli, Rosacher cieszył się w duchu, że Myrie zlekceważył wartość jego badań. Widziana z odległości stu stóp spoczywająca na ziemi głowa Griaule'a górowała nad całą okolicą. Jej groteskowy kształt przywodził na myśl fantazyjny projekt budowlany, urzeczywistnienie niewiarygodnej wizji mistrza murarskiego, który przeobraził bramę do pałacu w gigantyczną podobiznę bestii. Złote łuski poniżej krawędzi grzebienia ciemieniowego połyskiwały lekko w resztkach dziennego światła. Widoczne pod wybrzuszeniem łuku brwiowego oko ziało czernią, jakby oczodół był pusty. W obramowaniu górnej szczęki i skrzyconych spiralnie kłów (z których każdy miał wysokość palmy sabalowej, a obwieszony girlandami mchu przypominał ozdobę z rzeźbionej kości) kryła się pieczara smoczej gardzieli niczym przejście do świata podziemnego.

Było zimno jak nigdy przedtem w dolinie i z ust Rosachera buchała para. W miarę jak blask dnia przygasał, ze smoczej paszczy poczęły dobiegać dźwięki wydawane przez zwierzęta zimujące w głębi ciała Griaule'a: zawodzenie żab, przenikliwe piski nietoperzy i chrypliwe, osobliwie radosne okrzyki, których Rosacher nie potrafił zidentyfikować. Cienie zgęstniały, połączyły się i owady jęklwym bzyčeniem obwieściły nastanie prawdziwej nocy. Strach przyprawiał go o ból głowy. Musiał przezwyciężyć bojaźń, żeby podejść do Griaule'a; kiedy zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie, plecak tłukł mu się o grzbiet niczym drugie, wolniej bijące serce.

Zbliżywszy się do pyska, wyjął z plecaka latarnię i drżącą dłonią zapalił knot. Łuski pokrywające żuchwę, w tej chwili odległe nie więcej niż o sześć stóp, załśniły wśród zielska. Podniósł latarnię i poświecił do góry: objawiła mu się część szczęki na wysokości trzydziestu stóp oraz, jeszcze wyżej, kawałek dziąsła, brunatny jak sok z tytoniu, i nasada jednego z kłów. Suchy, pylisty, chłodny powiew wiatru na chwilę przytłumił zmieszane roślinne wonie. Rosacher podwiesił lampę do plecaka, opanował narastającą panikę i zaczął się wspinać po lianach, które niczym ciągnąca się strużka zgęstniałej śliny zwisały ze smoczej wargi. Kilka minut później przerzucił stopę przez krawędź i wczołgał się do pyska Griaule'a. Natychmiast zerwał się na równe nogi, rozglądając się z przerażeniem na wszystkie strony. W świetle latarni zobaczył karłowate krzewy o bladych liściach, które wykiełkowały z nagromadzonej tutaj przez stulecia warstwy gleby; zaokrąglony omszały język dorównujący grubością wzrostowi dorosłego mężczyzny; mroczne zakłęśnięcie policzka. Nagle rozległy się znacznie bliżej odgłosy nocy: gwizdy, szelesty oraz coś, co mogło być piskliwym krzykiem. Nic się jednak nie poruszało. Nieco uspokojony Rosacher rozgarnął roślinne frędzle, stanął przy samym języku i zawiesił latarnię na pobliskiej gałęzi. Wyjął z plecaka strzykawkę weterynaryjną, tę samą, której wcześniej użył Myrie. Ostrożnie zeszkrobał trochę mchu, aż odsłonił okrągły spłachetek czarnego języka. Przytknął do niego czubek igły, ale upłynęła jeszcze ponad minuta, zanim znalazł w sobie dość

odwagi, żeby go wbić; musiał przy tym przycisnąć strzykawkę całym ciężarem ciała, by przebić powierzchnię języka. Przez chwilę czekał na jakąś chtoniczną reakcję, potężny dygot, pomruk niezadowolenia. Nic takiego nie nastąpiło, lecz mimo to nie wyzbył się lęku, dopóki nie wyciągnął igły i nie przelał zawartości strzykawki do butelki. Jeszcze dwukrotnie powtórzył tę procedurę, drwiąc w duchu z przerażenia Myriego i swojego własnego strachu. Nic mu nie groziło, dookoła były tylko insekty, nietoperze i jaszczurki.

Pracował w pośpiechu, chociaż nie aż takim, żeby poświęcić efektywność na rzecz szybkości. Zebrał prawie galon krwi, napełnił dwadzieścia butelek, które następnie owinął w watę. Przyszło mu do głowy, żeby w przyszłości zlecać tę robotę nie takim ludziom jak Myrie, lecz raczej mieszkańcom Hangtown, wioski posadowionej na grzbiecie smoka i zamieszkaney przez rozmaitych wyrzutek, którzy, choć skrajnie ekscentryczni, byli wystarczająco uczciwi i których obeznanie z Griaule'em powinno zapobiec powtarzaniu się takich scen jak ta z udziałem Myriego. Jednego bowiem był pewien: będzie potrzebował dużo więcej krwi. Liczył się z tym, że próba zsyntetyzowania narkotyku z substancji, której skład był całkowitą tajemnicą, najprawdopodobniej go przerośnie. Być może, jeżeli przyłoży się do pracy, to z biegiem czasu przeniknie ten sekret, na razie jednak powinien ustalić skuteczną dawkę i znaleźć najwłaściwszy sposób wprowadzania narkotyku do krwiobiegu – szczególnie zważywszy na ograniczoną dostępność strzykawek.

Cienki srebrny sierp księżycy nad wzgórzami wyglądał, jakby wisiał tuż obok smoczego kła, którego kontur rysował się czarno na tle firmamentu. W oczach Rosachera, który właśnie zakładał plecak, widok ten miał nierzeczywistą wyrazistość opiumowego snu; wydawało się, że infekuje resztę okolicy, przydaje tajemnej nuty niebu upstrzonemu piegami gwiazd, połaciom zarośli w dole i migoczącym pomarańczowo lampom w oknach najdalej wysuniętych na zboczu chałup. Cały krajobraz przypominał ilustrację z książki z egzotycznymi baśniami.

To dziwne, pomyślał Rosacher; skąd u mnie taki refleksyjny

nastrój, skoro jeszcze niedawno byłem śmiertelnie przerażony?

Tego rodzaju przemianę przeszedł wcześniej w narkotycznym uścisku smoczej krwi; być może jakaś jej część wciąż krążyła w jego organizmie. A może to, co czuł, nie było wcale odprężeniem po opadnięciu fali strachu, tylko wyrazem aprobaty ze strony Griaule'a? Mieszkańcy Morningshade powiedzieliby pewnie, że skoro pozwolono mu zaczerpnąć krwi, to najwidoczniej wykonuje wolę smoka, a ogarniający go spokój dowodzi, że Griaule błogosławi jego poczynaniom. Ponieważ wierzyli święcie, że smok kontroluje wszystkie aspekty ich życia, mogliby posunąć się w swoim rozumowaniu dalej i zasugerować, że podobieństwo skutków owego uspokajającego błogosławieństwa i działania wstrzykniętej krwi dowodzi, iż Rosacher od początku był pionkiem w łapach Griaule'a. Mogliby mu również powiedzieć, że gdyby Griaule się na niego rozżłościł, smocza krew w jego żyłach zmieniłaby się w kwas. I o ile dawniej wyśmiałyby te niedorzeczne domniemania, o tyle teraz zupełnie nie miał na to ochoty – zwłaszcza że stan faktyczny nie miał tu żadnego znaczenia. Bez względu na to, czy padł ofiarą smoczej manipulacji, czy też nie, wkroczył na ścieżkę, z której trudno mu będzie zbroczyć.

Skierował się w kąt pyska w poszukiwaniu mniej przepaścistej drogi zejścia, gdy wtem usłyszał syczący dźwięk, jakby chóralny szept. Stał jak wryty. Chór szeptów przycichł. Napiąwszy wszystkie mięśnie, podniósł latarnię i poświecił dookoła, ale nie zobaczył żadnego zagrożenia. Ruszył dalej, lecz nie uszedł nawet sześciu kroków, gdy szepty rozległy się ponownie, głośniejsze niż poprzednio, dziwnie wzmocnione, jakby liczba szeptaczy podwoiła się lub nawet potroiła. Brzmiały natarczywie, zrzedliwie, podle. Nie próbował szukać ich źródła. Zamiast tego przyśpieszył kroku, przecisnął się przez gęstwinę i ruszył skrajem rozwidlenia języka; szedł ze spuszczoną głową na nowo zdjęty lękiem. Głosy ucichły, kiedy jednak podszedł do miejsca, w którym zamierzał rozpocząć zejście, zabrzmiały po raz trzeci i tym razem były tak przeszywające, że nie potrafił dłużej myśleć o nich jak o szeptach – przypominały mu raczej zawodzenie obłąkanych. Było w nich też coś ze skrobania po papierze, jak w

dźwiękach wydawanych przez cykady. Drżącą dłonią uniósł latarnię nad głowę.

Na oświetlonym skrawku wewnętrznej ściany policzka zgromadził się rój insektów. Były ogromne, wielkością nie ustępowały dwuletniemu dziecku, i przypominały świerszcze o szarych chitynowych ciałach i wielofasetowych oczach lśniących w świetle lampy. Sądząc po natężeniu ich śpiewu, a także po tym, jak poruszały się na ścianie niczym fala przypływu, w mroku musiały się ich kryć tysiące, cała armia pokrywająca górną część policzka i podniebienie. Wydawało się, że są jedną istotą, obdarzoną jednym nieprzeniknionym obliczem, które powtarzało się w nieskończoność. Kiwały czułkami i poruszały lekko odnóżami, przez co fala ciał wydymała się i zapadała jak rzucony na wzburzoną wodę bieżnik z powtarzającym się deseniem. Zaskoczenie Rosachera ustąpiło miejsca przerażeniu. Jego kości zmieniły się w patyczki z lodu, mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Chwiejnie podszedł do skraju paszczy.

Śpiew ucichł, insekty spełżyły niżej. Rosacher się zatrzymał i śpiew rozległ się ponownie. Mógłby chyba rzucić się z paszczy w dół i liczyć na to, że uda mu się złapać którejs z lian albo że zarośla na dole zamortyzują jego upadek. Uspokoił oddech i spróbował wziąć się w garść, przeświadczony, że insekty zaraz się na niego rzucą. Tymczasem rój znów umilkł i wszystkie owady jednocześnie zwróciły głowy w kierunku gardzieli smoka.

Ich zsynchronizowany ruch zaniepokoił go wcale nie mniej, niż gdyby wykonały nagły atak. Wyobraził sobie, że cokolwiek nimi steruje, stanowi zagrożenie o wiele poważniejsze od nich samych, i prawie był gotowy przekonać się do myśli, że Griaule nie jest po prostu gigantycznym konającym jaszczurem, lecz baśniowym stworem o niezliczonych i w większości nieznanach mocach. Przez chwilę opierał się pokusie sprawdzenia, co zwróciło uwagę roju, gdyż bał się go spuścić z oka, ale w końcu – po sekundzie, może dwóch – spojrział jednak w głąb paszczy.

Z początku dostrzegł tam tylko mrok, potem jednak wychwycił jakiś ruch – chociaż wcale nie taki, jakiego mógłby się spodziewać. Chmura atramentowej czerni zmateriałizowała się i

wydęła w jego kierunku niczym zmiennokształtna istota, która rośnie w oczach i z każdą chwilą staje się coraz bardziej zwarta i niebezpieczna. Lew, pomyślał. Nie, raczej byk... albo krokodyl mający w sobie coś z lwa i byka jednocześnie. Cofnął się przed napierającą chmurą, a gdy ta gwałtownie wezbrała, by pokonać dzielący ich dystans, a potem przeobraziła się w olbrzymi, rozedrgany energią słup i nagle znalazła się o włos, jak przypuszczał Rosacher, od przyjęcia jakiejś ostatecznej, najpotworniejszej postaci, strach zwyciężył: Rosacher rzucił się ze skraju smoczego pyska i z krzykiem spadł w gąszcz na dole.

Druga jego myśl po przebudzeniu następnego dnia rano była taka, że ktoś musiał go znaleźć nieprzytomnego w zaroślach, zabrać do siebie do domu i opatrzyć mu rany – nie przychodził mu jednak do głowy nikt znajomy, kto dysponowałby tak wspianą sypialnią. Wysoko wysklepiony sufit kremowej barwy ozdabiały motywy roślinne: spośród liści, róż i innych kwiatów wynurzały się chytre, nieco dziecinne twarzązki (dlatego pierwsza myśl była taka, że znalazł się w niewoli złych duchów). Na ścianach wisały obrazy w złożonych ramach. Wszystkie sprzęty – krzesła, biurko, szafy – były niezwykle ozdobne i elegancko wykończone. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, które swobodnie pomieściłoby cztery osoby (miało zieloną jedwabną pościel, złotą narzutę i tekowe kolumny, inkrustowane kością i zwieńczone rzeźbionym motywem ananasa), usiadł i ze zdumieniem stwierdził, że nie odczuwa najmniejszego bólu: albo miał ogromne szczęście przy upadku, albo przeleżał nieprzytomny kilka dni, aż siniaki i zadrapania się wygoiły.

Podszedł do okna, rozgarnął zasłony i zrozumiał, że znajduje się w jednym z dworków wybudowanych na zboczach Zmiennej Grzędy. Spoglądając na wschód ponad skąpanym w słońcu miasteczkiem, w odległości pół mili dostrzegł szachownicę niskich dachów Morningshade, górującą nad nimi klatkę piersiową smoka, jego grzbiet porośnięty gąszczem zarośli i skrawkiem lasu oraz prymitywne budy i szopy Hangtown w cieniu grzebienia ciemieniowego. Widok był znajomy, chociaż Rosacher mógłby przysiąc, że nigdy w życiu nie stał przy tym oknie. Przeszedł się po pokoju, dotykając obrazów, stolika z różanego drewna, złoto-zielonego bieżnika o wzorze naśladowującym smoczą łuskę i obitej skórą szkatułki na biżuterię, która zawierała spinki do mankietów, trochę monet i inne

drobiazgi. Każdy dotknięty przedmiot przywoływał jakieś wspomnienie, budził przelotne, zdumiewająco znajome skojarzenie. Rosacher przystanął przed lustrem. Na głowie zamiast ciemnej kręconej czupryny miał króciutko przystrzyżone włosy. W uchu nosił złoty kolczyk z zielonym klejnotem; kiedy musnął go palcami, przypomniał sobie, że dostał go w prezencie od Ludie. Widoczna nad prawym okiem biała blizna przecinała łuk brwiowy: ślad po upadku z paszczy Griaule'a przed czterema laty...

To olśnienie – o ile rzeczywiście było to olśnienie i nie leżał nieprzytomny pod smoczym łbem, a wszystko to mu się nie śniło – sparaliżowało go. Próbował je zanalizować, stwierdzić, czy ma dostateczny ciężar, by uchodzić za autentyczne, ale wtedy inne wspomnienia zaczęły mu się wciskać do głowy, panoszyć i przepychać, żeby jak najszybciej się objawić, a drobiazgi wypełniły mu mózg do granic możliwości (umówione spotkania, sprawy do załatwienia i tym podobne), aż w końcu wyciągnął z nich nieodparty, niezaprzeczalny wniosek: jego plan się powiódł. Stał się bogaty, a to był jego dom. Należące do niego fabryki codziennie produkowały dostateczną ilość narkotyku w formie zdatnej do palenia, by zaspokoić potrzeby nałogowców z Teocinte i Port Chantay, on zaś planował ekspansję na nowe rynki i eksport produktu do innych miast, a także opracowanie formuły rozpuszczalnej pastylki z narkotykiem, przeznaczonej dla niepalących.

Od tego gwałtownego przyływu wspomnień zakręciło mu się w głowie. Opadł na fotel i zagłębił się w poszukiwaniach gwiazdy przewodniej, która wskazałaby mu drogę na bezkresnym morzu informacji. Jak to możliwe, że posiadał te wspomnienia bez uczestniczenia w występujących w nich wydarzeniach? Miał uwierzyć, że przez cztery lata funkcjonował jako somnambulik? Słyszał o przypadkach, gdy uderzenie w głowę miało konsekwencje podobne do tych, których najwidoczniej doświadczył, ale żaden z tamtych pacjentów nie prowadził przez ten czas normalnego życia. Cztery lata! Jego reminiscencje z tego okresu miały niewiele mocy i smaku, tak jakby przeżył te lata, a

zarazem ich nie przeżył; jakby tylko przekartkował ten fragment księgi swojego życia i przeskoczył od razu w przód do dzisiaj, do konkretnego dnia i konkretnej godziny. Okruchy pamięci przypominały elementy układanki, które po złożeniu w całość tworzą właściwe obrazy, zawierają związane z nimi skojarzenia i historie w postaci skompresowanej – a zarazem nie przenoszą prawie nic z pierwotnego kontekstu emocjonalnego.

Drzwi się otworzyły i do sypialni weszła Ludie z plikiem papierów w ręce. Miała na sobie bryczesy, wysokie buty i luźną płócienną koszulę spiętą w talii paskiem. Wciąż była piękna, nic a nic się nie postarzała od dnia, z którego ją pamiętał, lecz maska neutralności tłumiała jej urodę. Właśnie ta jej beznamiętna twarz i wyrażany przez nią sposób bycia obudziły u Rosachera kolejną falę wspomnień. Dawniej pozostawali sobie wierni, jednak w miarę jak coraz bardziej angażował się w prowadzenie interesów, oddalali się od siebie i teraz on miał swoje kobiety, ona zaś swoje konie; wypuszczała się na całodniowe wycieczki w dolinę, na spotkania z kochankami obojga płci, a z Rosacherem łączyło ją już tylko przyzwyczajenie. Ich związek opierał się na szczątkach czułości skrywającej zobojętnienie. Byli współnikami (Ludie wsparła go finansowo w początkowej fazie jego kariery) i ufali sobie w sensie biznesowym, lecz zaufanie to nie przenosiło się już w świat uczuć i emocji. Rosacher czuł, że automatycznie ogranicza się do zachowań odzwierciedlających ten stan, choć zarazem żałował, że do tego doszło, i próbował zachować w sercu dawny nostalgiczny wizerunek Ludie.

Podąła mu papiery.

– Arthur jest na dole – powiedziała.

Dalej się na nią gapił.

– To są te wyliczenia, o które prosiłeś – wyjaśniła. – Szacunki przyszłorocznych zysków. Plus notatki do twojego wystąpienia. – Widząc, że Rosacher nie kwapi się do wzięcia dokumentów, potrząsnęła nimi. – Naprawdę powinieneś je przejrzeć przed wyjściem.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał.

Na jej twarzy przelotnie odmalowało się niezadowolenie.

Rzuciła papiery na fotel.

- Wybieram się na przejażdżkę.
- Chciałbym się wieczorem z tobą spotkać.
- Spotkać się?
- Spędzić z tobą trochę czasu.
- Nie mam...
- Myślałem o wspólnej kolacji.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Dlaczego? – spytała. – Czego chcesz?
- Niczego. Paru godzin w twoim towarzystwie.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zawahała się i odparła sztywno:

- Jeżeli masz jakieś zastrzeżenia do tego, jak prowadzę księgi, chcę je usłyszeć teraz.

- Chcę się z tobą spotkać. Tak trudno to pojąć? Na Boga! Kiedy ostatni raz spędziliśmy razem wieczór?

- Nie zapisuję sobie tego.
- Ja też nie, ale na pewno minęło parę miesięcy.

Wzruszyła ramionami.

- Skoro tak twierdzisz... – Zawiesiła głos. – Jak chcesz. Skoryguję swoje plany.

Te słowa spowodowały kolejny napływ wspomnień, tym razem odnoszących się do planowanej prezentacji, i Rosacher lekko się zaniepokoił: musiał uporządkować taką masę szczegółów...

- Może powinienem przełożyć to wystąpienie – zasugerował. – Mamy dużo do omówienia.

- Zwariowałeś? Przygotowujemy się do tego od prawie pięciu lat. Nie martw się na zapas. Może i wezwali cię po to, żeby ci udzielić reprimendy, ale nie minie nawet godzina, a będą się przepychać jeden przez drugiego, żeby zostać twoimi najlepszymi przyjaciółmi.

Ludie powiedziała to surowym, oskarżycielskim tonem. Podeszła do szafy, wyjęła z niej biały garnitur i wyłożyła go na łóżku. Zamyśliła się.

- Może do tego zielona koszula? – zaproponowała. – Taka... szczypta ekstrawagancji byłaby nie od rzeczy. Kiedy ci starzy

nudziarze zobaczą cię wystrojonego jak papuga, zrozumieją, że lekceważysz ich konserwatywne konwencje, i będą cię za to podziwiać. Oczywiście z początku będą kręcić nosem, ale w końcu do nich dotrze, że w ten sposób podkreślasz swoją niezależność. Zinterpretują twoje lekceważenie jako efekt bezkompromisowego stylu bycia i tym właśnie zyskasz ich szacunek. Wszystko to oczywiście pod warunkiem, że uznają wasze spotkanie i kontakty za opłacalne.

W miarę jak mówiła, była coraz bardziej zła – chociaż należałoby raczej powiedzieć, że stopniowo odrzucała maskę neutralności i okazywała normalne dla siebie niezadowolenie.

– Ludie... – mruknął bezradnie Rosacher.

– O ósmej – powiedziała, kierując się do wyjścia. – Będę u siebie. Postaraj się nie spóźnić.

Wyszła, a on zaczął się zastanawiać, czy nie dałoby się wskrzesić ich związku.

Wezwanie przed oblicze rady nie dawało mu spokoju, odkąd uświadomił sobie wagę czekającego go spotkania i zderzył się z nową falą podsuwanych przez pamięć szczegółów. Wyjął z szafy zieloną koszulę i położył ją obok garnituru, żeby ocenić efekt estetyczny. Doszedł do wniosku, że Ludie miała rację. Połączenie było idealne.

Arthur Honeyman, wychudzony dryblas, który wdarł się do mieszkania Rosachera i go pobił, zmienił się przez te lata znacznie bardziej niż sam Rosacher, i to na lepsze. Ubierał się teraz elegancko, chociaż koszule bez kołnierzyka i wyszywane aksamitne marynarki, które sobie upodobał i które nadawały mu nieco dandysowaty wygląd, nie pasowały do jego z grubo ciosanych rysów i kościstej sylwetki. Bez przerwy się uśmiechał, chwając się sztucznymi zębami. Zęby nie były wprawdzie białe, ale nefrytowe wstawki upodobiły je do omszałych kamieni, i kiedy Arthur otwierał usta, człowiek miał wrażenie, że zagłęda w głąb przepastnej jaskini. W dniu, w którym Rosacher zatrudnił Arthura (siedział wtedy przy biurku w kantorku przylegającym

do jego starego mieszkania), zapowiedział mu, że koniecznym warunkiem ich współpracy będzie nowe uzębienie.

– Zdrowe ciało i zdrowe zęby to nie są dwie odrębne sprawy – tłumaczył. – Jeżeli nie zaczniesz dbać o zęby, to prędzej czy później staną się przyczyną poważnej infekcji, a wtedy przestaniesz być dla mnie użyteczny. Do tego dochodzi jeszcze kwestia prezencji: owszem, powinieneś wyglądać groźnie, ale nie ma potrzeby, żeby ludzie na twój widok umierali ze strachu.

– To będzie bolało? – zapytał Arthur.

– Tak, będzie. Sama ekstrakcja może być bezbolesna, ale nie da się uniknąć posiniaczenia tkanek miękkich. Tylko że jeśli niczego nie zmienisz, w przyszłości będziesz cierpieł bardziej niż przy wrywaniu zębów.

Arthur przestąpił z nogi na nogę. Wyrzwał przez okno.

– Dlaczego to robisz? – zapytał. – Po tym, co ci wyrządziłem... To nie ma sensu.

– W Morningshade wszyscy się ciebie boją – odparł Rosacher. – Obserwuję cię od paru miesięcy i wiem, że jesteś niegłupi, chociaż stosujesz niepotrzebnie prymitywne metody zastraszania ludzi. Ale najważniejsze, że nie jesteś uzależniony.

– A żebyś wiedział! Prędzej połknę truciznę, niż sztachnę się wilem („wil” był skrótowcem od „więcej i lepiej” – tak właśnie mieszkańcy Morningshade nazwali nowy narkotyk). Nie chcę, żeby coś mi mąciło ogląd świata. Wolę widzieć rzeczy takimi, jakie są.

– Cnota godna podziwu – przyznał Rosacher. – Nauczyłem się ją cenić. – Wstał, obszedł biurko i stanął przed Arthurem. – Co było, a nie jest... No. Nie ma sensu wracać do przeszłości. Ja mogę pomóc tobie, a ty mnie, gdyby wynikły jakieś problemy. Proponuję ci czysty, uczciwy układ biznesowy. – Wyciągnął rękę. – Umowa stoi?

– Do usług! – Arthur delikatnie uściśnął dłoń Rosachera, jakby się bał go uszkodzić po raz drugi. – Możesz być pewny, że zajmę się twoimi problemami.

Rosacher nie zamierzał przesadzać z okazywaniem mu zaufania. Mimo chropowatej powierzchowności Arthur

naprawdę nie był głupi i prędzej czy później wyostrzony w brutalnym życiu instynkt musiał go pchnąć na drogę zdrady. Rosacher miał jednak nadzieję, że zdoła znaleźć Arthurowi dość zajęcia, żeby ten nie miał czasu się nudzić.

Trzy i pół roku później Arthur – uzbrojony w zęby, które dawno przestały być nowe, lecz mimo to uśmiechający się od ucha do ucha do każdego mijającego go przechodnia, odziany w marynarkę z wiśniowego aksamitu haftowanego białym jedwabiem, z włosami związanymi kolorową wstążką w kucyk – towarzyszył Rosacherowi w wyprawie na szczyt Zmiennej Grzędy. Przechodnie rozstępowali się przed olbrzymem na boki krętej uliczki, a gapie gromadzili się w oknach i drzwiach domów z cegły i ciosanego kamienia, zaintrygowani tym dwuosobowym pochodem. Na szczycie wzgórza rozpościerał się brukowany plac, z jednej strony otwarty (w przyszłości planowano domknięcie go gmachem katedry, pod którą położono już fundamenty i wybudowano nawet jedną ścianę), z trzech pozostałych zaś okolony tynkowanymi na różowo budynkami z czerwonymi dachami i balkonami z kutego żelaza. Rosacher z Arthurem skierowali się do najokazalszego z gmachów, dwupiętrowego, z ozdobnymi kratami w oknach.

– Nigdy przedtem tu nie byłem. – Arthur pociągnął nosem. – Nie cuchnie tu jak w Morningshade.

Rosacher wszedł na schody.

– W środku powinno ci zaśmierdzieć bardziej znajomo – odparł.

Na ławce w wykładanym mahoniem holu pierwszego piętra, przed drzwiami do komnaty rady, siedział szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, na pierwszy rzut oka jakieś cztery, pięć lat młodszy od Rosachera.. Ścisnął w dłoniach skórzaną teczkę na rysunki i słuchał urzędnika, który tłumaczył mu, że będzie musiał poczekać, aż pan Rosacher przedstawi radzie swoją sprawę. Na te słowa młody człowiek zerwał się z ławki i zażądał natychmiastowej audiencji.

– Przepraszam bardzo – wtrącił się Rosacher. – Pan...?

– Cattanay – odparł tamten z gniewną emfazą, cedząc precyzyjnie każdą sylabę z osobna. – Meric Cattanay.

- Richard Rosacher. Chce pan przedstawić radzie jakąś propozycję?

- Jestem tu od wczoraj, przyjechałem aż z...

- Proszę mi wierzyć, panie Cattanay, rozumiem pańską frustrację. Mogę pana jednak zapewnić, że po spotkaniu ze mną znacznie życzliwiej niż w tej chwili odniosą się do pańskiej prośby.

Nieco udobruchany, choć nadal wzburzony Cattanay podał w wątpliwość prawdziwość tego twierdzenia, ale kiedy Rosacher wyjaśnił mu, że przychodzi w sprawie poważnego układu o charakterze finansowym, usiadł spokojnie na ławce, a zapytany o naturę swojej propozycji otworzył teczkę i przedstawił Rosacherowi kilka szkiców ilustrujących plan zabicia Griaule'a za pomocą nakładanej na jego skórę trującej farby. Pomysł wydawał się nedorzeczny, Rosacher musiał jednak przyznać, że opiera się na niezwykle oryginalnej idei. Zapytał, jak długo trwałaby realizacja takiego projektu.

- Nie jestem pewien - przyznał Cattanay. - Na same przygotowania, budowę rusztowań i kadzi do mieszania farby potrzeba co najmniej dwóch lat. Będziemy musieli zatrudnić mnóstwo ludzi, ze setkę, może nawet więcej, do dostarczenia odpowiedniej ilości drewna opałowego. To kolejny rok albo dwa. Następnie trzeba będzie wykonać malowidło, a potem czekać, aż trucizna zadziała... Cały proces zająłby dwadzieścia, trzydzieści lat, jeśli nie więcej. Bo spodziewam się, że codziennie będą wynikały jakieś kłopoty, które w tej chwili nawet nie przychodzą mi do głowy.

Arthur prychnął pogardliwie.

Cattanay spiorunował go wzrokiem.

- Próbowano wielu prymitywnych sposobów zabicia go - ciągnął. - Miejscowi usiłovali go przypalać, dźgać ostrymi przedmiotami i tak dalej. Nic z tego. Oczywiście kiedy teraz o tym myślę, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden pomysł: podstawić Griaule'owi pod nos olbrzymi portret tego jegomościa - tu kciukiem wskazał Arthura - i głośno huknąć. To by mogło załatwić sprawę.

Arthur z gniewnym warknięciem sięgnął po zatknięty za pasem nóż, ale Rosacher powstrzymał go, kładąc mu dłoń na przedramieniu.

- To fascynujące! - powiedział. - Jak pan na to wpadł?

- Siedzieliśmy kiedyś ze znajomymi w gospodzie i gadaliśmy o tym, jak by tu zarobić jakieś grubsze pieniądze. Jednym z pomysłów było pomalowanie smoka. Od tamtej pory bardzo go rozwinąłem, ale pierwotnie to był właściwie żart, niepoważny wybryk w gronie kumpli, którzy za dużo wypili.

Urzędnik, który zniknął w sali rady, gdy Cattanay był zajęty przedstawianiem swojego planu, wrócił i poinformował Rosachera, że może wejść.

W komnacie rady - przestronnym, surowym wnętrzu, z grubymi belkami stropowymi i oknami wychodzącymi na dolinę i wzgórze obramowujące ją od wschodu - zasiadało na krzesłach z wysokimi oparciami przy mahoniowym stole pięciu mężczyzn. Przed nimi na blacie stały szklanki i ceramiczny dzban. Czterej z nich byli siwowłosi, otyli i odziani w poważne garnitury, za to siedzącego pośrodku Wallace'a Febresa-Cordero cechowała obca pozostałym stateczność i Rosacher, choć widział go po raz pierwszy w życiu, od razu poznał, że to jego właśnie będzie musiał przekonać do swoich racji. Usiadł na drewnianym krześle (jedynym wolnym) naprzeciw rady. Arthur stanął obok.

- Dzień dobry panom - odezwał się. - Nazywam się Richard Rosacher. To mój współpracownik, Arthur Honeyman. W czym możemy pomóc?

- Jak panu wiadomo - zaczął Febres-Cordero afektowanym barytonem - rada nie ma nad panem żadnej władzy w dziedzinie produkcji narkotyków. Nie istnieją przepisy prawa, które można by w tej sytuacji przywołać. Jeśli jednak będzie pan kontynuował swoje dotychczasowe działania, może się okazać, że będziemy zmuszeni stworzyć nowe prawo.

- Dlaczegoż to?

- Na Boga, człowieku! - Siedzący z brzegu stołu chudy, łysiejący rajca Paltz grzmotnął rozpostartą dłońią w blat. - Uzależniłeś od swojej trucizny połowę mieszkańców Morningshade!

– Prawie trzy czwarte – poprawił go Rosacher – ale nie kłóćmy się o szczegóły.

– Mamy wiele skarg na pańską działalność – powiedział Febres-Cordero. – Wszystkie autorytety moralne wystąpiły przeciwko panu.

– Kogo ma pan na myśli?

– Chociażby Kościół.

– Kościół jako autorytet moralny... – Rosacher parsknął śmiechem. – Nowatorski pomysł.

Czerwona twarz przysadzistego mężczyzny na lewo od Febresa-Cordero sfoletowiała.

– Przychodzi pan tu wystrojony jak jakiś przebieraniec i próbuje...

– Powinniśmy chyba dać panu Rosacherowi możliwość obrony.

– Febres-Cordero powiódł wzrokiem wzdłuż stołu, zanim ponownie spojrzał na Rosachera.

– W rzeczy samej, chętnie zabiorę głos, nie po to jednak, by się bronić, lecz zaproponować alternatywne rozwiązanie. Paliliście panowie kiedyś wil? – zapytał Rosacher.

– To już jest impertynencja – ostrzegł Febres-Cordero. – Radzę panu nie przeciągać struny.

– Nie chciałem być impertynencki. Pytam tylko, czy któryś z panów zna ten narkotyk z autopsji.

– Rozmawialiśmy z wieloma uzależnionymi, rozumiemy jego działanie.

– Czy któryś z nich wydał się panom wrakiem człowieka? Czy byli chorowicie bladzi i wynędzniali jak opiumiści, czy raczej przeciwnie, zdrowi i schludnie odziani? Czy nie zarabiali na swoje utrzymanie?

– Jeżeli zmierza pan do tego, że narkotyk nie wyrządza uzależnionemu szkód fizycznych – odezwał się rajca Savedra, przygarbiony, najstarszy w zgromadzeniu, o drapieźnym wyrazie twarzy – to całkowicie pomija pan moralny aspekt sprawy.

– Istotnie, jest to jeden z argumentów, które chciałbym przedstawić panom pod rozwagę, w żadnym razie jednak nie jest to argument jedyny. Ponadto przedmiotem mojego

zainteresowania jest nie tyle zdrowie jednostki, ile stan zbiorowości. – Rosacher wstał i przeszedł się wzdłuż stołu. – Jeżeli rada wyda w tej kwestii decyzję dla mnie nieprzychylną, z przyjemnością przeniosę swój interes do Port Chantay albo innego z nadmorskich miast. Będzie to dla mnie zaledwie drobna niedogodność, nic więcej. Zanim jednak postanowicie mnie, panowie, wygnać, proszę, byście mnie wysłuchali i mi nie przerywali. Wpłynie to korzystnie na spójność mojego wyводу.

– Zadał pan pytanie – zauważył Savedra. – Ja tylko na nie odpowiedziałem. Proszę mówić dalej.

– Pytania retoryczne nie wymagają odpowiedzi, ale mniejsza z tym. Zresztą jestem wdzięczny panu rajcy za tę uwagę, gdyż wiąże się ona bezpośrednio z następną kwestią, którą chciałem poruszyć. – Rosacher stanął przy oknie i zapatrzył się na dolinę. – Teocinte jest biedne. Ze wszystkich miast w dolinie ma, a raczej miało, najwyższe wskaźniki przestępczości. Morningshade to jego najuboższa i najbardziej niebezpieczna dzielnica. Gospodarka miasteczka, oparta na rolnictwie i paru niewielkich kopalniach, zapewnia dostatnie życie nielicznej grupce obywateli, lecz mieszkańcy Morningshade i dalej położonych rejonów, nieuczestniczący w niej na równych prawach, do niedawna utrzymywali się głównie z grabieży obywateli zamożniejszych niż oni sami oraz siebie nawzajem. Jednakże na przestrzeni ostatnich czterech lat w Morningshade notuje się coraz mniej przestępstw. Kiedy tam mieszkałem, policja pojawiała się tylko w tych sytuacjach, gdy ofiarą padł ktoś z możnych; teraz ponoć nie pojawia się w ogóle. Drastyczny spadek przestępczości wiąże się bezpośrednio z rozpowszechnieniem wilu...

– Bzdura! – wtrącił Rooney.

– Zatrudniam setkę nałogowców – ciągnął Rosacher, udając, że go nie słyszy. – W ciągu najbliższych dwunastu miesięcy zamierzam nająć kolejne setki. Nie są w żadnej mierze nieobliczalni ani agresywni, które to zachowania często przypisuje się ludziom zażywającym inne narkotyki. To sumienni pracownicy: codziennie stawiają się na swoich stanowiskach,

wykonują zlecone im zadania, a wieczorem wracają do domów, do kapci i fajek. W ich wypadku w fajkach znajduje się grudka wilu. Kobieta, która podaje im kolację, jest piękniejsza od królowej Astrikhanu. Sam posiłek – obojętne, czy składa się nań owsianka, czy kawał solonej wieprzowiny – smakuje jak najwykwintniejsze specjały. Zamiast kłaść się do snu na słomianych siennikach, zasypiają na miękkich materacach i w pachnącej pościeli. Każdy z nich mieszka w swoim własnym małym pałacu, obok którego płynie nie ryszotok, lecz szemrzący strumyk. Ich życie jest stokroć lepsze, niż było dawniej... A wszystko dzięki wilowi. Wil różni się od innych uzależniających narkotyków także tym, że organizm ludzki nie wykształca nań tolerancji: dawka przyjęta wieczorem wystarcza aż do następnego wieczora. Owszem, działanie wilu słabnie w ciągu dnia, lecz i tak znacząco uprzyjemnia codzienny mózół. Zamiast otępieć, wil inspiruje do dbania o siebie i zdrowego odżywiania. Palacz wilu ma motywację do dalszego życia, podczas gdy szczytem ambicji opiumisty jest przetrwanie, do którego zresztą nie przykładają wielkiej wagi. Jak nazwać związek chemiczny dający takie efekty? Który leczy najgorsze objawy choroby trawiącej społeczeństwo i poprawia jego funkcjonowanie? Który sprawia, że ludzie są zadowoleni ze swojego losu? Czy to jeszcze narkotyk, czy może raczej pokrzepiający balsam? Moim zdaniem to balsam. Nawiasem mówiąc, w taki właśnie sposób zacząłem go reklamować w Port Chantay.

Rajca Rooney nadął się do granic możliwości.

– Szanowny panie – oznajmił – jest pan diabłem.

– Diabeł jest stale blisko każdego z nas, mój panie. Ja jednak gotów jestem się założyć, że bliżej mi do Boga niż kapłanom, którzy mają wkrótce zamieszkać w pałacu powstającym na skraju placu.

– Mam tego powyżej uszu! – uciął Rooney i zwrócił się do pozostałych rajców: – Naprawdę musimy słuchać tych rzygów?

– Mnie się wydaje, że powinniśmy wysłuchać go do końca – zabrzmiała spokojna odpowiedź.

Widząc zachowanie rajców po słowach najmłodszego z nich,

Jeana-Daniela Breque'a – zwrócili się ku niemu jak psy reagujące na dźwięk przenikliwego gwizdka – Rosacher uświadomił sobie, że błędnie odczytał dynamikę grupy. Rajca Breque był drobnym, mocno zbudowanym mężczyzną z dość dużą głową i siwiejącą profesorską bródką, w okularach w drucianej oprawce. Sprawiał wrażenie zdeprymowanego przebiegiem spotkania, przy czym jego konsternacja wynikała nie tyle z samej propozycji Rosachera, ile raczej z reakcji rady.

– Mówi pan całkiem przekonująco – przyznał, zwracając się do Rosachera – ale nie można przecież całkowicie pominąć aspektów duchowych całej sprawy, prawda?

– Jeżeli przez aspekty duchowe rozumie pan reakcję Kościoła... Owszem, Kościół to wpływowy gracz. Nie obejdzie się bez zapłacenia należnej mu daniny. Pozwoli pan jednak, że zapytam, gdzie Kościół był trzy lata temu? Dziesięć lat temu? Pięćdziesiąt? Teraz zainteresował się Teocinte tylko i wyłącznie dlatego, że uznał swoją obecność tutaj za opłacalną. I dopiero gdy podłączył się do tutejszej zyskowej gospodarki, nagle okazało się, że jest wstrząśnięty stanem naszych dusz. Ręczę panom, że gdybyście zakazali używania wilu, ktoś z Kościoła przyszedłby do was i zaczął tłumaczyć: „Odrobinę tolerancji, panowie. Nie chcemy strącać ubogich z nieba, nawet jeśli to niebo jest złudne. Dajcie nam trochę czasu; zrobimy swoje czary-mary, odciągniemy ich od narkotyku, zdobędziemy ich lojalność, a w swoim czasie pozbedziemy się Rosachera”. Niczym się ode mnie nie różnią, tak samo jak ja oferują pociechę na sprzedaż niczym zwyczajny towar... Tyle tylko, że ich towar jest gorszej jakości. Są chciwi i gotowi wziąć pieniądze od każdego, nawet od konkurencji. Przekonacie się panowie: zapłacę im, a całe to moralne wzburzenie, którego jesteście świadkami, przejdzie im jak ręką odjął.

– Domyślam się, że pańskie pytania o przeszłe miejsca pobytu Kościoła również należały do kategorii retorycznych – powiedział z uśmiechem Breque.

Rosacher skwitował ten żarcik lekkim skinieniem głowy.

– Skoro takie właśnie ma pan poglądy – podjął rajca – to po co

w ogóle odpowiedział pan na nasze wezwanie? Domyślam się, że miał pan ważny powód, żeby tu dzisiaj przybyć. Chciałby pan, żebyśmy coś dla pana zrobili?

– Chciałbym, żebyście pomogli mi, panowie, ochronić wasze najcenniejsze zasoby – odparł Rosacher.

– Srebro? Czy owoce mango? Prawdę mówiąc, wątpię, by miał pan na myśli jedno albo drugie.

– Zanim przejdę do rzeczy, chciałbym, żebyście zapoznali się, panowie, z pewnymi wyliczeniami.

Rosacher rozdał przygotowane przez Ludie dokumenty, kładąc po jednym arkuszu przed każdym z przedstawicieli rady.

Rooney prychnął i odsunął papier od siebie.

– U góry strony znajduje się zestawienie moich comiesięcznych zysków z ubiegłego roku – powiedział Rosacher i odczekał chwilę, żeby rajcy zdążyli zerknąć na wyliczenia. – Jak widać, rosą systematycznie, w postępie geometrycznym.

– A do czego odnosi się ta liczba na dole? – zainteresował się Febres-Cordero.

– To szacunkowe przychody w nadchodzącym roku – odparł Rosacher. – Wydatki na razie pozostają nieznanne; z pewnością wzrosną wraz z ekspansją firmy.

– Aż tyle? – Savedra spojrział na niego z niedowierzaniem. – To chyba niemożliwe.

– Moja księgowka twierdzi, że to i tak nadzwyczaj ostrożne oszacowanie.

Rosacher zauważył, że teraz także Rooney zainteresował się dokumentem.

– Gdzie trzyma pan pieniądze? – spytał Paltz.

– W banku w Port Chantay. To bezpieczniejsze niż lokalny bank.

– Z pańskich słów wnoszę, że to pan jest naszym najcenniejszym zasobem – powiedział Breque.

– Jednym z dwóch.

– Co lub kto jest tym drugim?

– Griaule.

– Naturalnie. Krew Griaule'a jest aktywnym składnikiem wилu, zgadza się?

– Tak. Proces jej rafinacji, kluczowy dla otrzymania wilu, znany jest tylko mnie i mojemu wspólnikowi.

– Którym jest...? – Savedra zawiesił głos.

– Osoba, która życzy sobie zachować anonimowość. Do rzeczy, panowie. Chciałbym, żebyście opodatkowali mój biznes. Niech to będzie, powiedzmy... pięć procent rocznego dochodu. Opodatkowanie zalegalizowałoby moje przedsięwzięcie i zapewniło mi ochronę prawną.

– Pięć procent przychodu brzmiałoby bardziej przekonująco – zauważył Rooney.

– Szczegóły możemy negocjować przy innej okazji – odparł pojednawczo Rosacher. – Dzisiaj zależy mi raczej na osiągnięciu wstępnego porozumienia.

Odwrócił się i stwierdził, że Arthur zajął jego miejsce na krześle. Dryblas wykonał taki ruch, jakby chciał wstać, ale Rosacher powstrzymał go gestem ręki i stanął za jego plecami.

– Mam jeszcze jedną propozycję – podjął. – Jak panom wiadomo, pan Honeyman stworzył pewną strukturę siłową dla zabezpieczenia moich interesów. Chciałbym, żeby ta struktura przerodziła się w pełnoprawną milicję, oczywiście przy współdziałaniu miasteczka. Zbliża się dzień, w którym inne miasta, silniejsze od Teocinte, zaczną nam zazdrościć dobrobytu, spróbują skopiować moją recepturę i przejąć kontrolę nad smokiem. Musimy być na to przygotowani. Jestem w stanie sfinansować funkcjonowanie takiej milicji, uważam wszakże, że dla spokoju waszego ducha miasto powinno współuczestniczyć w procesie jej tworzenia, tak pod względem finansowym, jak i organizacyjnym. Proponuję, żebyście wyłonili ze swojego grona człowieka, który pokierowałby tą milicją. Takiego... generała, powiedzmy. Nadzorowałby jej funkcjonowanie, zaopatrzenie i tym podobne sprawy, a także decydował o polityce działania. Potrzebny byłby również dowódca polowy, człowiek doświadczony w sztuce wojennej, umiejący wyszkolić ludzi i poprowadzić ich do walki. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto nadawałby się do tej roli lepiej od pana Honeymana.

Arthur zerknął na niego pytająco, ale zaraz ukrył zaskoczenie i

posłał rajcom swój przerażający uśmiech. Paltz, który jeszcze przed chwilą chyba zamierzał wyrazić swój sprzeciw, powstrzymał się od zabrania głosu.

– Intrygująca propozycja. – Breque oparł łokcie na blacie i splótł dłonie. – Przedstawiona przez pana wizja jest nadzwyczaj kusząca: zamożne miasteczko, zadowoleni mieszkańcy, a jeśli pański interes będzie rozwijał się zgodnie z planem, wszyscy obecni w tej komnacie zyskają ogromne wpływy i okazały majątek.

– Nawet sobie, panowie, nie wyobrażacie, jak okazały. To zaledwie skromna przygrywka. Pomyślcie tylko, ile innych przydatnych człowiekowi substancji może jeszcze zawierać ciało Griaule’a.

– Jak powiedziałem, propozycja brzmi intrygująco, aczkolwiek niebezpiecznie ociera się o próbę przekupstwa. Nie wątpię, że w normalnych okolicznościach bez trudu osiągnąłby pan zamierzony cel, lecz okoliczności są dalekie od normalnych. Po wyborze do rady złożyliśmy przysięgę, według której jesteśmy zobowiązani robić wszystko, co w naszej mocy, by zniszczyć Griaule’a. A teraz pan nas prosi, byśmy go chronili. Obawiam się, że tych dwóch stanowisk nie da się pogodzić, rozdział między nimi jest zbyt wielki. Gdybyśmy przystali na pańską propozycję, zostalibyśmy usunięci z urzędu.

Na twarzach pozostałych rajców malowała się smętna aprobata dla słów Breque’a.

Rosacher nie wiedział, co odpowiedzieć; nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Griaule... – zaczął. Udał, że musi odkasznąć. Rozpaczliwie szukał logicznego rozwinięcia swojego wywodu. – Griaule pozwolił mi zaczerpnąć swojej krwi. To pewny znak, że moje zamiary są zgodne z jego zamiarami.

– To niczego nie zmienia – zauważył Breque. – Celem rady nie jest spełnianie zachcianek Griaule’a.

– Sami przecież, panowie, twierdzicie, że kieruje waszymi poczynaniami; że decyduje o waszym losie. Jeżeli to prawda, to tak czy inaczej, wypełniacie jego wolę, nawet jeśli nie chcecie

tego przyznać.

- Chociażby przez wzgląd na naszą godność osobistą lubimy uważać, że pozwolił nam zachować resztki wolnej woli.

- Nie powinniście podejmować decyzji w oparciu o wypaczoną ontologię. Albo Griaule wami steruje, albo cała ta idea smoka boga jest niedorzeczna.

Nagle Rosacherowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Znów odkasznął, żeby dać sobie czas na zebranie argumentów. Breque zapytał, czy nie podać mu wody.

- Od jak dawna usiłujecie zabić Griaule'a? - podjął Rosacher, napiwszy się ze szklanki.

- Jeszcze przed powołaniem rady podjęto mnóstwo takich prób, w większości pochopnych i nieprzemyślanych, a często zwyczajnie idiotycznych - odparł Savedra. - Pierwsza oficjalna próba pod egidą rady odbyła się około sześciuset lat temu. Oczywiście w tej zamierzchłej przeszłości rajcy byli mianowani przez feudalnego księcia i nie mieli żadnej realnej władzy. Jeśli jednak ograniczyć się do rady w jej obecnym formacie, to takie starania trwają od ponad dwóch stuleci.

- Zmuszony jestem zatem domniemywać, że albo Griaule nie jest gotowy umrzeć, albo rajcy kompletnie nie radzą sobie z wypełnianiem składanej przysięgi. Gdybym to ja chciał zabić smoka, wyrąbałbym wszystkie lasy na okolicznych wzgórzach, obłożył jego ciało drewnem i je podpalił. Próbowano tego?

- Dwieście lat temu - przytaknął Febres-Cordero. - Silny wiatr przeniósł ogień na miasto. Trzeba je było potem odbudować ze zgliszczy. Wydarzenie to zbiegło się w czasie z usunięciem feudalnego księcia z urzędu.

- Próbowaliśmy wszystkiego, co tylko przyszło nam do głowy - przejął pałeczkę Breque. - Właśnie dlatego w końcu wyznaczyliśmy nagrodę i rozważamy coraz bardziej ekscentryczne pomysły.

- Istotnie - przyznał Rosacher - w holu czeka jeden z takich właśnie ekscentryków. Nazywa się Cattanay. Zamierza nanieść na ciało smoka malowidło, używając do tego trującej farby z wysoką zawartością ołowiu lub arsenu. Spodziewa się, że w ten

sposób w ciągu kilku dziesięcioleci uda się uśmiercić Griaule'a.

Rooney parsknął śmiechem, a Paltz pokręcił głową, jakby oszołomiony głupotą tego pomysłu, i odparł:

– My się z nim rozprawimy w znacznie krótszym czasie, to pewne!

– Cattanay uważa, że proces malowania będzie tak subtelny, że Griaule nie rozpozna w nim próby zabójstwa. A kiedy zorientuje się w sytuacji, jeżeli w ogóle się zorientuje, będzie już zbyt chory, żeby coś na to zaradzić. Przestanie was tak ściśle kontrolować. Moim zdaniem plan Cattanaya brzmi dość sensownie, ale sami będziecie musieli, panowie, go ocenić. – Rosacher utkwiał spojrzenie w Breque'u. – Ważniejsze jest coś innego: przedstawiony przez Cattanaya pomysł, którego realizacja miałaby potrwać kilka dekad, może się przysłużyć naszym wspólnym celom. Przez trzydzieści lat zgromadzimy dość funduszy, żeby zabezpieczyć przyszłość dziesięciu następnych pokoleń. Będziemy mieli również, przynajmniej teoretycznie, martwego smoka, kwitnącą gospodarkę i świetnie wyszkoloną armię. Dążycie do tego celu od sześciu wieków, panowie. Wyborcy raczej nie będą mieli wam za złe, że gratyfikacja odwlecze się o kolejne kilka lat.

– Pańska argumentacja opiera się na założeniu, że plan okaże się skuteczny – zauważył Savedra. – Co będzie, jeśli się pan myli? Jeśli Griaule przejrzy zamiary Cattanaya?

– O tym się, panowie, nie przekonacie, dopóki nie spróbujecie. Plan Cattanaya ma jednak jedną cudowną zaletę: prace przygotowawcze, takie jak rozrysowanie projektu, zbudowanie rusztowań i tym podobne, zajmą mu trzy, cztery lata. To aż nadto czasu, żeby obmyślić ewentualną alternatywę. Tymczasem my będziemy się bogacić, a miasto rozkwitać.

Twarze siedzących przy stole mężczyzn wyrażały komiczne połączenie konsternacji i skupienia.

– Ja wyłuszczyłem swoją sprawę – podjął Rosacher, wykonując przy tym taki gest, jakby uważał dyskusję za zakończoną. – Ponieważ wzywają mnie inne niecierpiące zwłoki obowiązki, pozwólcie, panowie, że zostawię was samych, abyście mogli się

naradzić.

– Jeżeli nie ma więcej pytań... – Breque spojrział pytająco na swoich towarzyszy. – Panie Rosacher, proszę przyjąć nasze szczerze podziękowania. Dzięki panu potencjalnie nużące spotkanie w niezbyt przyjaznej atmosferze okazało się spotkaniem nadzwyczaj owocnym. Zapewniam, że dokładnie przedyskutujemy wszystkie aspekty przedstawionego przez pana problemu. Proszę nam dać kilka dni, najpóźniej w piątek skontaktujemy się z panem. – Posłał Rosacherowi promienny uśmiech i wskazał drzwi. – Będzie pan łaskaw, wychodząc, poprosić tu pana Cattanaya? Nie wiem, jak inni, ale ja z chęcią wysłucham szczegółów jego propozycji.

Kiedy we dwóch z Arthurem schodzili ze wzgórza, Rosacher wybiegł myślami naprzód, do czekających go w tym dniu innych spotkań, konsultacji w sprawach umów oraz inspekcji w nowej fabryce, gdzie trwały prace serwisowe przy naprawie agregatu chłodniczego. Jeżeli uwinie się ze wszystkim przed siódmą wieczorem, będzie mógł mówić o szczęściu. Doszedł do wniosku, że najwyższy czas zatrudnić kogoś, może nawet więcej niż jedną osobę, kto pomógłby mu w prowadzeniu interesów. On zaś, załatwiwszy kwestię rady – i to, sądząc po reakcji Breque'a, z pożądanym skutkiem – powinien wrócić do badań nad krwią. Interesy pochłonęły go ostatnio w tak ogromnym stopniu, że niemal zupełnie zaniedbał pracę naukową; nie mógł się doczekać, kiedy znów spędzi trochę czasu w odosobnieniu w laboratorium. Niełatwo jednak było znaleźć ludzi, którzy byliby zarazem kompetentni i godni zaufania. Zanosilo się na to, że będzie zmuszony werbować kadrę zarządzającą na wybrzeżu, to zaś oznaczałoby konieczność wyprawienia się do Port Chantay, odbycia spotkań, rozmów... Kolejna strata czasu.

– Wybacz, ale... – Głębokie bruzdy zatroskania położyły twarz Arthura. – Powiedziałeś rajcom, że jestem specjalistą od sztuki wojennej. Przecież ja nie mam o tym zielonego pojęcia.

– Napisano na ten temat dziesiątki książek – odparł zniecierpliwionym tonem Rosacher. – A ty masz cudowny instynkt do takich spraw. Jestem pewien, że szybko nauczysz się,

czego trzeba.

– Znam litery, trochę umiem sylabizować, ale...

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nie umiesz czytać?

– Może zdołałbym przeczytać książkę, ale zajęłoby mi to całą wieczność. A i wtedy nie wiem, czy dużo bym z niej zrozumiał.

– Wobec tego ucz się – powiedział niezbyt uprzejmie Rosacher. W środku aż się gotował na myśl o otaczającej go zewsząd niekompetencji. – Jeżeli nie będziesz się uczył, Arthurze, jak chcesz awansować?

Niedługo po ósmej wieczorem Rosacher stanął przed drzwiami Ludie. Wahał się przez chwilę, czy zapukać, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że skoro zależy mu na odtworzeniu łączącej ich dawniej bliskości, powinien zachować się tak, jak na osobę bliską przystało, i po prostu otworzył drzwi. Światło było przyćmione, jego jedyne źródło stanowiła umieszczona w kącie ozdobna lampa z mocno skręconym knotem. Prostokąty okien wypełniał liliowy zmierzch. Ściany i sufit były przybrane wydymającymi się pasami na wpół przezroczystej materii w pastelowych odcieniach zielonego, żółtego i niebieskiego, które pomniejszały pokój i upodabniały go do wnętrza namiotu. Pod tak przybranym sklepieniem stał okolony poduszkami i dywanikami stół z tekowego drewna, na którym podano kolację na zimno. Wystrój odpowiadał ideałowi luksusu w rodzinnych stronach Ludie – albo raczej jej wyobrażeniom o takim ideale: urodziła się w biednej rodzinie i w wieku sześciu lat została sprzedana do właściciela burdelu w Peppertree, który z kolei sprzedał ją do hotelu Sin Salida.

Rosacher opadł na poduszki, przymknął oczy i natychmiast osaczyły go przykre refleksje związane z prowadzeniem interesów. Zamiast się odprężyć, na krótką chwilę zanurzył się w grzęzawisku powiązań biznesowych, wydatków, wiarygodności i tym podobnych spraw. Kiedy w końcu udało mu się o nich zapomnieć, pojawiło się pytanie o trzyletnią lukę w pamięci, które tak go wzburzyło, że porzucił wszelką myśl o relaksie, otworzył oczy i zobaczył stojącą nad nim Ludie. Ubrała się stosownie do wystroju wnętrza – w półprzejrzysty peniuar odsłaniający jej bujne kształty. Wyraz jej twarzy przeczył jednak temu uwodzicielskiemu wizerunkowi: malował się na niej słabo skrywany niesmak.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Rosacher. -

Przyszedłem...

– Jak było na spotkaniu z radą? – Wyciągnęła się na poduszkach po drugiej stronie stołu i wrzuciła do ust cząstkę pomarańczy. – Musiało wypaść niezłe; w przeciwnym razie w ogóle nie znalazłbyś czasu, żeby przyjść.

Streścił jej pokrótce rozmowę z radą.

– Gratuluję – skomentowała beznamiętnie.

– Nie mówisz szczerze.

– Ależ mówię! – odparła lodowatym tonem. – Nigdy w ciebie nie wątpiałam, Richardzie. Jesteś znacznie lepszym przestępcą, niż kiedykolwiek byłeś naukowcem.

– To dobra wiadomość dla nas obojga – zauważył, postanowiwszy nie odpłacać jej pięknym za nadobne. Nie chciał jej jeszcze bardziej do siebie zrażać. – Część gratulacji z całą pewnością należy się tobie. To nie był mój plan, tylko nasz, wspólny, a poza tym bez twojego wsparcia zabrakłoby mi pewnie odwagi, żeby go wcielić w życie.

– Przemawiasz jak na jakimś benefisie. Złoty zegarek też dostanę? – Jej śmiech zabrzmiał pogardliwie, nieszczerze. – A ten cały Cattanay... Myślisz, że to rozsądne, by pozwolić mu realizować ten jego plan? Co będzie, jeżeli trucizna zadziała szybciej, niż mu się wydaje?

– Zdamę go powstrzymać, zanim wyrządzi jakieś realne szkody. Kiedy Arthur stanie na czele milicji, nikt już nie pokrzyżuje nam planów. A do tego czasu... Projekt Cattanaya to przedsięwzięcie zakrojone na tak ogromną skalę, że przy nim nikt nie zwróci na nas uwagi.

Słyszał dobiegające z dołu rozmowy przechodniów i obłąkańcze ujadanie psa, które nagle ucichło i przeszło w skamlenie. Bijąca od Ludie kwiatowa woń wzmogła się. Jej oczy – duże, ciemne – wyglądały jak rozświetlone od środka.

– Nie jesteś głodny? – zapytała.

– Wcześniej tak mi się wydawało, ale właściwie to... nie.

– W takim razie... – Ludie wyprostowała się i rozpięła peniuar, który zsunął jej się z ramienia, odsłaniając pierś. Kiedy Rosacher nie zareagował, nie odrywając od niego wzroku, ujęła pierś w

dłoń i lubieżnie polizała sutek.

– Przestań! – zezłościł się.

– Niedobry z ciebie chłop. – Ludie przeszła na gwarę, jakiej używała dawniej w burdelu w rozmowach z klientami. – Dlaczego nie kces bara-bara z tom ślycnom dziewczuchom?

– Przestań!

Spiorunowała go wzrokiem.

– Nie tego właśnie chciałeś?

– Chciałem... – Rosacher pokręcił gwałtownie głową, sfrustrowany tym, że Ludie kompletnie go nie rozumie. – Tak, tego też. Ale chciałem czegoś więcej, chciałem...

– Mam sprowadzić drugą kobietę? Może we dwie łatwiej cię zadowolimy?

– Nie to miałem na myśli, kiedy powiedziałem „więcej”.

Przyglądała mu się beznamytnym wzrokiem, kiedy sadowił się po turecku na poduszkach.

– Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, prawda, Ludie? Więcej niż przyjaciółmi. Potrafiliśmy rozmawiać całymi godzinami albo... – Rosacher zacisnął pięść, jakby miał ochotę w coś uderzyć. W końcu jednak rozprostował palce i opuścił rękę. – Miałem nadzieję, że może udałoby się nam cofnąć do tamtych czasów.

– W takim razie jesteś głupcem, Richardzie. To nawet na swój sposób słodkie; tylko tyle zostało z chłopca, którego poznałam w Morningshade. A wtedy naprawdę byłeś chłopcem, miałeś w sobie młodzieńczą namiętność i zuchwałość. Z czasem jednak namiętność ustąpiła miejsca żądzy bogactwa, a zuchwałość zmieniła się w bezwzględność. Ty tego nie dostrzegasz. Owszem, może się zgodzisz z taką oceną, może nawet się do tego przyznasz, ale ponieważ tak naprawdę nie widzisz tego, pozostajesz głupcem.

Zapadł już zmrok, prostokąty okien zmieniły się w czarne flagi sygnałowe oprószone gwiazdnym komunikatem. Ludie przemówiła z tak wielką łagodnością, że przedstawiona przez nią charakterystyka Rosachera miała w sobie coś z porady mędrca.

– Kocham cię – powiedział Rosacher.

– Wcale nie. Po prostu coś poczułeś. Iskra przeskoczyła ci w

mózgu, poczułeś coś i pomyślałeś: powinniśmy się zejść z Ludie; powinniśmy wrócić do tego, jak było kiedyś. Tylko że to „kiedyś” z twoich wyobrażeń ma niewiele wspólnego z tym, jak było naprawdę. I ty o tym wiesz, ale wolisz zaprzeczać. Wolisz się czepiać tego ulotnego uczucia, bo w ostatnim czasie jest to jedyna rzecz w twoim życiu niemająca nic wspólnego z interesami.

Wszystko, co mówiła, każde jej słowo, coraz bardziej go pomniejszało. Bał się, że jeśli będzie przemawiała zbyt długo, on skurczy się w końcu do rozmiarów homunkulusa, maleńkiego ludzika siedzącego na ogromnej poduszce, rozbitka wyrzuconego na pluszową bezludną wyspę.

– Ja też jestem głupia – ciągnęła. – Kiedyś myślałam, że cię kocham. Wiedziałam, że cała moja miłość została ze mnie wydarta przemocą i kopniakiem wygnana na ulicę, ale uczepliłam się tej myśli. Miłość była dla mnie ucieczką, mogłam o niej marzyć, kiedy ujeżdżał mnie jakiś cuchnący łajdak. Była moją bajką. Najpiękniejszą baśnią. Nie potrafiłam jednak czepiać się jej w nieskończoność, musiała w końcu przeminąć... Twoje uczucie również przeminie. Za tydzień będziesz zaabsorbowany czymś zupełnie nowym.

– Ale jesteśmy przyjaciółmi, prawda? – spytał. – Chociaż tyle nam zostanie: przyjaźń.

– Jest coś, co nas łączy, ale...

– Tak?

– Wszystko ci zawdzięczam, Richardzie. Życie. Pieniądze. Wolność. – Postukała palcem w skroń. – Nauczyłeś mnie, jak tego używać i zachowywać się jak dama. Jestem ci za to wdzięczna i dlatego trwam przy tobie. Jednak z tych samych powodów, dlatego że to właśnie ty wszystko zrobiłeś, ty wydzwignąłeś mnie z Morningshade, mam do ciebie żal. Nic na to nie poradzę. Tak dużo ci zawdzięczam, że wciąż czuję się cudzą własnością. To silniejsze od przyjaźni.

– To niedorzeczne. Nie jesteś mi nic winna. Nie musisz dla mnie pracować. Mogę znaleźć innego księgowego.

Po jej minie poznał, że poczuła się dotknięta – i miło mu się zrobiło, że w dalszym ciągu potrafi ją zranić; że nie jest jej

zupełnie obojętny.

– Zostanę tak długo, aż uznam, że nastał właściwy moment, by odejść. A gdy odejdę, to niedaleko, na drugą stronę wzgórza, gdzie nie będę musiała oglądać tej przeklętej gadziny za każdym razem, gdy tylko wyjdę za próg.

Wyciągnęła spomiędzy poduszek lakierowaną szkatułkę i postawiła ją na stole. Wyjęła z niej fajkę z długim prostym cybuchem i mosiężną główką, której bok zdobił wypukły miniaturowy wizerunek smoka.

– Tego właśnie pragniesz – powiedziała. – Jeszcze raz dotknąć tamtej nocy, gdy w naszym życiu pojawił się Arthur. Wydaje mi się, że oboje tego chcemy. Wiele spraw pogmatwało się między nami; tego nam teraz trzeba, żeby wszystko wyprostować.

– Dziękuję, ale nie.

Ludie nabiła fajkę wilgotnym tytoniem.

– Czyżbyś zapomniał, na czym polega dobra zabawa? – Wgniotła w tytoń szarobiałą granulkę wilu. – Takie mam wrażenie: zapomniałeś w tym samym momencie, gdy wpadłeś na pomysł zbiccia fortuny. W jednej chwili byłeś Richardem, jakiego znałam, słodkim, szalonym chłopcem, a w następnej stałeś się ugrzeczniomy i wygładzony jak biskup w niedzielny poranek. Nic się ciebie nie ima, taki jesteś gładki.

Wyjęła ze szkatułki zapalną, potarła ją o paznokieć kciuka i zapaliła od niej fajkę, a potem się zaciągnęła. Rozparła się na poduszkach, z rozchylonych ust zaczęły wyciekać strużki dymu.

– Mhmmm... – mruknęła gardłowo.

Wzdrygnęła się delikatnie. Przymknęła na moment oczy i znowu się zaciągnęła. Po trzecim razie zaczęła sprawiać wrażenie, jakby bardziej niż przedtem wypełniła opinającą ją skórę; jakby w ciągu tych kilku chwil raptownie dojrzała. Oczy jej błyszcząły roztańczonymi ognikami.

– Dotknij mnie – powiedziała, przeciągając niewyraźnie zgłoski.

Niechętnie – bo część jego istoty, niewielka część, chciała się oprzeć tej fałszywce, temu chemicznemu podstępowi – ujął w dłoń jej pierś i kolistym ruchem kciuka potarł sutek. Ludie zatrzepotała powiekami, przygryzła wargę i wydała melodyjny

dźwięk – doskonale Richardowi znany, nawet jeśli niesłyszany od miesięcy; dźwięk, który teraz wywarł na nim dziwne wrażenie: rozpałił jego pożądanie, a zarazem przyprawił go o osobliwy dreszcz, jakby jej podniecenie w jakiś sposób mu zagrażało. Złapała jego dłoń, podniosła ją do ust i polizała czubek wskazującego palca. Na jej twarzy odbiło się całe piękno miłości: jej rysy złagodniały, oczy wyrażały czułość. Emanowała żarliwym pragnieniem miłosego oddania.

– Richardzie... – powiedziała. Reszta tego zdania, choć niewypowiedziana, bynajmniej nie została nieusłyszana.

Ulicą pod oknem przejechał ktoś na koniu; rytmiczny stukot kopyt oddalił się, zawstydzony swoją słabością Rosacher sięgnął po fajkę.

Tej nocy śniła mu się przepastna komnata o lekko zakrzywionym sklepieniu, tak długa, że nie widział żadnego z jej krańców. Po ścianach przepływały czarno-złote ornamenty z krwi Griaule'a, niczym tajemnicze symbole wypisane ręką Boga na łuskowatej skórze węża; przywodziły na myśl znaki dawno zapomnianego pisma. Być może stał w środku krwiobiegu smoka – nie czuł wprawdzie, żeby nurt nim targał, nie miał kłopotów z oddychaniem i otaczał go kojący spokój, ale gdy tylko spróbował się poruszyć, wzory zafalowały i odkształciły się w taki sposób, jakby wzburzył powierzchnię wypełniającej przestrzeń cieczy. Starał się skupić na deseniach, skoncentrować na jakimś wybranym z wielu wiecznozmiennych kształtów – i wtedy właśnie osłupiał stwierdził, że jeden z nich wyostrza się, rośnie i zmienia w człekokształtną postać, która szybkim krokiem zbliża się do niego. Sądząc po wzroście, mogłaby być człowiekiem, lecz Rosacher podejrzewał, że jest istotą nadprzyrodzoną. Z bliska dostrzegł, że to mężczyzna; był ubrany w czarny garnitur (z niemodną długą marynarką) i miał obandażowane dłonie. Bandaż przesłaniał także lewą połowę jego twarzy. Kapelusz z obwisłym rondem, który pomagał okiełznać strzechę siwiejących włosów, rzucał obszerny cień na jego oblicze. Nigdzie nie było widać krzesła, lecz mężczyzna usiadł i założył nogę na nogę, jakby krzesło samo pod nim wyrosło, uformowane z płynnej złoto-czarnej krwi.

– Witaj, Richardzie – przemówił po dłuższej chwili skrzypiącym głosem.

Rosacher – zaskoczony tym, że nieznajomy w ogóle mówi – cofnął się odruchowo, pośliznął i byłby upadł, gdyby nie krew: podsunęła mu uformowaną naprędce poduszkę, w którą się zapadł.

– Co to za miejsce? – zapytał, usiłując usiąść: niby-poduszka

była tak idealnie gładka, że miał kłopot z przyjęciem stabilnej pozycji.

Nieznajomy parsknął śmiechem.

– Jesteśmy we wnętrzu Griaule’a, prawda? – indagował Rosacher. Rozejrzał się w poszukiwaniu dalszych poszlak, które potwierdziłyby jego podejrzenia.

– W taki czy inny sposób zawsze jesteśmy we wnętrzu Griaule’a – odparł jego rozmówca. – Nawet w najbardziej pogodny dzień stanowimy część jego cienia.

Ta wypowiedź miała w sobie coś z często powtarzanego truizmu. Rosacher najeżył się na te słowa, podobnie jak najeżyłby się na wszystko, co zalatywałoby fanatyzmem.

– Kim jesteś? – zapytał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Pośłańcem.

– Spotkaliśmy się już kiedyś? Sprawiasz wrażenie, jakbyś mnie znał.

– Łączy nas pewna ograniczona zażyłość, chociaż wątpię, byś chciał się do niej przyznać. Tak czy inaczej, znam cię dobrze. Zapomniałem jednak, jaki z siebie żółtodziób.

Mężczyzna zgiął się wpół wstrząsany paskudnym atakiem kaszlu. W końcu wyprostował się, przyklepał kłapy marynarki i przyglądał spodnie, jakby zatroskany możliwością pomarszczenia się materiału.

– Bądź ostrożny, kiedy się przebudzisz – ciągnął coraz bardziej świszczącym, chrypliwym głosem. – Nie reaguj na to, co zobaczysz lub usłyszysz. Nie wzywaj pomocy. Wymknij się z łóżka najciszej, jak tylko dasz radę. Twoi wrogowie czyhają w pobliżu.

– Czy teraz śpię?

– Śpisz, chociaż to nie jest sen. Weź sobie do serca moje ostrzeżenie, w przeciwnym razie nie doczekasz świtu.

– Jeżeli to nie jest sen, to co? Jakaś... wiadomość?

– Zamiast niepotrzebnie głowić się nad naturą tego doświadczenia, po prostu mnie posłuchaj!

Mężczyzna znowu się rozkaszłał. Tym razem trwało to znacznie dłużej i w końcu Rosacher zaproponował, że mógłby go zbadać,

jeśli tylko nieznajomy wyrazi taką chęć. Zwłaszcza że jego zdaniem kaszel sugerował jakąś poważną, głęboko zagnieżdżoną chorobę.

– To nic takiego – odparł tamten. – Słyszałeś, co ci przykazałem?

– Tak. Mam nic nie mówić i wymknąć się z łóżka.

– Cichaczem!

– Tak, tak, zrozumiałem. Cichaczem. Ale na twoim miejscu bym się przebadał – nie ustępował Rosacher. – Ten kaszel...

Przeszło mu przez myśl, że udzielanie porad medycznych istocie, która może być wytworem jego wyobraźni, jest skrajnym idiotyzmem, lecz mimo to zapytał intruza, jaki element rzeczywistości reprezentuje. Czy jest ucieleśnieniem smoka? Podobizną przysłaną w celu przekazania wiadomości? Czy raczej zatrudnionym do tego zadania prawdziwym, żywym człowiekiem? I w jaki sposób dowiedział się o jego przyszłych losach?

– Gdybym na pierwsze dwa z twoich pytań odpowiedział twierdząco, nie byłbym daleki od prawdy, natomiast trzecie z nich wymaga bardziej złożonej odpowiedzi. Griaule był niegdyś istotą śmiertelną, długowieczną, owszem, lecz taką, której pisana jest śmierć. Z czasem jednak nie tylko urósł w sensie fizycznym, lecz także znacząco rozszerzył zakres swoich wpływów. Nazwanie go demiurgiem byłoby może przesadą, lecz porównanie go do takowego jest jak najbardziej na miejscu; mógłby być jedną z inkarnacji stwórcy. Jego ciało zespoliło się z ziemią w jedno. Dziś Griaule zna każdy jej wstrząs, każde drgnienie, jego myśli szybują swobodnie w przestrzeni, a jego umysł jest jak chmura, która otula cały nasz świat. Jego krew... – Tu mężczyzna zamaszystym gestem objął całe otoczenie. – Jego krew to szpik czasu. Stulecia i dni przepływają przez niego, zostawiając po sobie osad, który on chłonie i włącza do swojej istoty. Czy wobec tego fakt, że zna naszą przyszłość, jest naprawdę aż taki niezwykły?

– Bzdura – odparował Rosacher rozdrażniony pewnością siebie intruza. – Griaule jest gadem, gigantycznym jaszczurem, który

może posiadać pewną moc, zdolność wpływania na słabe umysły, ale mimo wszystko jest tylko gadem, a więc pozostaje śmiertelny. Krwawi, oddycha i kiedyś umrze.

– Umrze wtedy, kiedy zechce umrzeć. Podobnie jak wszystkie doskonałe dusze udzielające światu swojego blasku. Ja jednak przyszedłem cię ostrzec, a nie prowadzić dysputy filozoficznej.

– To nie dysputa. Nie obraliśmy żadnego przedmiotu dyskusji.

Nieznajomy wstał i zmierzył Rosachera wzrokiem.

– Jesteś głupcem, ale w planach Griaule’a przewidziano miejsce także dla głupców. Nie zastanawiasz się, po co zostałem przysłany?

– Nie bardziej niż nad tym, dlaczego śwędzi mnie tyłek. Domyślam się, że jest to reakcja na jakiegoś rodzaju podrażnienie.

Intruz pokręcił ze smutkiem głową.

– Kiedy cię słucham, to prawie chciałbym, żeby moje ostrzeżenia poszły na marne – powiedział.

Zasalutował krótko, oddalił się równie szybkim krokiem, jak wcześniej podszedł, i wtopił się w mrowie ciemnych sylwetek unoszonych smoczą krwią. Nagłe odejście nieznajomego wstrząsnęło Rosacherem równie mocno jak wcześniej jego pojawienie się; usiłował jeszcze za nim wołać, nie chcąc zostać całkiem sam w tym miejscu – a gdy intruz nie zareagował, próbował pocieszyć się myślą, że gdyby jednak dał się zatrzymać, mógłby okazać się jeszcze bardziej denerwujący.

Przeptywające we krwi wzory mąciły mu wzrok. Zamknął oczy, ale wciąż widział je pod powiekami i dał się uwieść ich miarowemu przepływowi, nieustającej ewolucji, a w końcu także przekazom, które od nich odbierał: zawirowaniom emocji, skrawkom krajobrazów... Wszystko to były okruchy pamięci, w których jednak nie rozpoznawał własnych wspomnień. Były jak odbłaski światła na łuskach ozdobnych karpi pod złocistą powierzchnią stawu.

Obudził się w całkowitych ciemnościach. Deszcz tłukł o mury, pod sobą czuł sprężysty materac i satynową pościel, wnętrze wydało mu się dziwnie znajome. Jego pokój. Jego dom.

Odruchowo sięgnął po świecznik, ale w tej samej chwili przypomniał sobie słowa nieznanego. Słuchanie ostrzeżeń wyrażonych we śnie wydawało się szczytem niedorzeczności, ten sen był jednak tak niezwykły w formie i treści, że Rosacher nie potrafił go zlekceważyć. Wstrzymał oddech i wysliznął się spod przykrycia. Podłoga była zimna. Modląc się, by deski nie zaskrzypiały, po omacku dotarł wzdłuż ściany do kąta. Wciśnięty weń plecami, poczuł się jeszcze bardziej głupio z powodu podporządkowania się zasłyszonym we śnie poleceniom.

Rozległ się jakiś niezwykły dźwięk. Rosacher zamarł. Zegar tykał, deszcz bębnił, chłód bijący od podłogi rozlewał się po całym ciele. Odgłos dobiegający od strony łóżka przypominał grzmocenie drewnianym młotem w poduszkę. Rosacher zaczął się przesuwając ku drzwiom, namacał klamkę... gdy wtem oślepił go błysk światła. Kiedy oczy oswoiły się z powodzią blasku, ujrzał klęczącą na łóżku zakapturzoną postać. Kaptur odwrócił się w jego stronę. Intruz w jednej ręce trzymał sztylet, w drugiej zaś błękitno-biały gwiazdzisty klejnot będący źródłem jasności.

Zabójca rzucił się w stronę Rosachera. Osłupiały cudem zdołał złapać napastnika za przegub dłoni trzymającej sztylet i razem z nim przeturlał się po dywanie u stóp łóżka. Na chwilę zdobył nawet niewielką przewagę i usiadł okrakiem na zabójcy – ten jednak zaraz przewrócił go na plecy (najwyraźniej przyszło mu to bez większego wysiłku), przyszpilił kolanami do ziemi i zaczął przyciskać mu sztylet do gardła. Czubek ostrza rozciął skórę żuchwy. Rosacher krzyknął rozpaczliwie i spróbował zrzucić wroga, wierzgając nogami; resztę sił zużył na powstrzymanie morderczego noża. Nie widział nawet kawałka twarzy agresora, mimo że porzucony przez niego klejnot spadł na podłogę i wciąż świecił.

Zabójca poprawił dłoń na rękocyfeli sztyletu i na ułamek sekundy napór na gardło Rosachera zelżał. Korzystając z okazji, znów rozdzierająco wrzasnął. Ostrze zadrasnęło go jeszcze dwukrotnie – raz w bark, drugi raz w obojczyk. Dławił go stęchły odór wełnianej peleryny intruza i pieprzowo-cebulowe wyziewy po jego ostatnim posiłku. Zdał sobie sprawę, że dopóki leży na

wznak, nic nie wskóra, i w nagłym przypiływie energii kopnął przeciwnika kolanem w plecy, a gdy ten po ciosie pochylił się mocno, Rosacher wyśliznął się spod niego i zerwał na równe nogi, łąpczywie chwytając powietrze. Zabójca także się poderwał, przyczał na ugiętych nogach, zamarkował pchnięcie sztyletem... W tej samej chwili drzwi otworzyły się z impetem, światło lampy rozorało półmrok i do pokoju wparowało trzech służących. Zawahali się, ale trwało to tylko ułamek sekundy: we trzech rzucili się na intruza, powalili go i przygnietli do ziemi. W drzwiach stanął Arthur z pistoletem w ręce, ubrany w sięgającą mu do kościstych kolan koszulę nocną. Wyczerpany Rosacher zatoczył się na łóżko i usiadł. Napastnik leżał spokojnie, nie próbował się wyrwać trójce przytrzymujących go ludzi, z których jednego zdążył jeszcze zranić sztyletem w rękę. Kaptur spadł mu z głowy, odsłaniając dziecięcą jeszcze twarz jasnowłosego chłopca w wieku około szesnastu lat. Wyglądał, jakby się modlił: oczy miał zamknięte, bezgłośnie poruszał wargami.

Rosacher spojrzał na niego bez odrobiny litości.

– Sama modlitwa nie wystarczy, jeśli chcesz dożyć poranka – powiedział.

Powieki chłopaka zatrzepotały, ale nie przestał się modlić.

– Jesteś ranny? – zainteresował się Arthur.

– To nic poważnego. – Rosacher wskazał leżący na podłodze klejnot. – Podaj mi go.

Arthur podniósł klejnot.

– To kościelna błyskotka – zauważył.

Klejnot był zbliżony wielkością do brzoskwini, ciepły w dotyku i oszlifowany od góry. Już nie świecił. Rosacher obejrzał go pobieżnie i odrzucił na łóżko.

– Co ty tu robisz? – zapytał Arthura.

– Nowa pomoc kuchenna przekonała mnie, żebym został na noc – odparł z zażenowaniem dryblas. – Dobrze się stało, jak widać.

– Gdzie Ludie?

– Chyba jeszcze na przejażdżce. Mówiła, że wróci dopiero jutro.

Służącej, która zajrzała przez próg, Arthur kazał przynieść

bandaże i maści. Roztrzęsiony Rosacher wstał, zachwiał się na nogach i chwycił kolumnienki łóżka. Arthur jeszcze raz zapytał, czy wszystko w porządku, ale Rosacher udał, że nie słyszy, i pokazał ręką na niedoszonego zabójcę.

– Zabierz go do piwnicy i przesłuchaj. I poślij kogoś do koszar, potrzebuję dwudziestu ludzi.

– Co zamierzasz?

– Po prostu sprowadź mi dwudziestu ludzi. Tylko zaufanych! I niech się przebiorą w cywilne ciuchy. – Rosacher wskazał trzech służących, którzy dźwignęli chłopaka z podłogi. – Dopilnuj, żeby dostali jakieś pieniądze.

Po wyjściu Arthura przeszedł do łazienki i zapalił kinkiet. W głowie kotłowały mu się wspomnienia, nowe mieszały się ze starymi, kojarzyły się z odpowiednimi zdarzeniami, czasem, miejscami... Zanim jeszcze spojrział w lustro, zdał sobie sprawę, że oto doświadczył drugiego, znacznie dłuższego przeskoku w czasie. Sześć lat! Nie, siedem. Siedem lat. Zdumiał się tym, jak bardzo się przez ten czas zmienił. Nie golił już głowy, przyprószone siwizną kręcone włosy opadały mu na kark. Twarz miał szczuplejszą, bardziej surową niż przedtem, z głębokimi bruzdami wokół ust i oczu: władcze oblicze, nawykłe do nieokazywania uczuć i – zdaniem Rosachera – z wielu powodów godne podziwu. Malowała się na nim nieznaną mu wcześniej stanowczość, będąca odbiciem jego pragmatycznej natury. Zapewne dzięki niej był teraz znacznie mniej zdezorientowany niż za pierwszym razem. Nauczył się przystosowywać do zmian.

Nijak nie mógł się oswoić z myślą, że skradziono mu kolejne kilka lat.

Krew sącząca się z rozcięcia na brodzie i zadraśnięcia na czole ściekała po szyi i policzku. Duża plama rozlała się po koszuli nocnej na wysokości barku. Zdjął koszulę i obejrzał rozcięcia na ramieniu i obojczyku: były płytkie i już prawie przestały krwawić. Buzujący w nim gniew, który zdążył nieco przygasnąć, wybuchł na nowo i wybił się ponad inne emocje jak górski szczyt nad morze chmur. Wściekał się na Kościół, który z pewnością zatrudnił i nasłał zabójcę, ale znacznie bardziej zły był na samego

siebie, na cały świat i na wiedzę, której nie posiadał w stopniu, jakiego pragnął... a także na Griaule'a, ponoszącego ostateczną odpowiedzialność za jego mózół i rozczarowanie. Żaden cios w głowę nie mógł mieć takich skutków; nie było sensu dłużej zaprzeczać, że nie kto inny, jak monstrualny jaszczur rządzi jego przeznaczeniem. Fakt, że smok postanowił go ocalić i dlatego przysłał swojego posłańca, nie stanowił żadnej pociechy. Darowano mu życie tylko dlatego, że czekał go inny, znacznie bardziej skomplikowany los. Oddałby w tej chwili wiele za jakies zaklęcie, łyżkę lekarstwa, modlitwę, cokolwiek, co przywróciłoby mu utracone lata. Miał zamęt w głowie, jego myśli miały się rozpaczliwie na wszystkie strony.

Z zadumy wyrwało go ciche stukanie do drzwi. Szarpnął za klamkę gotowy obrzucić nieproszonego gościa stekiem wyzwisk... ale to tylko służąca – szatynka o krótko przystrzyżonych włosach, z bujną piersią i szerokim uśmiechem na ciastowatej twarzy, której pospolita uroda w niedługim czasie nieuchronnie ustąpi pola korpulentnej monotonii i podwójnemu podbródkowi – przyniosła maści i bandażę. Kiedy w niemym skupieniu zaczęła nakładać mu maść, odczuł nagłą potrzebę odzyskania kontroli nad życiem, chęć narzucenia mu swojej woli, które to pragnienie płynnie połączyło się z inną, mniej subtelną żądzą. Pomacał jej piersi. Nie miała nic przeciwko takiej poufałości; sądząc z jej reakcji, równie dobrze mógłby ją poklepać po głowie. Kiedy uporała się z zakładaniem mu opatrunku, przytrzymał ją i oparł o umywalkę. Zadarła spódnicę i popieściła się palcem, szykując się na jego przyjęcie. Jej krowia potulność zirytowała go do tego stopnia, że przez następne dziesięć, piętnaście minut usiłował ujrzeć na jej tępej twarzy choćby ślad czegoś zbliżonego do namiętności; kiedy zwiesiła głowę, kazał jej podnieść wzrok i przeglądać się w lustrze. W końcu zamknęła oczy, zacisnęła wargi i wydała z siebie wątlý pisk.

Odesłał ją, przykazawszy wziąć jedną z leżących na komodzie monet. Może nie odzyskał w ten sposób całkowitej pewności siebie, ale na pewno wzmocnił nieco wiarę we własne siły. Ubrał

się i zszedł do piwnicy, żeby sprawdzić, czego udało się dowiedzieć od zabójcy.

Ze wszystkich budynków na szczycie Zmiennej Grzędy katedra była najświetniejszym i najbardziej eleganckim: łagodne łuki i strzelistość bryły przywodziły na myśl skojarzenia z dziełem natury, takim na przykład jak biała gołębica siedząca w gnieździe. W miejscu, gdzie u gołębia wyrastałaby szyja i głowa, wznosiła się tępo zakończona iglica, na której wierzchołku zatknięto kryształ wielkości małego domu; to z tego klejnotu pochodziło świcidełko, które miał przy sobie zabójca. (Kryształy te wydobywano tylko i wyłącznie w jaskiniach ciągnących się pod Katedrą Lwicy w dalekim Mospielu, siedzibie najwyższych władz Kościoła, a osadzenie jednego z nich na szczycie nowej wieży zawsze odbywało się z wielką pompą). Zamiast jednak odcinać się od mniej ambitnych gmachów rządowych, katedra łączyła je, scalała, jakby była ołtarzem, przed którym inne, skromniejsze budynki ustawiono równo jak ławki w kościele.

Wzeszła gwiazda zaranna i niebo zaczęło jaśnieć; zanim Rosacher z oddziałem milicji dotarł do katedry, przybrało intensywnie ciemnobłękitny odcień. Połowę ludzi – uzbrojonych w karabiny i dowodzonych przez oficera – oddelegował do obstawienia wyjść z plebanii na tyłach właściwego kościoła, a drugiej połowie przykazał strzec dwuskrzydłowych drzwi od frontu. Kiedy wszyscy zajęli pozycje, wziął dwie latarnie i rozbił je o drzwi. Płonący olej rozlał się po drewnie i wkrótce drzwi stanęły w ogniu. Arthur postawił czterech ludzi przy wejściu na plac. Ojcowie miasta wykazali się wprost niezwykłą intuicją i jako główną drogę dojścia do katedry pozostawili wąziutki zaułek między domami, w którym z trudem mogły się minąć dwie osoby – co znakomicie ułatwiało ewentualną obronę kościoła przed rozgniewanym tłumem. Rosacher nie spodziewał się szczególnie silnego oporu; w ubiegłych latach wpływy Kościoła, zarówno w samym Teocinte, jak i gdzie indziej, zostały

poważnie ograniczone za sprawą popularności wilu.

Rosacher – znacznie już spokojniejszy, odkąd zdecydował się zrobić ten krok – roztrącił nogą stertę płonących desek i wszedł do środka. Z przodu mignął mu kapłan zeskakujący z ołtarza i znikający w przejściu prowadzącym na plebanię. Nie licząc dobiegającego zza pleców Rosachera syku płomieni, w nawie panowała cisza. Choć miał do Kościoła stosunek skrajnie cyniczny, katedralny gmach – z budzącymi lęk pustymi czarnymi ławkami i sklepieniem przyozdobionym wyobrażeniem przyjscia Łagodnej Bestii (jej samej nie było widać, a jej obecność sugerowała tylko powódź białego blasku, przed którą gięły się w ukłonach inne, pomniejsze istoty, w tym także człowiek) – nagle wydał mu się onieśmielający. Wyłożone ciemnozielonymi dywanami nawy prowadziły ku ołtarzowi, który wyglądał jak podniesiona scena teatralna przybrana różnymi odcieniami zieleni i oddzielona od reszty kościoła aksamitnymi sznurami. Wznosiło się na niej siedem drewnianych tronów, których złote i lazurytowe desenie wskazywały rangę zasiadających na nich dostojników, a nad tym wszystkim zwieszał się kryształ – mniejszy od tego na szczycie wieży, lecz zarazem dostatecznie duży, by jego światło dosięgło wszystkich zakamarków wnętrza. Sceneria budziła grozę chyba nawet w sercu Arthura, ale gdy ponaglił członków milicji do wejścia, ci – prowadzeni przez Rosachera – podeszli w końcu aż do stóp ołtarza.

– Wasz zabójca nie żyje! – zawołał Rosacher. – Czy naprawdę muszę was wykurzyć z nor?

Odczekał chwilę, a gdy odpowiedź nie nadeszła, przemówił ponownie:

– Chcę rozmawiać z biskupem Ruizem! Macie dwie minuty, żeby go do mnie przysłać. Dwie minuty! Potem wezwę swoich ludzi.

– Jaki jest plan? – spytał Arthur.

– To zależy od biskupa – odparł Rosacher.

– Spalenie drzwi kościoła... Kardynałowie z Mospielu nie będą zachwyceni.

– To co mam z nimi zrobić? Zabić ich?

– Nie można im ufać. Ukradłeś miedziaka, ukradnij koronę; jeśli

cię złapią, i tak pójdziesz siedzieć.

– Może faktycznie ich pozabijam. Nigdy jednak nie należy działać pochopnie, dopóki nie wyczerpią się wszystkie możliwości negocjacji.

– Myślałem, że jesteś wściekły. Ja, kiedy się złoścę, nie myślę o niczym.

Rosacher odchrząknął z rozbawieniem.

– To może ci się wydać pouczające.

Z drzwi prowadzących na plebanię wyszedł szczupły kapłan w brązowej szacie, o cerze tylko o ton jaśniejszej niż skóra Ludie. Miał sztywne szpakowate włosy i twarz przystojnego mężczyzny w średnim wieku: pełne wargi, szeroki nos, wysokie czoło.

– Dzień dobry, biskupie – odezwał się Rosacher. – Przepraszam za tak wczesne przebudzenie, ale mój nocny spoczynek również został dziś zakłócony... i to w nadzwyczaj nieprzyjemny sposób.

– Jeżeli natychmiast pan stąd wyjdzie, może uda mi się za panem wstawić i wyjednać dla pana łaskawość Bestii – powiedział surowo Ruiz.

Wyprostował się, jakby szykował się do wygłoszenia ślubowania albo rzucenia klątwy, ale Rosacher podszedł jeszcze bliżej i odparował:

– Proszę się nie łudzić, wasz animistyczny bełkot nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. Człowiek, który tak długo jak pan siedzi w biznesie religijnym, na pewno umie rozpoznać zatwardziałego sceptyka, hmm? Proponuję darować sobie tę szopkę i wspólnie poszukać rozwiązania, które pozwoliłoby panu przeżyć dzisiejszy poranek.

Ruiz na pozór zachowywał stoicki spokój, lecz można było odnieść wrażenie, że powietrze wprost faluje od jego strachu.

– Nie będę z panem rozmawiał, dopóki pańscy ludzie okupują świątynię.

Rosacher odprawił milicjantów.

– Proszę bardzo – powiedział. – Żadnych świadków poza Arthurem, którego może pan traktować jako żywotnie zainteresowanego przebiegiem naszej rozmowy.

– Jest pan bezczelny. Ma pan pojęcie, jak wielka siła zostanie

skierowana przeciwko panu po tym, czego się pan dzisiaj dopuścił? Gdy tylko wieści o waszym świętokradztwie dotrą do Mospielu, nikt tam nie będzie zwlekał z reakcją.

– Wieści wcale nie muszą dotrzeć do Mospielu. W każdym razie nie w takiej formie, którą uznałby pan za zadowalającą. – Rosacher zamaszystym gestem wskazał biskupowi miejsce obok siebie, na ławce w pierwszym rzędzie. Arthur oparł się o balustradę przy ołtarzu. – Już od dłuższego czasu zastanawiam się nad tym, jakie będzie oddziaływanie osłabionego Kościoła na moje interesy. Spodziewałem się, że ograniczenie jego wpływów będzie mi sprzyjało, nie przewidziałem jednak, że te wpływy będą aż tak szybko zanikać. Nie sądziłem również, że Kościół sięgnie po tak desperackie środki. Domyślam się, że rozkaz zabicia mnie wydał ten stary pierdziel z Mospielu?

Ruiz zachował wyniosłe milczenie.

Rosacher prychnął ze złością.

– Pański upór nie ma sensu, biskupie. Chłopak do wszystkiego się przyznał.

– Skoro zna pan odpowiedź – odparł Ruiz – po co zadaje pan pytanie?

– Próbuję potwierdzić, że to Jego Świątobliwość wydał rozkaz, a nie pan. Stan mojej wiedzy znacząco zaważy na tym, jak załatwię tę sprawę.

Ruiz przez chwilę przetrawiał słowa Rosachera, zanim ledwie zauważalnie skinął głową.

– Przy podejmowaniu tego rodzaju decyzji nie mam nic do powiedzenia – odparł.

– Dlaczego powierzono to zadanie takiemu dzieciakowi? Czyżby Kościół aż tak nisko mnie cenił?

– Musi pan zrozumieć, że ja od początku byłem temu przeciwny. Jednakże pomijając moje zdanie w tej kwestii, nie było to jego pierwsze zlecenie. Uznano, że ma wystarczające kompetencje.

– Ach tak. W takim razie śpieszę pana zapewnić, że ostatecznie je stracił.

– „Uznano”? – wtrącił Arthur. – Dlaczego nie „uznaliśmy”?

– Moim zdaniem było to zbędne posunięcie – wyjaśnił Ruiz. –

Wobec czasu trwania Kościoła życie jednego człowieka jest ulotne i mało znaczące. Nawet jeśli dożyje pan pisanej panu starości, nie potrwa to długo.

– Nadzwyczaj rozsądne podejście – przyznał Rosacher. – Tyle że produkcja wилu będzie trwała jeszcze długo po mojej śmierci.

– Doskonałość szybko się nudzi – prychnął Ruiz.

– To akurat szczerą prawdą, która chyba najlepiej tłumaczy długowieczność Kościoła.

Biskup powstrzymał się od komentarza.

– Moglibyśmy zapewne wdać się w rozważania na temat tego, czy narkotyk jest lepszy – podjął Rosacher – ale lepiej będzie przeznaczyć ten czas na opracowanie strategii, która pozwoli nam współistnieć.

– Czy pan sobie ze mnie żartuje?

– Gdzieżbym śmiał.

– Nie wierzę panu. Słyszałem, że należy pan do tego rodzaju drapieżników, które lubią wylizać ofiarę ze wszystkich stron, zanim przegryzą ją na pół. Odmawiam udziału w tym procederze.

– A kogo to ostatnio przegryzłem na pół?

Ruiz odwrócił się od Rosachera i utkwiał wzrok w zielono-złotej otchłani ołtarza.

– Nie chce pan ze mną rozmawiać? Mimo że może pan na tej rozmowie skorzystać?

Biskup z westchnieniem zamknął oczy.

– W takim razie ja będę mówił – ciągnął Rosacher. Założył nogę na nogę i odchylił się na oparcie ławki. – Niemal pięćdziesiąt lat temu Kościół zwołał synod, aby podjąć decyzję o ewentualnym włączeniu Griaule'a do oficjalnego panteonu. Zgodnie z tym, czego można się było spodziewać, postanowiono zachować status quo, jednakże przewaga jego zwolenników była minimalna. Moim zdaniem nadszedł czas, by synod zebrał się ponownie i jeszcze raz rozważył tę sprawę.

Ruiz chyba miał ochotę coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język, zacisnął usta i milczał.

– Trochę się zapędziłem – mówił dalej Rosacher. – Gdyby skutkiem moich dzisiejszych działań miała być wojna, a Kościół

wszczynał już przecież wojny ze znacznie bardziej błahych powodów, byłby to konflikt długi i kosztowny. Mam w kieszeni milicję i radę miasta i zaręczam, że Teocinte stawi zaciekły opór, bez względu na to, jak ogromne siły zostaną rzucone przeciw miastu. Tego wszystkiego można jednak jeszcze uniknąć na drodze pertraktacji.

– Ostrzegano mnie również przed negocjacjami z panem – przyznał Ruiz.

– W takim razie jest pan stosownie przygotowany, czyż nie?

Biskup skinął lekko głową.

– Ma pan jakąś konkretną propozycję? – spytał.

– Owszem. W zamian za zaniechanie przez Kościół wrogich działań wobec mnie jestem gotowy oddać mu po upływie dwudziestu pięciu lat wszystkie fabryki i zapasy towaru, a także scedować nań kontrakty z podwykonawcami i w ogóle przekazać wszystko, co niezbędne do produkcji i sprzedaży wilu. Zgodzę się również ujawnić proces rafinacji produktu. Ze swojej strony obiecuję zaś zaprzestać ciskania gromów na Kościół.

Ruiz spojrział na Rosachera z ukosa.

– Umowa wydaje się dość jednostronna. Dlaczego jest pan skłonny aż do takiej kapitulacji?

– Już dziś jestem człowiekiem majątnym, a za dwadzieścia pięć lat będę wręcz obrzydliwie bogaty. W ciągu najbliższej dekady wil stanie się małą częścią mojego imperium handlowego, dzięki czemu w zamian za coś, co nie ma dla mnie w praktyce wielkiego znaczenia, kupuję sobie święty spokój. Oczywiście nigdy całkowicie nie zaufam Kościołowi, ale mam przynajmniej nadzieję, że nie skieruje przeciw mnie jakiejś wielkiej armii.

Ruiz uśmiechnął się półgębkiem.

– Być może powinniśmy byli nasłać tego zabójcę już wcześniej, lata temu.

– Lata temu nie mógłbym wam złożyć takiej oferty. Dzisiaj mogę. Czy przekaze pan moją propozycję do Mospielu?

– Jaką mamy gwarancję, że naprawdę ujawni nam pan proces rafinacji wilu?

– Taką samą jak ja, że nie będzie dalszych zamachów na moje

życie. Żadną. Każda umowa wymaga odrobiny wzajemnego zaufania. Kościół otrzyma jednak oficjalny dokument, w którym potwierdzą przekazanie zapasów wилu. Już samo to może być dla was źródłem ogromnych korzyści.

- Dobrze - powiedział Ruiz po krótkim zastanowieniu. - Przekażę pańską propozycję. Spodziewam się, że wzbudzi w Mospielu dostateczne zainteresowanie, by skierować do nas wysłannika, który oceni, czy jest pan człowiekiem rozsądnym. Będzie też upoważniony do negocjowania szczegółów umowy.

- Doskonale! Będę z niecierpliwością wyczekiwał tego spotkania.

Ruiz wyraźnie się odprężył.

- Wracając jeszcze do sprawy synodu... Co właściwie wspólnego ma ten pomysł z ugodą, o której rozmawiamy?

- Trzeba będzie jakoś wytłumaczyć spalenie drzwi katedry. Skoro ludzie mają do Griaule'a pretensje nawet o niesprzyjającą aurę, dlaczego nie obwinić go także o to? Albo go nie pochwalić?

- Pochwalić za naruszenie świętości Kościoła?

- Jeżeli Kościół zgadza się być kojarzony z produktem wytworzonym z krwi smoka, dalsze demonizowanie Griaule'a wydaje się nierozważne. Dlatego, jak już mówiłem, nie od rzeczy byłoby zwołać synod i ponownie przedyskutować kwestię jego boskości. Przy czym uczestnicy synodu wcale nie muszą dojść do porozumienia; samo ich spotkanie będzie sygnałem, którego nie sposób zignorować.

- Rozumiem pańskie racje, ale jak chce pan usprawiedliwić spalenie drzwi do świątyni? W jaki sposób chce pan przedstawić ten czyn jako akt prawości?

- W ubiegłym tygodniu w Morningshade zamordowano dwie prostytutki. Dobrze mówię, Arthurze?

- Ano tak - przytaknął dryblas. - Zostały poćwiartowane.

- Morderca uciekł. Nie udało się go zidentyfikować. Zgadza się?

- Nie inaczej. Miał płaszcz z kapturem, nikt nie widział jego twarzy. Niektórzy mówią, że podróżował w kobiecym przebraniu, ale nie ma na to dowodów. Tak czy inaczej, załóż się, że teraz jest już daleko od Teocinte.

– Oto i pańskie wytłumaczenie – zwrócił się Rosacher do Ruiza.
– Morderca poszukał schronienia w kościele. Griaule, który o tym wiedział, ponieważ wie o wszystkim, zezłościł się do tego stopnia, że ognistą smuzką swojego oddechu wskazał drogę mieszkańcom miasteczka. Ubranie tej historii w przeróżne cudowne szczegóły pozostawiam pańskiej wyobraźni. Ma pan w tym więcej wprawy.

– A co z pańskimi ludźmi? Przecież widzieli, jak było naprawdę.

– To dobre chłopaki – zapewnił Arthur. – Umieją trzymać język za zębami. Poświadczą, co się im każe.

– Podobnie jak wasi kapłani – dodał Rosacher. – A jeśli my dwaj zaświadczymy, że historia jest prawdziwa, któż miałby zaprzeczyć?

Ruiz oparł podbródek na splecionych dłoniach i pokiwał głową.

– Zgrabnie pomyślane – przyznał. – Nie widzę żadnej luki. W każdym razie żadnej, która mogłaby nam przeszkodzić. – Uśmiechnął się przymilnie niczym współnik w zbrodni. – W sprawach natury religijnej nie sposób wszystkiego dopilnować.

– Czyli co, dogadaliśmy się?

– W tej chwili nie ręczę za Mospiel, ale jestem prawie pewny, że po zapoznaniu się z pańską propozycją dostojnicy kościelni zechcą skorzystać z okazji i przystąpić do takiej umowy.

– Znakomicie! – Rosacher wstał i klepnął Ruiza w plecy. – Teraz potrzebujemy jeszcze tylko kapłana, który odegra rolę mordercy.

Ruiz wybałuszył oczy.

– Pospółstwo uwielbia egzekucje – wyjaśnił Arthur. – Nic ich tak nie rajcuje jak wisielec tańczący diabelską gige.

– Ma pan wśród swoich kapłanów jakiegoś gorliwca? – zapytał Rosacher. – To powinien być ktoś młody i naiwny, ktoś, kto zrozumie, że jego ofiara jest niezbędna dla dobra Kościoła.

– Najlepiej jest, kiedy stają pod stryczkiem bladzi i przerażeni – dodał Arthur. – Nie muszą się wcale upierać, że są niewinni; w ludziach krew wtedy tak buzuje, że powiesiliby nawet Jego Świątobliwość, byle zobaczyć, jak wierzga kulasami.

Wyraz twarzy Ruiza wyrażał wściekłość i niedowierzanie.

– Nie sądził pan chyba, że uda się osiągnąć tak ogromny zysk

bez poniesienia pewnych drobnych kosztów? – spytał Rosacher.

– Drobnych? Nazywa pan życie ludzkie drobnym kosztem?!

– Jeśli się nie mylę, sam pan niedawno podobnie się wyraził. Jak to szło? Coś o ulotnym życiu jednego człowieka...

Ruiz zerwał się na równe nogi.

– Nie zamierzam przykładać do tego ręki!

– Pański udział ułatwiłby nam zadanie, ale bynajmniej nie jest konieczny. W taki czy inny sposób przebiję się w końcu ze swoją propozycją do kościelnej wierchuszki; proszę się zastanowić, jaki los czeka pana, gdy dowiedzą się o pańskiej niechęci do przekazania mojej lukratywnej oferty. Domyślam się, że ma pan wysoko postawionych przyjaciół, ale Kościół nieodmiennie represjonuje wszystkich, którzy stają mu na drodze do osiągnięcia zysków. Jestem przekonany, że pańskie nadzieje na awans w hierarchii spełzną na niczym, a i tak może to być najłagodniejsza z konsekwencji niezadowolenia kardynałów.

– Ale dlaczego właśnie kapłan? Na pewno znalazłby się jakiś bardziej wiarygodny kozioł ofiarny.

– Wolałby pan, żeby padło na jakiegoś nieszczęśnika z Morningshade? – zapytał Arhur.

– Chcę, żeby Kościół cierpiał – wyjaśnił Rosacher. – Poza tym zostanie to dobrze przyjęte przez ogół. Kapłani są stałymi bywalcami domów publicznych; ludzie mają im za złe, że obnoszą się ze swoją czystością, a w rzeczywistości tarzają się w rozpuście dokładnie tak samo jak zwykły szary człowiek. Taka ofiara raczej poprawi reputację Kościoła, niż jej zaszkodzi. Proszę sobie wyobrazić, jaki to potencjał do wykorzystania w przyszłych kazaniach. Będziecie triumfalnie przechwalać się swoją hańbą, uczynicie widowisko z waszego upokorzenia. Mospiel stanie się przez to bardziej ludzki, jego obrzmiałe cielsko nagle zyska twarz pokutnika. Ale decyzja musi zapaść tu i teraz, nie zamierzam tracić na to więcej czasu. Jeżeli uzna pan, że wraz z podwładnymi chce zostać męczennikiem za sprawę, moich ludzi czeka sporo roboty.

– Pochwaliłby pan taką rzeź? – spytał roztrzęsiony Ruiz. – Jaką przyniosłaby panu korzyść?

– Kościołowi ubyłoby kapłanów – zauważył Arthur. – Zawsze to coś.

– Czymże jest życie paru duchownych – dodał Rosacher bez śladu sarkazmu w głosie – wobec dobra całego Kościoła?

– Mam inne wyjście? – Ruiz bezsilnym gestem wskazał drzwi na plebanię. – Weźcie, kogo chcecie.

– O nie, wybór powinien być przemyślany, dlatego zdajemy się na pana, biskupie.

– Dobrze. Zrobię, o co prosicie.

– Poczekamy tutaj, jasne? – Arthur posłał Ruizowi makabryczny uśmiech. – Pan przez ten czas dokona wyboru.

– To może potrwać – zastrzegł się biskup. – Będę musiał...

– Wiem, jak działać – przerwał mu Rosacher. – Musi pan pocieszyć, ukoić, zapewnić o miejscu zagwarantowanym u boku Bestii w jej wiecznym królestwie. Proszę spokojnie odprawić swoje czary. Będziemy cierpliwie czekać.

Ruiz ruszył sztywnym krokiem do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze i odwrócił z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Ty łotrze! Ty...

– Wiem, wiem – przytaknął Rosacher. – Ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Mierząca około osiemdziesięciu stóp wysokości wieża z żerdzi i desek, z której Meric Cattanay śledził postępy prac przy swoim monumentalnym dziele, została sklecona w pośpiechu, byle jak, i przy każdym silniejszym podmuchu wiatru chwiała się na boki, grożąc runięciem na dachy i dymiące kominy Morningshade. Z jej szczytu roztaczał się widok na pokrywające bok smoka malowidło, tylko w niewielkim stopniu przesłonięte przez rusztowanie i uwijających się przy nim rzemieślników. Samo malowidło jawiło się Rosacherowi jako złota plama o kilka tonów jaśniejsza od naturalnej barwy smoczyczych łusek, rozlewająca się od środkowego stawu przedniej łapy aż na tułów. Z plamy pomątu wyłaniały się także inne kolory, na razie jednak nie sposób było się domyślić, co obraz ma docelowo przedstawiać. Na tle szarego porannego nieba rysowały się kontury ustawionych na płaskim czole Griaule'a gigantycznych kadzi, w których odbywała się destylacja trującej farby. Dniem i nocą buchał spod nich dym; można było odnieść wrażenie, że to Griaule daje upust swojej frustracji.

Rosacher wspiał się na wieżę w poszukiwaniu samotności (te plany pokrzyżował mu Cattanay, który – zarośnięty i brudny – znalazł się tam już wcześniej i zajął szkicowaniem) i rozległych widoków, chociaż malowidło go nie interesowało. Starał się sypiać jak najmniej, robił wszystko, co w jego mocy, żeby nie zasypiać, ale od czasu do czasu musiał się zdrzemnąć. Kiedy obudził się tego ranka, stwierdził, że zgubił gdzieś kolejne cztery lata, i po krótkich wyliczeniach doszedł do wniosku, że przy takim tempie przemian został mu jeszcze mniej więcej tydzień życia. Miał nadzieję, że spojrzenie na świat z wysokości wieży pozwoli mu ocenić dręczący go problem z nowej perspektywy. Wymieniwszy zdawkowe uprzejmości z Cattanayem (który – tak samo zaniepokojony pojawieniem się Rosachera jak Rosacher

jego obecnością – po krótkiej chwili wrócił do rysowania), usiadł na skraju platformy, zwiesił nogi w dół i zapatrzył się na złotą plamę. Miał mętlik w głowie, jego myśli stanowczo się opierały wszelkim próbom uporządkowania. Co rusz wracał do przejmującego zgrozą stwierdzenia, że ma w tej chwili – na ile był w stanie to ocenić – czterdzieści trzy lata, z czego prawie z szesnastu został ograbiony. Najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby przestać się nad sobą użalać, wrócić do badań nad smoczą krwią i liczyć na przełom, który pozwoli mu przeniknąć tajemnicę dręczącej go przypadłości. Zbudował sobie w fabryce laboratorium, nic więc nie stało na przeszkodzie... Nic poza Griaule'em. Nie pierwszy raz przyszło mu do głowy, że musiał w swoich pracach przybliżyć się do jakiegoś ważkiego odkrycia, które mogłoby zaszkodzić zdrowiu smoka lub utrudnić realizację jego planów, dlatego Griaule postanowił interweniować i przestawić jego życie na nowe tory. Taka refleksja mogłaby zainspirować Rosachera do jeszcze większego wysiłku, ale myśl, że Griaule w każdej chwili może mu pokrzyżować szyki, szybko ostudziła chwilowy zapał. Wątpił zresztą, czy wystarczyłoby mu dziś dyscypliny, by godzinami wpatrywać się w okular mikroskopu. Ludzie chyba miała rację: był lepszym przestępcą niż naukowcem.

Słyszając skrzypnięcie desek za plecami, odwrócił się i zobaczył Cattanaya, który siedział na podeście po turecku i właśnie rozpakowywał zawiniętą w szary papier kanapkę. Podniósł wzrok, zaproponował Rosacherowi, że się z nim podzieli, a kiedy ten odmówił, wgryzł się w kanapkę, przeżuł kęs ze smakiem i przełknął. Mruknął z zadowolenia i strzepnął okruchy z brody.

– Wyśmienity ser – powiedział. – Powinien pan spróbować. Allie, moja towarzyszka, namacza go w wywarze z jagód. Bardzo smaczny.

Rosacher ponownie odmówił. Przez chwilę przyglądał się jedzącemu artyście, po czym, skrępowany przedłużającym się milczeniem, zapytał go, jak postępują prace.

Cattanay wzruszył ramionami.

– Powoli. Nie udało mi się na razie wyprodukować

odpowiedniego odcienia fuksji. Na tych łuskach kolor tak się zmienia... – Machnął kanapką. – Ale w końcu coś się wymyśli.

– Chodziło mi raczej o to, czy wie pan, jak długo Griaule jeszcze pożyje?

– Pojęcia nie mam, przykro mi. Mnie się wydaje, że może wykitować w każdej chwili, ale pewnie należałoby zapytać o to specjalistę od smoczey fizjologii. O ile tacy w ogóle istnieją. Pan był kiedyś lekarzem, zdaje się... Ma pan chyba większe kwalifikacje ode mnie, żeby wyrokować w takiej kwestii.

Gołębie siedzące na belce pod platformą zaczęły się o coś awanturować. Wiatr się zmienił, przyniósł gryzący odór kadzi z farbami. Rosacher uświadomił sobie, że tak bardzo przywykł do obecności smoka, iż na co dzień poświęcał mu nie więcej uwagi niż przypadkowej skale. Kiedy mówił o Griaule'u, traktował go jak byt abstrakcyjny, ideę, zasadę zgoła niezwiązaną z jego monstrualną cielesnością.

– Jak idą interesy? – zaciekawiał się Cattanay.

– Dajemy sobie radę. Popełniamy sporo błędów, ale uczymy się na nich.

– To tak jak ja. Zawsze coś wypadnie: a to nie wrócą drwale wysłani po drewno na opał, a to ktoś spadnie z rusztowania... Rozdzielam obowiązki, jak mogę, a mimo to rzadko zdarza się dzień, kiedy nie musiałbym osobiście interweniować w takiej czy innej sprawie.

– Przynajmniej pozostawi pan po sobie pomnik upamiętniający pańskie starania.

– Mówi pan o malowidle? Wątpię. Jak pan sądzi, ile czasu minie, zanim postanowią uprzętnąć truchło Griaule'a? Tydzień? Miesiąc? Bo na pewno nie więcej.

Rosacher mruknął potakująco.

– Pewien człowiek z Punta Esperanza podejmuje dość udane próby reprodukcji obrazów z natury – mówił dalej Cattanay.

– Może zanim malowidło zostanie ukończone, uda mu się na tyle udoskonalić ten proces, żeby utrwalić moje dzieło. Chociaż to już oczywiście nie będzie to samo.

Ugryzł kolejny kęs kanapki.

– Mogę panu zadać osobiste pytanie? – zagadnął Rosacher, mając nogami.

Cattanay z pełnymi ustami skinął potwierdzająco.

– Jest pan szczęśliwy?

Artysta przełknął i otarł usta.

– Diabelnie trudne pytanie, muszę przyznać... Chociaż często je słyszę. Allie zadaje mi je niemal co noc.

– W zupełnie innym kontekście, jak mniemam.

– Naturalnie. – Cattanay wydłubał kawałek jedzenia spomiędzy zębów. – Raczej nie nazwałbym się szczęśliwym. Prędzej zadowolonym. Robię to, co kocham. Moje życie nie jest może idealne, ale tak, jestem dość szczęśliwy. Szczęśliwszy od pana, sądząc po tym, co widzę.

– Nie zamierzam się z panem spierać.

Cattanay przekrzywił głowę i zmierzył Rosachera wzrokiem, jakby taksował wyjątkowo kłopotliwy fragment malarskiego płótna.

– Może brakuje panu pasji – orzekł. – Bo pasja jest niezbędna, jeśli człowiek chce choć przez chwilę poczuć szczęście. Bez pasji i towarzyszącego jej stanu podwyższonej świadomości zostaje tylko chaos. Przynajmniej tak ja to widzę.

– Kiedyś pasjonowały mnie nauki ścisłe, ale to już przeszłość. Prowadzenie interesów nigdy nie budziło we mnie żywszych emocji, po prostu... wypełniało czas i było łatwiejsze od uprawiania nauki. I chyba stało się dla mnie wymówką dla niezajmowania się tym, czego naprawdę pragnąłem.

– W takim razie radziłbym panu znaleźć nowy obiekt pragnień. O ile, rzecz jasna, szczęście jest pańskim celem.

– Moje cele są zmienne.

– Ha! Moje potrafią się zmienić dziesięć razy między śniadaniem i obiadem! Najpierw zamarzy mi się lepsze źródło fuksji, zaraz potem studentka malarstwa ze zgrabnym *derriere*... Sam pan rozumie.

Cattanay stęknął i wstał. Zwinął w kulkę papier, w który zawinięta była kanapka, i wyrzucił. W dole po ulicach przepływały wątle strumyki ludzi.

– Mam coś do załatwienia przy kadziach. Kiedy ostatnio był pan na smoku?

– Dawno, całe lata temu... a i wtedy tylko przy skraju paszczy.

Cattanay wsiadł do kosza windy zainstalowanej z boku platformy i zaczął się przygotowywać do zjazdu.

– Powinien pan kiedyś się tam przespacerować. To może być inspirująca eskapada. Nigdy nie wiadomo, co się panu trafi.

Rosacher prześlęczał w laboratorium większość dnia, po czym – nie potrafiąc nijak ogarnąć naukowych aspektów dręczącego go problemu – pod wieczór wziął sobie do serca radę Cattanaya i wspiał się po rusztowaniu w okolice kadzi, skąd krętą ścieżką wśród porastających grzbiet smoka suchych zarośli dotarł do Hangtown. Osada, która składała się z garstki szałasów, skupionych wokół zanieczyszczonej kałuży deszczówki i zajmujących powierzchnię połowy akra, rozrosła się do wioski liczącej około dwustu dusz zamieszkujących pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt prowizorycznych bud, z których największa pełniła rolę karczmy. Wypisany schludnym odręcznym pismem szyld obwieszczał:

PODNEBNY DOM MARTITY.

Budynek był stosunkowo nowy. Zamiast typowych dla zabudowy Hangtown kwadratowych dziur w ścianach miał okna z prawdziwego zdarzenia, oszklone taflami nierównego matowego szkła, a drewno, z którego go zbudowano, nie zdążyło jeszcze poszarzeć i zachowało karaluszobrunatny odcień. Mimo to wyglądał tak samo ruderowato jak inne budynki w okolicy; miał obwisły daszek nad werandą i kawałek piętra, które lada chwila mogło ześliznąć się na ziemię. Na stojącym na werandzie krześle pólleżał rozwalony nieprzytomny mężczyzna (sądząc po obfitości zielonych i złotych tatuaży, musiał być chyba poszukiwaczem łusek) – żywa reklama skuteczności serwowanych w tym przybytku napojów alkoholowych.

Rosacher, który podczas przechadzki nie doświadczył uniesienia ani nie znalazł inspiracji, wszedł do przestronnej, mrocznej sali zalatującej smażoną cebulą, w nadziei na to, że szybkie piwko ułatwi mu i przyśpieszy powrót do Morningshade. Za barem (składało się nań kilka desek wspartych na półtuzinie beczek) stała krzepka kobieta – okrągła na twarzy, mniej więcej trzydziestoletnia, nieszczególnie pociągająca, z kasztanowymi włosami zaplecionymi w długie warkocze, ubrana w płócienne spodnie (przedkładane przez mieszkanki Hangtown nad spódnice, które zahaczały się o gałązki i kolce) i bluzkę z głębokim dekoltem. Była zajęta polerowaniem kufli. Na ławie pod oknem siwowłosa staruszek o poblźnionej twarzy grał w karty z drugim mężczyzną, znacznie młodszym, który mógłby być jego wnukiem. Zmierzyli Rosachera obojętnym wzrokiem, gdy zajął miejsce w głębi sali. Kobieta wyszła zza baru i zakrzętnęła się przy nowym gościu.

– Polecam dobre jasne *ale* z Port Chantay – powiedziała. – Poza tym mamy lokalne piwo, warzone na miejscu; całkiem niezłe i bardzo mocne, gdyby to pana interesowało.

Zamówił *ale* i rozejrzał się po sali, która, choć zasadniczo pozbawiona ozdób, tu i ówdzie nosiła dyskretne ślady kobiecej ręki: kwiaty lewkonii w wazonie; reprodukcja przedstawiająca Griaule’a na tle skłębionych chmur; oprawiona w ramki życiowa maksyma, której litery wyhaftowano tak koślawo, że Rosacher nie był w stanie ich odczytać.

Kobieta podała mu *ale* i zatrzymała się dłużej przy jego stoliku – nawet po tym, jak już jej zapłacił. Pociągnął łyk z kufli.

– To wszystko – powiedział, myśląc, że może czeka, aż pochwali napitek.

Nic z tego. Nadal stała tuż obok, uśmiechając się od ucha do ucha, aż w końcu przemówiła:

– Nie pamiętasz mnie, co? Właściwie nie dziwota, niespecjalnie patrzyłeś mi na twarz. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Bardziej interesował cię mój tyłek.

– Słucham?

– Martita. – Klepnęła się w obfite piersi i wyłuskała spomiędzy

nich srebrny medalion. Wizerunek smoka na wieczku był tak toporny, jakby sama go wyryła. – Martita Doans. Byłam służącą w twoim domu. W noc zamachu na ciebie to ja ci opatrzyłam rany. – Zniżyła głos do szeptu. – A potem się kochaliśmy.

Słowa „kochaliśmy się” oszołomiły Rosachera, zaraz potem przyszło zakłopotanie i wstyd, ale wołał się do niczego nie przyznawać.

– Ależ tak, naturalnie... – bąknął. – Ehm... Jak żyjesz?

– Ostatnio nie najgorzej, dziękuję. Ale tuż po tym, jak odeszłam ze służby, było ciężko. Spodziewałam się powiększenia rodziny, a nie miałam własnej, do której mogłabym się zwrócić. – Martita usiadła naprzeciw Rosachera. Przygniecione do blatu mlecze piersi groziły wyrwaniem się z wątych oków stanika. – Chciałam ci nawet powiedzieć prawdę, w końcu to było twoje dziecko, ale ta Ludie wygoniła mnie w takim pośpiechu, że ledwie zdążyłam się spakować – ciągnęła scenicznym szeptem. – A pan Honeyman ostrzegł mnie, że jeśli będę sprawiała kłopoty, odda mnie swoim ludziom i będzie sprzedawał bilety wszystkim, którzy chcieliby popatrzeć. No i tak wylądowałam na ulicy, wielka jak dom. Nawet nie mogłam pohandlować własnym ciałem. – Dalej mówiła już normalnym głosem. – Jeden Griaule wie, co by się ze mną stało, gdyby pan Nathan Doans, mój nieżyjący już małżonek, nie przyjął mnie pod swój dach.

– Nie miałem o tym pojęcia! – przyznał Rosacher. – Nigdy bym nie...

– Tak myślałam. Pan Honeyman dał mi jasno do zrozumienia, żebyś ci się nie naprzykrzał. Powiedział, że jeśli spróbuję cię poinformować o swojej sytuacji, słono za to zapłacę. Ale i tak przez te pierwsze miesiące byłam na ciebie zła.

Starszy z karciarzy zawołał Martitę. Wstała od stolika i poszła zapytać, o co chodzi. Przez ten czas oszołomiony nowinami Rosacher dwoma łykami opróżnił kufel. Jeżeli barmanka nie kłamała, a nie miał powodów wątpić w prawdziwość jej słów, Ludie i Arthur mieli sporo za uszami. Oczywiście sam pewnie nie zachowałby się o wiele lepiej, najprawdopodobniej nie przyznałby się do ojcostwa, ale przynajmniej zadbałby o to, żeby

dziecko nie głodowało i miało gdzie mieszkać. Miał wrażenie, że wyczuwa w sobie pustkę, którą miłość rodzicielska mogłaby wypełnić. Ta świadomość jeszcze bardziej go rozjuszyła. Powinien rozmówić się z Arthurem i Ludie, i to ostro, trochę nimi potrząsnąć. W ostatnich latach oboje działali praktycznie niezależnie od niego i całkiem możliwe, że niekoniecznie mieli jego korzyści na względzie. Może nastał czas, żeby trochę przewietrzyć firmę. Żadne z nich nie było niezastąpione, a wyglądało na to, że nie można im już ufać.

Martita wróciła do niego z drugim kuflem.

– A dziecko? – zapytał. – To chłopiec czy dziewczynka?

Martita sposepniała.

– Chłopiec. Ale nie donosiłam ciąży.

Rosacherowi na chwilę odebrało mowę.

– Nie mogę naprawić wyrządzonej krzywdy, to oczywiste – wykrztusił w końcu – ale pozwól, że jednak jakoś ci pomogę.

– Nie trzeba mi wiele. Pan Doans był poszukiwaczem łusek, jak większość tutejszych. Świetnie mu szło, w najlepszym okresie znalazł kilkanaście łusek o muzealnej wartości. – Martita ze smutkiem pokręciła głową. – Umarł dwa lata temu... A wcale nie był jeszcze stary. Ale taki już los poszukiwacza łusek, prawda? – Ruchem głowy wskazała karciarzy. – Jarvis jest jedynym, jakiego znam, który dożył starości. Tyle że nic z tego nie ma, biedaczysko. No, ale pan Doans zostawił mi karczmę i do tego okrąglą sumkę w gotówce. Żyję sobie całkiem przyzwoicie.

– Na pewno jest coś, co mógłbym zrobić.

– Mógłbyś od czasu do czasu wpaść na piwo. Uświetnić knajpę swoją obecnością. – Zarumieniła się. – I zrobić mi przyjemność.

– Dlaczego chcesz mnie tu widywać? Najpierw przymusiłem cię do ulegnięcia mojej woli, potem...

– Nie myśl o tym w ten sposób. Z twojego punktu widzenia może tak to właśnie wyglądało, ale z mojego nie. Wszystkie służące robiły do ciebie maślane oczy... a ja najbardziej.

– Rozumiem.

– Nie pogardziłabym wówczas małym romanssem... Ale wtedy się nie skarżyłam i teraz też nie zamierzam.

– Jeżeli chcesz, żebym czasem tu przyszedł – zaczął Rosacher, zadziwiony w równym stopniu swoją troską o kobietę, jak i jej pobłażliwością – to tak zrobię. Chociaż wątpię, by twój lokal zyskał dzięki mnie w znaczeniu moralnym lub duchowym.

Martita nie zrozumiała jego słów i uśmiechnęła się kokieteryjnie, by ukryć konsternację.

– No dobrze. – Zatarła dłonie i rozpromieniła się. – Muszę się brać do kucharzenia. Ludzie będą chcieli coś zjeść.

Rosacher chętnie złapałby ją za rękę i złożył jakąś obietnicę, przysiągł, że naprawi wszelkie wyrządzone jej zło, ale wstyd i strach przed słabością, którą ów wstyd mógłby obnażyć, kazały mu przybrać nieugiętą postawę; nauczył się myśleć o sobie jako człowieku twardym i surowym, i gdy teraz nagle odkrył, że wcale taki nie jest, gdy zrozumiał, jak dramatycznie zmienił się przez ostatnie sześć lat, doszedł do wniosku, że powinien przynajmniej wykazać się samodyscypliną. Posiedział jeszcze chwilę, wodząc wzrokiem za Martitą, która krzątała się między widoczną przez otwarte drzwi na końcu baru kuchnią i salą jadalną; liczył na to, że w karczmie zrobi się ruch, który pozwoli mu wymknąć się niepostrzeżenie za drzwi. I rzeczywiście, przyszło paru klientów, nadal jednak byli zbyt nieliczni, żeby mógł się wśród nich zgubić. Dopił więc drugie piwo, pomachał Marticie na pożegnanie i wyszedł.

Chłodne powietrze przyniosło olśnienie, wydobyło na wierzch zupełnie nowe, nieznane emocje. Kiedy szybkim krokiem szedł obok płytkiego okresowego jeziora w sercu Hangtown, powleczonego warstwą glonów i szumowin i połyskującego w blasku księżycy, nagle zdał sobie sprawę ze swojego osamotnienia. Odkąd Ludie prowadziła zupełnie osobne życie, a Arthur cały czas, którego nie przeznaczał na sen, spędzał w towarzystwie podległej mu milicji, życie Rosachera ziało pustką. Owszem, prowadzał się z różnymi kobietami, miał również liczne grono partnerów w interesach, ale nie próbował zastąpić tamtych dwóch utraconych związków znajomościami o zbliżonej głębi emocjonalnej. W samotności miał aż nadto czasu na rozpamiętywanie dawnych żalów i pretensji. Odkrył w sobie

niespodziewany potencjał do uzalania się nad sobą, ten zaś zrodził nieznaną mu wcześniej pokładą sentymentalizmu – z zasady Rosacher pogardzał sentymentalizmem, lecz teraz uzależnił się od niego, był nieodłącznym elementem jego wyrachowanej poza tym i brutalnej natury, który miał mu zastąpić przyjaciół i bliskich. O ile dawniej nie zwróciłyby uwagi na matkę karmiącą dziecko czy na małego chłopca bawiącego się ze szczeniakiem, o tyle teraz te same zdarzenia, postrzegane jako wybitnie ludzkie, symbolizujące kruchość i piękno świata, wyciskały mu łzy z oczu. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie powinien tej przemiany brać za dobrą monetę, i podejrzewał, że jego odmienne reakcje mają coś wspólnego z egoizmem, być może z odnowioną świadomością własnej śmiertelności i poczuciem, że w żaden sposób nie może odkupić swoich win.

Gęstwina tętniła brzęczeniem mało ważnego życia, wierzchołki krzewów kołysały się w podmuchach mocnego wiatru wiejącego ponad grzbietem Griaule'a. Rosacher zagłębił się w gąszcz, podążając częściowo zarośniętą ścieżką wiodącą na szczyt grzebienia ciemieniowego. Nigdy przedtem nie wyobrażał sobie swoich dzieci, lecz odkrycie, że spłodził syna, nawet jeśli ten urodził się martwy... było jak rzucenie w głęboką toń jego duszy kamyka, po którego upadku kręgi na wodzie rozchodzą się jeszcze bardzo, bardzo długo. Nie mógł przestać myśleć o utraconym potencjale ojcostwa. W końcu poddał się frustracji (która nigdy nie osiągała takiego natężenia jak smutek albo gniew, przez co nie mogła mu przynieść wybawienia i ulgi) i spojrzął w niebo. Zobaczył nad głową skupisko gwiazd niczym garść muszelek kauri rzuconych przez wrózkę na ciemny materiał i wyobraził sobie, że dostrzega w nich plan na przyszłość; że poprzez nie objawiła mu się dalsza droga życia.

– Richard! – zabrzmiał kobiecy głos tuż przy jego uchu.

Ludie, ubrana w spodnie i kusą kurteczkę i na wpół ukryta w kostropatym cieniu stuletniego drzewa, mierzyła go ponurym wzrokiem. Na jej widok wzmógł czujność – w normalnych okolicznościach jej stopa pod żadnym pozorem nie powstałaby na ciele smoka – i zapytał, co ją tu sprowadza.

– Chronię swoją inwestycję – odparła.

Z gąszczu wynurzył się Arthur i stanął za jej plecami. W swobodnie zwieszanej prawej ręce trzymał pistolet z długą lufą. Drugą, wolną ręką objął Ludie w talii, szturchnął kciukiem jej pierś i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie wiem, co wam chodzi po głowie – odezwał się Rosacher – ale radzę wam się poważnie zastanowić, zanim zrobicie coś głupiego.

– Zastanowiliśmy się, a jakże – zapewnił go Arthur. – Szczegółowo przeanalizowaliśmy problem, rzec by można.

– Zadajcie sobie pytanie, czy będziecie umieli sami poprowadzić interes. Nie macie pojęcia, jakie to skomplikowane.

Ludie wyśliznęła się z uścisku Arthura.

– To nie ma nic wspólnego z naszą zdolnością do prowadzenia interesów lub jej brakiem – wyjaśniła. – Tu chodzi o twoją niekompetencję.

– Niekompetencję? Czyś ty zwariowała?

– W ostatnim roku popyt pierwszy raz przewyższył podaż. Uwzględniając kradzieże i słabe zarządzanie, nasze zyski spadły o blisko trzydzieści procent w porównaniu z okresem najlepszej koniunktury, od którego upłynęło już pięć lat. Zatraciłeś swój instynkt przedsiębiorcy, Richardzie. Straciłeś entuzjazm do tej zabawy. – Ludie skrzyżowała ramiona na piersi. – Zawarliśmy nową umowę z radą. Breque zapewnił nas, że poradzi sobie z bieżącym prowadzeniem firmy do czasu, aż znajdziemy kogoś na twoje miejsce.

– Brakuje wam umiejętności, żeby targować się z Brekiem. Zje was na śniadanie.

Ludie zacisnęła gniewnie usta.

– Jak wam się wydaje, dlaczego się z wami dogadał? – ciągnął Rosacher. – Wie, że kiedy mnie zabraknie, z łatwością wyprowadzi was w pole.

– Nie jestem idiotką. Zdaję sobie sprawę, że Breque spróbuje nas wykiwać.

– Co innego mieć taką świadomość, a co innego umieć temu przeciwdziałać. Nie masz dość determinacji, Ludie. Dość

dyscypliny. Nie umiesz pracować po osiemnaście godzin dziennie, kiedy trzeba. Na początku dasz sobie radę, ale prędzej czy później...

– Arthurze. – Ludie skinęła na dryblasą.

Arthur dwoma krokami pokonał odległość dzielącą go od Rosachera i złapał mężczyznę za kołnierz.

– Spotkamy się na dole – dodała Ludie.

Obciągnęła mankiety bluzki, obrzuciła Rosachera obojętnym spojrzeniem, a potem zakręciła się na pięcie i ruszyła ścieżką przed siebie. Rosacher próbował ją jeszcze zawołać, ale uderzony przez Arthura kolbą pistoletu w głowę stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, był oszołomiony i na przemian to widział rozmazany księżyc, to znów tracił go z pola widzenia – Arthur włókł go za kołnierz po pochyłości, wśród splątanych pnączy, takich samych jak te, które zwieszały się z boków cielska Griaule’a. Wykręcił się i wyciągnął szyję, usiłując zobaczyć, dokąd idą. Mignęły mu światła Teocinte, rozrzucone gęsto w dolinie jak gwiazdy na niebie. Zorientował się, że znajduje się tuż powyżej barku smoka, bardzo blisko miejsca, w którym człowiek powinien koniecznie się czegoś przytrzymać, jeśli nie chce spaść. Szarpnął się, próbując wyrwać się z uścisku Arthura, ale bez powodzenia. Zanim zdążył się rozejrzeć w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki, dryblas zatrzymał się, postawił go do pionu, złapał z przodu za koszulę i przytrzymał w powietrzu na odległość wyciągniętej ręki. Czując lodowate szarpnięcie grawitacji, Rosacher rozpaczliwie wczepił się w ramię Arthura, nie mogąc się zdecydować, jaka taktyka okaże się skuteczniejsza: błagania czy groźby. Po twarzy Arthura przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

– Uważaj – powiedział. – Przepaść.

I po prostu rozprostował palce. Rosacher zapiszczał ze zgrozy i spróbował uchwycić się jego rękawa. Pośliznął się na śliskiej powierzchni, zamachał rękami i zdołał złapać równowagę – przynajmniej na tyle, że nie od razu poleciał do tyłu. Zamiast tego upadł na brzuch i zaczął się zsuwać po boku smoka. Próbował się czepiać krawędzi łusek, ale miał za słabe palce, by je solidnie

chwycić. Rozpaczliwie usiłował łąpać się pnączy; czystym przypadkiem zaplątał się w jedną z lian, zahaczył o drugą, trzecią, zdołał stopniowo spowolnić upadek, aż w końcu bardziej zsuwał się w dół, niż spadał, i nagle ze zdumieniem stwierdził, że może jednak nie zginie.

Rozległ się głuchy trzask wystrzału i pocisk zrykoszetował od łuski tuż obok jego łokcia. Ześliznął się jeszcze niżej i zniknął Arthurowi z oczu za krzywizną klatki piersiowej Griaule'a, gdzie zawisł nieruchomo, kręcąc się na lianie i objijając o wielką jak drzwi katedry łuskę. Czuł się okrutnie odsłonięty i bezbronny, jak zbiegły więzień, który dynda na zrzuconym z muru przykrótkim sznurze. Do tego momentu tylko reagował na wydarzenia, teraz jednak znowu zaczął myśleć – chociaż niezbyt logicznie, bo na widok majaczącego w dole Morningshade i jego migotliwych świateł, maciupieńkich jak świetliki, paraliżował go strach. Pnącza zostały obcięte, żeby nie zasłaniały malowidła Cattanaya; gdyby nie to, Rosacher mógłby się po nich przemieścić w poprzek tułowia smoka i dalej zejść na rusztowanie. Zaczął ostrożnie przesuwając się po pokrytych porostami łuskach, przenosząc się z liany na lianę, w stronę plamy cienia pod stawem barkowym Griaule'a. Zamierzał przeczekać tam do świtu, kiedy to mógłby się wspiąć na grzbiet albo, gdyby to okazało się niemożliwe, zwrócić na siebie uwagę poszukiwaczy łusek (chętnie odwiedzających rejony cielska poniżej stawów jako obfitujące w odłamane i poluzowane łuski). Po dotarciu do upatrzonego miejsca splótł większą liczbę lian w coś na kształt w miarę stabilnej klatki. Następnie wspiął się pod sam staw barkowy i tam solidnie umocował klatkę, przywiązując ją do okolicznych pnączy. Dopiero wtedy pozwolił sobie na chwilę odpoczynku i spokojną analizę sytuacji.

Było tak ciemno, że nie widział dosłownie niczego, wydawało mu się natomiast, że właśnie tu, w tym miejscu, pod pachą Griaule'a, wyraźnie czuje jego zapach – przenikliwą, chłodną i suchą woń, nierozrzedzoną aromatem zieleni i porostów, przywołującą na myśl porzuconą twierdzę, kopiec pradawnego kamienia zamieszkały przez wiatr i duchy jaszczurek. W świetle

księżycyca wypukły bok smoczego tułowia lśnił jak powierzchnia planety opancerzonej łuskami, z których każda miała całkiem pokaźne rozmiary – z wyjątkiem placka jakieś trzydzieści stóp nad głową Rosachera, okrytego setkami łusczek o nieregularnych kształtach i szerokości około czterech, pięciu cali... Chociaż może to była jedna duża łuska, pokryta siateczką cieniutkich pęknięć od niezliczonych uderzeń, jakie na nią spadły. Jeżeli rzeczywiście tak było, to winnym nie mógł raczej być żaden poszukiwacz łusek. Ci słynęli z przesądności, a ich tradycja obfitowała w powtarzane ku przestrodze anegdoty, w których ludzie próbujący odłupać łuski albo w inny sposób wyrządzić Griaule'owi przykrość nieodmiennie padali ofiarą smoczey zemsty. Rosacher zwykł w przeszłości szydzić z takich opowiastek, jednakże teraz, znalazłszy się niemal sam na sam ze smokiem, nie potrafił już ich lekceważyć. Z jego nowego punktu widzenia ogrom bestii stawał się wprost niewymierny. Określenie „gargantuiczny” było stanowczo zbyt skromne dla żywej istoty, która sama przez się stanowiła odrębne królestwo. Przypomniał sobie tamtą noc, kiedy zapaścił się do pyska smoka, rój gnieźdzących się tam niezwyklej insektów i ich zsynchronizowane ruchy, i zrozumiał, że przypisywanie temu doświadczeniu jakiegoś mistycznego charakteru nie jest wcale irracjonalne z fenomenologicznego punktu widzenia. Myśl o Griaule'u jako istocie magicznej na nowo obudziła w nim lęk. Wisząc na lianach nad głęboką przepaścią i widząc między stopami migoczące światła Morningshade, przyłożył dłoń do smoczey łuski i modlił się o przetrwanie. Jego modlitwa – choć zabarwiona nutą wstydu, że jednak skapitulował przed strachem – wcale nie stała się przez to mniej żarliwa. Kierował ją wprost do Griaule'a, mimo że unikał wymawiania wszelkich imion. Później tłumaczył sobie, że była to po prostu chwila słabości, musiał jednak przyznać, że przyniosła mu ukojenie. Zapatrzył się na pękatą krzywiznę smoczey piersi, złągodzoną rozlewającą się po łuskach księżycową poświatą, i zamyślił się nad swoim fartem. Gdyby Arthur popchnął go, zamiast po prostu puścić, leżałby teraz na jednej z uliczek daleko w dole, połamany i

martwy, ze zniszczonymi narządami wewnętrznymi. Zamierzał srodze się zemścić i musiał w tym celu działać szybko, zanim jego interesy zostaną jeszcze poważniej zagrożone. Poza tym powinien coś zrobić z Brekiem. Do tej pory rada stanowiła skuteczny bufor oddzielający Rosachera od Kościoła i najchętniej niczego by w tym układzie nie zmieniał, ale być może nadszedł czas na podjęcie jakichś zdecydowanych kroków. Nie miał aż tak silnej pozycji, jak by sobie tego życzył (nie wiedział na przykład, jak zareagowałyby milicja na usunięcie Arthura ze stanowiska dowódcy; nie miał również pojęcia, jakie środki ostrożności przedsięwziął Breque), ale mógł liczyć na przewagę zaskoczenia i nie musiał się martwić o pieniądze, przez lata odkładane właśnie na taką okazję. Wystarczy kilka dni, żeby nająć zabójców i wyznaczyć im zadania, potem będzie mógł usiąść wygodnie w fotelu i zająć się reżyserowaniem całego spektaklu. Centrum operacyjne urzędzi w gospodzie Martity – gdyby coś poszło nie po jego myśli, może liczyć na to, że Martita udzieli mu schronienia. Jej psia lojalność wobec niego nie ulegała wątpliwości.

Z zamyślenia wyrwał go cichy szmer. Podniósł wzrok i dostrzegł chudą sylwetkę opuszczającą się w dół po boku Griaule'a. Arthur. Dryblas zdjął marynarkę, jego biała jedwabna koszula mieniła się w świetle księżyca. Przewiązał się w pasie lianą i teraz lewą ręką kontrolował prędkość zsuwania się, a w prawej dźmierzył pistolet. Zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt stóp powyżej kryjówki Rosachera i spojrzął w dół, po czym schował broń do kabury i zaczął przemieszczać się po ciele smoka w poprzek, kierując się w przybliżeniu w stronę stawu barkowego. Rosacherowi nie pozostało nic innego, jak tylko się modlić – z początku do nieokreślonej, nienazwanej obecności, ale w miarę jak Arthur się przybliżał, obiektem jego żarliwych błagań stał się Griaule, którego prosił, by odwrócił uwagę agresora, odciągnął go albo spowodował pęknięcie liany. Pokonawszy nieco ponad połowę dzielącego ich dystansu, Arthur wyjął pistolet i strzelił dwa razy w ciemność poniżej stawu. Obie kule chybiły Rosachera.

– Pokaż się! – zawołał Arthur. – Obiecuję, że szybko z tobą skończę!

Rosacher gorączkowo zastanawiał się, co takiego mógłby powiedzieć lub zrobić, co pozwoliłoby mu wyjść cało z obecnych tarapatów; na nowo odkrywał – i zaraz odrzucał – kolejne stare strategie działania, aż w końcu się zmęczył i usiadł, skubiąc podtrzymujące go pnącza. Miał wrażenie, że wszelkie światło i energia wyciekają mu z głowy.

– Jeżeli będę musiał cię gonić – tokował tymczasem Arthur – to ręcę, że tego pożałujesz! – Chwila milczenia. – Słyszysz?

Rosacher domyślił się, że Arthur odczuwa lęk przed wejściem w ciemność, lecz ta świadomość tylko na krótko podniosła go na duchu.

Klnąc na czym świat stoi, Arthur opuścił się o kolejne parę stóp i oparł but o strzaskaną łuskę. Strącił przy tym kilka jej luźnych odłamków, które jednak – wbrew temu, czego można by oczekiwać – nie spadły, lecz zawisły w powietrzu jak nieważkie i podtrzymywane prądem wznoszącym. Potem okruchy zafurkotały wokół dryblasa, odsłaniając znajdującą się pod spodem nienaruszoną łuskę, i otuliły go jak wzniecony wiatrem kłęb liści. Arthur krzyknął, strzelił z pistoletu, znowu krzyknął. Jego nogi, sterzące ze spowijającej tułów masy złotych okruchów, wierzgały dziko, tworząc obraz jakby żywcem wyjęty z rojeń otumanionego narkotykiem artysty. Czymkolwiek były migotliwe drobiny – owadami czy też innym, bardziej tajemniczym bytem – obsiadły całe dłonie Arthura, jego szyję i twarz, wczepiły się w każdy skrawek odsłoniętej skóry, upodabniając go do człowieka w olbrzymich złotych rękawicach, ze zniekształconą głową, która – trzy razy większa niż normalnie – delikatnie zmieniała kształt, na przemian to rozdmymając się lekko, to kurcząc. Całym jego ciałem wstrząsały spazmy, przestał jednak krzyczeć. Jeszcze przez chwilę wisiał nieruchomo, odruchowo zaciskając dłoń na lianie, zanim w końcu zsunął się i koziołkując, poleciał w dół, na spotkanie światła miasteczka. Rój insektów (Rosacher zdążył przez ten czas upewnić się co do natury okruchów) porzucił spadające ciało, zebrał się w chmurę i

odfrunął – a Rosacher po raz kolejny uległ złudzeniu, że oto ogląda zakrzywioną powierzchnię złotej planety i orbitujące wokół niej osobliwe ciało niebieskie.

Otuliły go cisza i bezruch. Zdał sobie sprawę, że cały drży, ma płytki, przyśpieszony oddech i – mimo względnie ciepłej nocy – jest przemarznięty do szpiku kości. Zaciśnął kurczowo powieki, usiłując zapanować nad ciałem, gdy wtem usłyszał wysoki, przenikliwy gwizd, jakby czajnika z wrzącą wodą. Zaciekawiony otworzył oczy. Jeden z owadów, które zaatakowały Arthura, tańczył przed jego twarzą: wydłużony, ciemny, obwisły odwłok podwieszony do pary złotych bibułkowatych skrzydełek. Spanikowany Rosacher spróbował pacnąć go dłonią, ale insekt zatrzepotał skrzydłami, odfrunął i zniknął mu z oczu. Gwizd ucichł, kiedy jednak Rosacher obrócił się w swojej roślinnej klatce i wyteżył wzrok w poszukiwaniu nieproszonego gościa, ten nadfrunął od tyłu i ukąsił go w szczękę. Rosacher wziął zamach, żeby go plasnąć, ale powstrzymał się w pół gestu, gdy drugi insekt, ze złożonymi skrzydłami, przysiadł na knykciu jego środkowego palca. Nastąpiło ukłucie, bolesne dzióbnięcie jak szpilką, potem uczucie palącego zimna rozlało się pod skórą i nagle jego zaciśnięta w pięść dłoń stężała jak porażona skurczem. Kolejne ukłucie w szyję sprawiło, że zimny ogień rozpląnął się po gardle i policzku. Dalszych użądleń już nawet nie liczył, zlały się w jedną czerwoną falę bólu, ogień-jad-kwas, połączone i przedestylowane dały zupełnie nowy, proporcjonalnie wzmocniony efekt, ból, który miał swój własny dźwięk – łamiący się wrzask, dobywający się, jak uświadomił sobie Rosacher, z jego gardła. Ślizgał się po szczycie tego wrzasku jak po grzbiecie fali niosącej go na spotkanie czarnego brzegu, który rzucał cień tak głęboki, że nie było w nim widać żadnego ruchu, żadnych kolorów, zupełnie nic. W końcu nawet ból uległ przytępieniu, chociaż Rosacher nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zabrał ze sobą jego wspomnienie wprost w błogosławiony mrok.

Pod powieki wciskało mu się czerwone światło. Ktoś w pobliżu nucił fragment znajomej piosenki. Wspomnienia tłoczyły się w mózgu bez ładu i składu. W polu widzenia przesunęła się niewyraźna postać i wyostriżyła w cudowną kobietę jak z obrazów Rafaela, ubraną w spodnie i wydekoltowaną bluzkę. Wyszła do sąsiedniego pokoju. Spróbował ją zawołać, ale spowodował tylko napad kaszlu, a kiedy kaszel w końcu ustał, poczuł się oszołomiony i skrajnie zdezorientowany. Coś leżało mu na ustach, utrudniając oddychanie. Sięgnął ręką i stwierdził, że całą dolną połowę twarzy i obie dłonie ma obandażowane. Opadł na materac, zastanawiając się, gdzie się znajduje. Wnętrze było spartańskie – parę prostych sprzętów, lampa olejna, gołe ściany ze świeżo przetartych desek, okno zasłonięte pomarańczową roletą – a mimo to przyjemnie schludne i estetyczne. Jasne drewno emanowało surową witalnością. Łóżko było niewiele większe od więziennej pryczy, ale całkiem wygodne. W miarę jak wracała mu świadomość, zaczął odczuwać ból pod bandażami; zawołał jeszcze raz, nieco ostrożniej. Zdołał wydać słabiutki, chrapliwy głos, zanim znowu się rozkaszał. Nikt nie zareagował na jego wezwanie, ale po paru minutach kobieta wróciła i tym razem udało mu się gestem zwrócić jej uwagę. Przysiadła na skraju łóżka, przyłożyła Rosacherowi dłoń do czoła i popatrzyła na niego z z troską. Zapytała, czy czegoś potrzebuje, a on bezgłośnie ułożył wargi w słowo „wody”.

Kiedy się napił i przełknął wmuszone przez nią lekarstwo (dwie pastylki), przyjrzał się baczniej kobiecie. Mogłaby być siostrą bliźniaczką Martity, były identycznie niemal pod każdym względem, a jednak te same cechy fizyczne, które decydowały o przeciętności Martity, u tej kobiety połączyły się w wizerunek dostojnej, zmysłowej piękności. Pochyliła się nad nim, żeby poprawić mu poduszki pod głową. Medalion z topornie rytą

podobizną smoka zawisł mu tuż przed twarzą.

– Martita? – zapytał i trzeci raz dostał ataku kaszlu.

– No, no, bez pośpiechu. – Położyła mu palec na ustach. – Jeszcze zdążysz się nagadać. Wiem, że masz mnóstwo pytań, więc powiem ci, co wiem.

Pokiwał głową.

– Razem z panem Honeymanem napatoczyliście się na rój odłupków – zaczęła Martita. – Nieczęsto się je dziś widuje na tym boku Griaule’a, od strony Teocinte; kiedyś było ich więcej, ale odkąd ekipa Cattanaya oblaźła smoka, rzadziej się tu zapuszczają. Lubią spokój. Jednakże od czasu do czasu zdarza im się do nas zabłąkać i narobić szkód. Ciebie ledwo co pokłuły, większość jadu zużyły na pana Honeymana. Podobno ludzie mieli kłopot z identyfikacją szczątków, tak bardzo były zdeformowane. Upadek z wysokości też mu nie pomógł, jasna sprawa. Przebił dach łaźni. Dziewczyny od Alego, z Wiecznej Nagrody, wylegiwały się tam zajęte sobą nawzajem, rozumiesz, a tu nagle pan Honeyman spadł na nie z góry... No, popsuło im to nastrój, ogłędnie mówiąc.

Rosacher z wielką ulgą przyjął słowa, z których wynikało, że tym razem stracił zaledwie kilka dni zamiast kilku lat.

Martita spojrzała w kąt pokoju, jakby tam znajdowało się źródło jej informacji.

– Ta kobieta – podjęła. – Ludie. Przyszła tutaj, szukała cię. Z oddziałem milicji. Mówiła, że się martwi o ciebie, ale ja jej nigdy nie ufałam, więc kiedy Jarvis znalazł cię wiszącego pod bokiem Griaule’a, pomyślałam sobie, że poczekamy, co sam zdecydujesz. Jeżeli chcesz, mogę jej dać znać, że tu...

Rosacher złapał ją za rękę i pokręcił głową z całym zapalem, na jaki było go stać.

– Tak myślałam. Udawała, że się o ciebie boi, ale sądząc z jej zachowania, to raczej chciała się upewnić, że nie żyjesz. – Poklepała go po ręce. – Nie martw się, tu jesteś bezpieczny.

Nie podzielał jej przekonania, ale też nie zamierzał się z nią w tej chwili spierać. Zmęczenie wzięło górę i nawet jeśli rozmowa trwała dłużej niż tę krótką chwilę, niczego więcej z niej nie zapamiętał.

Przez następny tydzień na przemian to odzyskiwał, to tracił przytomność i z czasem miał coraz większe kłopoty z odróżnieniem jednego stanu od drugiego. Kiedy zasypiał, nawiedzały go wyraziste, niezwykle sny, w których ubrany w czarny płaszcz i kapelusz podróżował po dolinie Carbonales, odwiedzał różne części ciała Griaule'a, w tym także jego wnętrze, i wszędzie tam rozmawiał z różnymi ludźmi; nie potrafił sobie przypomnieć szczegółów tych konwersacji, pozostało mu jednak silne wrażenie, że poruszano w nich sprawy wielkiej wagi. Za to na jawie był nieustannie senny i otępiały, a ożywiały go tylko chwile seksualnego podniecenia, którego doświadczał przy każdych odwiedzinach Martity. Domyślał się, że podaje mu wil, żeby uśmierzyć ból; to narkotyk był odpowiedzialny za jej nowo odkryty powab, lecz ta świadomość wcale tego powabu nie umniejszała. Martita była wprawdzie głupsza i mniej wykwintna od kobiet, jakie przywykł gościć w łóżku, ale wcale go to nie odstręczało. Miała imponujące rozmiary. Wyobrażał sobie jej podobiznę z obnażonymi piersiami jako galion na dziobie okrętu albo, odzianą w bojowy pancerz, na czele armii; myślał o tym, jak rozdziewa ją ze spiżowego kirysu i przyciska wargi do ukrytego pod nim skarbu. Kiedy któregoś dnia pod koniec tygodnia przyszła sprzątnąć po kolacji, przyciągnął ją, pomacał, musnął nosem szyję. Dała mu trochę swobody, a potem podeszła do drzwi i zawołała na dół, do swojego pomagiera Anthony'ego, żeby stanął za barem. Kiedy się rozbierała, jej skóra świeciła jasno, jakby w głębi pod tą bielą płonęło ukryte słońce. Zdawał sobie sprawę, że postrzega ją teraz inaczej niż dawniej, nie próbował jednak podawać w wątpliwość swojej reakcji na nią i wkrótce zatracił się w miękkich krzywiznach jej ciała. Dosiadła go okrakiem, opierając się dłońmi o barki, jej warkocz smagały jego pierś. Spod półprzymkniętych powiek patrzył na jej trzęsący się krągły brzuch, ogromne rozkołysane piersi, podobne z kształtu do dwóch objających się o siebie kabaczków, zaróżowioną z wysiłku rozluźnioną twarz – a wszystko to podkreślone rytmicznymi klepięciami ciała o ciało. W tej chwili zdała mu się boskim zwierzęciem w ludzkiej postaci. Poddał się

bez reszty temu aktowi, zatonął w niej, poświęcił się dostarczaniu jej rozkoszy tak, jak nie robił tego nigdy przedtem, z żadną inną kobietą. Leżąc później w zmiętej pościeli i patrząc, jak Martita zapina spodnie, zdał sobie nagle sprawę, że wprowadzając ją nie kocha (wątpił, by kiedykolwiek doświadczył tego uczucia), ale i nie odrzuca jej ze wzgardą, jaka zawsze towarzyszyła jego związkom z nieważnymi kobietami. Miał ochotę zażartować, poswawolić z nią, zwątpił jednak w słuszność swoich instynktów w tej kwestii i nic nie powiedział.

– No, skoro masz dość sił na małe bara-bara... – Martita zapięła pasek – to pewnie niedługo będziesz chciał wstać z łóżka.

Wyjęła z szafy czarny garnitur i miękki kapelusz z obwisłym rondem i położyła je w nogach łóżka.

– Jak będziesz miał ochotę, możesz przymierzyć – powiedziała. – Pan Doans wkładał ten garnitur, kiedy wybierał się do miasta. Może się okazać, że trzeba go będzie trochę poszerzyć.

Próbował wciągnąć ją jeszcze raz do łóżka, ale opędziła się od niego, tłumacząc, że jeśli nie zejdzie na dół, Anthony oskubie ją ze wszystkich pieniędzy.

– Zajrzę do ciebie wieczorem – obiecała. – Zobaczymy, jak się będziesz czuł. Na razie odpoczywaj.

Po jej wyjściu obejrzał garnitur i kapelusz pana Doansa: dokładnie taki właśnie strój nosił w snach – i dokładnie tak samo był ubrany kaszlący mężczyzna z obandażowaną twarzą, który nawiedził go we śnie tamtej nocy, gdy nasłany przez Kościół zabójca zakradł się do jego sypialni. Wiedział, że gdyby w rozmowie z Martitą poruszył ten temat, odparłaby, że Griaule działa w sposób zbyt subtelny, by zwykły człowiek mógł przeniknąć jego zamiary, i poradziłaby mu, żeby nie tracił czasu na sprawy, które go przerastają. O, tradycyjne bajdurzenie.

Nie mógł jednak nie zauważyć, że – choć już kilkakrotnie w przeszłości odrzucał tę myśl – to tradycyjne bajdurzenie coraz trudniej było lekceważyć.

Blizny pozostały mu na stałe – a nie były to blizny z rodzaju tych, które dodają męskiej twarzy oryginalnego uroku. Skóra z lewej strony żuchwy i szyi zrobiła się rudobrązowa i pomarszczona jak zbyt długo przysmażany bekon. Wierzch dłoni wyglądał podobnie, choć w ich wypadku efekt był mniej wyrazisty. Odkąd stwierdził, że większość klientów przybytku Martity jest w podobny sposób oszpecona, trochę mniej się przejmował swoim wyglądem, nadal jednak chętnie nosił koszule ze stójką, lubił wkładać rękawiczki i miał skłonność do przekrzywania głowy w lewo, by w ten sposób ukryć najgorsze blizny. Wywołane jadem odłupków osłabienie długo nie chciało ustąpić, on zaś wmawiał sobie, że powinien wrócić do pełni sił, nim zacznie planować odwet na Ludie – ale prawdę mówiąc, zemsta nie była już dla niego najważniejsza. Podczas rekonwalescencji pogodził się z myślą, że prędzej czy później będzie musiał stawić czoło Ludie i Breque'owi, chociaż nie po to, żeby koniecznie wyrównać rachunki; krwawa pomsta nie była mu do szczęścia niezbędna. W tej chwili liczyło się przede wszystkim przetrwanie. Jeżeli oszczędzenie tych dwojga okaże się mniej ryzykowne niż próba ich zabicia, to ich oszczędzi. Wątpił jednak, by tak się właśnie stało.

Co dziennie rano budził się ze szczerym zamiarem ograniczenia spożycia wilu, ale kiedy Martita przynosiła mu pastylki, połykał je bez wahania; nie miał dostatecznej motywacji, by odstawić narkotyki. Minęło pięć tygodni od podjętej przez Arthura próby zabicia go i nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przedtem był tak zadowolony z życia. Odpowiadała mu przytulna prostota gospody, podobało mu się uczucie, którym obdarzał Martitę, i nie chciał niczego zmieniać – przynajmniej do czasu, gdy będzie w stanie dokonać pełnej oceny sytuacji. Co z tego, że jego zadowolenie wypływało z działania środka chemicznego? Czy w

normalnych okolicznościach szczęście nie jest skutkiem tymczasowego zachwiania równowagi chemicznej w mózgu? Zdecydowanie najbardziej przekonującym powodem dalszego przyjmowania wilu był fakt, że nareszcie nie musiał się już bać zasypiania. Wil nie tylko przynosił mu ulgę w cierpieniu, lecz także hamował dalszą niekontrolowaną stratę lat. Oczywiście nie mógł mieć pewności, że ten stan rzeczy się utrzyma ani że to właśnie wil jest za niego odpowiedzialny (mogło być przecież i tak, że poczucie straconego czasu było objawem jakiejś przypadłości psychicznej, która w końcu ustąpiła), ale w obawie przed nawrotem choroby wolał niczego nie zmieniać.

Zaczął pomagać w karczmie. Za dnia chętnie stawał za barem, co pozwalało Marticie nie zamykać lokalu nawet wtedy, kiedy musiała wyjść coś załatwić w Teocinte. A wieczorami skośnie padające promienie słońca złociły szorstkie deski i zamykały klientów w snopach światła wraz z krążącymi nad ich głowami drobinkami kurzu – ruchomym przedstawieniem ich oświeconych myśli, w powietrzu pachniało gotowanymi jabłkami (smoczymi jabłkami, rosnącymi w karłowatym sadzie na grzbiecie Griaule’a i cenionymi ze względu na lecznicze właściwości) – i gospoda, emanująca spokojem i słodyczą, cicha i przytulna, była zupełnie inna od wszystkiego, co znał. Uwodziła go swoim urokiem, a on pławił się w nim, nurzał się w tej lśniącej ciepłymi barwami przestrzeni, i choć wiedział, że to tylko złudzenie, które bardzo łatwo może zostać zniszczone przez ludzi i ich złośliwe popędy, przyjmował je i cieszył się nim, dopóki trwało.

Ostatecznie nie trwało jednak zbyt długo. Nie minęły nawet dwa miesiące, gdy to nowe życie – z codziennym bara-bara z Martitą, płytkimi, niezbyt mądrymi (najczęściej) pogaduszkami z klientami i zwykłą harówką w gospodzie – zaczęło go uwierać. Wil łagodził tę irytację, ograniczając ją do uporczywego poczucia niezadowolenia, które stosunkowo łatwo było zignorować, ale Rosacher nie należał do ludzi, którzy chętnie przysmykają oczy na niedoskonałości, i dzień w dzień skubał ten psychiczny strup, aż jedynym sposobem na zmniejszenie rozdrażnienia było

połknięcie kolejnej pastylki.

Pewnego popołudnia dał wyraz swojemu niezadowoleniu w rozmowie z Jarvisem Riggensem, starszawym poszukiwaczem łusek, który wyratował go z kryjówki pod smoczą pachą. Jarvis jak zwykle był ubrany w skórzane spodnie i płócienny bezrękawnik. Jego ręce, policzek i szyję zdobiły tatuaże, w przeważającej większości przedstawiające zielono-złote łuski – symbole wszystkich jego najważniejszych znalezisk. Największy z tatuaży prawie w całości ginął pod bezrękawnikiem: znad kołnierzyka wystawał tylko fragment łba smoka. Jarvis siedział tyłem do okna, podświetlona popołudniowym słońcem szopa siwych włosów tworzyła ognistą aureolę wokół jego głowy, a poblizniona i pobrużdżona twarz – tak zniszczona, że oglądana z wielkiej wysokości mogłaby przypominać karykaturę człowieka – ginęła w cieniu. Zapytał Rosachera, czy wie, gdzie jest, po czym, nie czekając na odpowiedź, zadał kolejne pytanie:

– Czy tam, skąd pochodzisz, chłopcze, żyją całe stada długich na milę smoków? Chyba tak. Bo inaczej nie mógłbyś tu mieszkać i nie zdawać sobie sprawy, że masz pod stopami prawdziwy cud.

Rosacher westchnął z irytacją.

– Mam powyżej uszu takiego gadania. Griaule wie. Griaule się troszczy. Griaule odpowie na wszystkie wasze modlitwy.

Jarvis podrapał się po wytatuowanej na przegubie dłoni łusce.

– Zdaje się, że na twoją akurat zareagował, prawda?

– Żałuję, że ci o tym opowiedziałem. Ale to prawda. Miałem chwile słabości, gdy pozwalałem, żeby strach zwyciężył; kiedy kusiło mnie, żeby ucześcić się przesądów. Kiedy jednak spoglądam na świat okiem racjonalisty, nie widzę niczego, co w przyszłości nie znajdzie oczywistego i wiarygodnego wytłumaczenia naukowego.

Jarvis odchrząknął.

– Czyli miałem rację. Nie wiesz, gdzie jesteś.

– No cóż. – Rosacher przetaił bar szmatą. – Jeżeli Griaule jest bogiem, to nadzwyczaj nieobliczalnym. Jego działania wydają się zupełnie przypadkowe.

Poszukiwacz łusek chciał coś odpowiedzieć, ale Rosacher go

uprzedził:

- Tylko daruj sobie paplanie o jego nieprzeniknionych zamiarach i niezbadanych ścieżkach, którymi podąża jego umysł. Tego też mam dość.

Jeden z klientów w głębi sali skinął na niego i Rosacher pośpieszył podać mu kolejne piwo. Słońce świeciło teraz prosto w okna i nieliczni goście, rozproszeni na ławach i przy barze z głowami pochylonymi nad kufłami, przywodzili na myśl przedstawicieli klasztornej braci pogrążonych w rozmyślaniach nad zawiłościami doktryny, zamkniętych w snopach przykurzonego blasku, który dodatkowo uwypuklał czerwonawy odcień drewna na ścianach. Rosacher musiał obsłużyć jeszcze jednego klienta i zanim wrócił na swoje miejsce nieopodal okna, Jarvis zbierał się już do wyjścia.

- Wpadnę tu jutro o świcie - zapowiedział. - Chciałbym cię zaprowadzić pod skrzydło, coś ci pokazać.

- Co to takiego?

- Sam zobaczysz. Przygotuj jedzenie i picie na cały dzień.

Kiedy Rosacher próbował się wymówić od wycieczki, twierdząc, że może będzie musiał pracować, Jarvis odparł:

- Od śmierci Nathana Martita prowadziła tę gospodę bez niczyjej pomocy. Przez jeden dzień da sobie radę sama.

- Czy tam pod skrzydłem nie mieszka czasem jakiś zwierz, podobno bardzo groźny?

- Nic nam nie robi, jeśli tylko nie zapijemy się zbyt głęboko... Zresztą wcale nie jestem pewien, czy wciąż tam jest. Dawno już nikogo nie załatwił.

- A co z odłupkami? Obiecujesz mi przyjemny spacer na łonie natury, ale ja nie zamierzam dać się znowu pokłuć.

- Odłupki nie będą cię więcej niepokoić. Kogo raz pożądlify, tego już zostawiają w spokoju. W tej chwili mógłbyś wmaszerować w sam środek ich roju, a nie zwróciłyby na ciebie najmniejszej uwagi.

Nie widząc dla takiego zachowania żadnego racjonalnego wytłumaczenia, które dałoby się wywieść z imperatywu biologicznego, Rosacher zapytał o nie Jarvisa.

- Niezbadane są ścieżki... - odparł tajemniczo poszukiwacz łusek.

Następnego dnia o świcie, gdy rozedrgane czerwone słońce objawiło się we wcięciu przełęczu pomiędzy dwoma odległymi wzgórzami, Jarvis i Rosacher (objuczeni dwiema dwunastostopowymi bambusowymi tykami, które Jarvis ściął po drodze i zaopatrzył w duże haki na końcu, ograniczając się w swoich wyjaśnieniach do „przydadzą się”) opuścili się na linach do miejsca pod skrzydłem smoka. Pozostałość starej rany (klinowatą wyrwę po wyszarpanym kawałku ciała zarosły koślawe, zdeformowane łuski) na przestrzeni tysiącleci przybrała formę szerokiej półki, z której roztaczał się widok na wschodnie zbocze tułowia Griaule’a i rozpostartą w dole krainę. Łuski na tym boku smoka były pokryte splątaną masą pnączy i kobiercem porostów w rozmaitych odcieniach intensywnej zieleni, gdzieniegdzie lamowanej rdzą, szkarłatem i jasnym brązem. Pod brzuchem nagromadziło się sporo ziemi i trawy, niemal w całości przykrywając łapy, przez co z perspektywy wędrowca zmierzającego na zachód ta część bestii mogła ujść za naturalną formację terenową, urwisko wypiętrzone z równiny porośniętej palmami, ciernistymi krzewami i wysoką żółtą trawą. Tylko widok błoniastego skrzydła – obwisłego, ocieniającego półkę z wysokości niespełna dziesięciu stóp, z wyraźnie widocznym szkieletem i ciemno żyłkowaną tkanką – mącił tę iluzję. W miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej, a niebo – nad wzgórzami upstrzone pierzastymi różowymi pasemkami chmur – przybierało delikatny jasnyniebieski odcień, bogactwo form życia bytujących na ciele Griaule’a i w jego pobliżu stawało się coraz bardziej oczywiste. Chmary owadów latały w tę i z powrotem zajęte wypełnianiem jakichś obowiązków. Od czasu do czasu rój odłupków pojawiał się w pobliżu, przyprawiając Rosachera o nerwowość, zawsze jednak szybko znikał z pola widzenia. Nieprzeliczone mrowie istot zbyt małych, by dało się je rozpoznać, przemieszczało się po ciele Griaule’a, wywołując

złudzenie ruchomych zmarszczek na jego powierzchni – wrażenie było nieco podobne do oglądania dna rzeki przez warstwę krystalicznie czystej wody. Jastrzębie patrolowały przestworza, od czasu do czasu nurkując po jakąś zdobycz. Stada ptasiego drobiazgu – jerzyków, szpaków, wróbla i im podobnych – wznosiły się pod niebo albo przelatywały tuż nad powierzchnią gruntu, przez sekundę albo dwie badając topografię smoczego grzbietu, by w końcu zniknąć w okolicach Teocinte. Złożoność tego spektaklu natury przypomniała Rosacherowi dzieciństwo i spędzane nad morzem letnie miesiące. Nurkował wtedy w przejrzystej wodzie, podglądał życie rafy, podziwiał upiorną jednomysłność dziwacznych ryb, które całymi ławicami śmigały w cieniu rekinów, oglądał gorgonie, łagodnie kołyszące się ukwiały, skorupiaki o wieloprzegubowych odnóżach, kruche formy życia, których osobliwe kształty wymykały się wszelkim próbom klasyfikacji. Miriady banalnych interakcji łączyły się w symfonii ruchu, która jakby słuchała rozkazów jakiegoś gigantycznego mózgu i ożywiała jego myśli.

Po półgodzinie Jarvis obrócił się na bok i zasnął. Rosacher – pozostawiony sam na sam z cudownym widokiem, pozbawiony skąpych objaśnień poszukiwacza łusek – doszedł do wniosku, że taki właśnie był cel tej eskapady. W zamyśle Jarvisa Rosacher miał sobie uświadomić złożoność biotopu, jakim stał się Griaule, gospodarz ogromnej żywej społeczności; miał jej doświadczyć, zdumieć się jej bogactwem i omyłkowo wziąć ją za przejaw boskości smoka. I owszem, widok rzeczywiście był spektakularny i zadziwiający, lecz dla Rosachera obecność Griaule'a i jego absolutnie kluczowa rola w zaistnieniu całej tutejszej biocenozy nie dowodziła jego świętości, tylko raczej słuszności zasad wyprowadzonych przez takich naukowców jak Alfred Russell Wallace i Alexander Von Humboldt. Opancerzony w ten sposób przeciw magicznemu myśleniu i przesądom we wszelkich ich przejawach oparł się plecami o łuskę i zapatrzył na smocze skrzydło, zawieszane nad jego głową niczym pozostałość ogromnego połamanego parasola. Pod jego osłoną nie brakowało gniazd, czasem o dość wyrafinowanej konstrukcji, uwitych przez

rozmaite ptaki – strzyżyki, wilgi, wilgowrony, kacyki i inne, które teraz uwijały się wokół nich w powietrzu. Setki ptaków to przysiadły na krawędzi skrzydła, to podrywały się do lotu w poszukiwaniu pożywienia. Rosacher jak zahipnotyzowany śledził ich powietrzne akrobacje, a jego myśli błądziły po podobnie zmiennych i nieregularnych orbitach, na pozór bez żadnej logiki przeskakiwały z jednego tematu na drugi, aż w końcu złapał się na tym, że rozważa związki prowadzonego przez siebie interesu z Griaule’em, odnotowując w pamięci błędy i przegapione szanse. Wyróżniała się wśród nich refleksja, że wszystko szłoby znacznie łatwiej, gdyby zamiast drwić z ludzi uznających boskość smoka, cementował ich wspólnotę poprzez promowanie wilu jako sakramentu żywego bóstwa, a uzależnienie nazywał ideałem wiary religijnej. Teraz mógł sobie tylko zadawać pytanie, dlaczego wcześniej na to nie wpadł. Gdyby tak zrobił, jego wpływy byłyby dziś ogromne, a władza nieograniczona. Ani kardynałowie z Mospielu, ani żaden inny Kościół nie mogliby się równać z kultem religijnym, który realizuje swoje obietnice tu i teraz; którego sakrament przynosi natychmiastowe i namacalne korzyści zamiast jakiejś bliżej nieokreślonej pośmiertnej fantazji. Nie obyłyby się bez komplikacji, Kościół nie oddałby łatwo władzy, jednak musiałby ją oddać – cóż innego by mu pozostało, gdyby połknięcie jednej pastylki podważyło całą jego doktrynę?

Wyobrażając sobie świat, jaki mógł stworzyć, widząc siebie w roli władcy całego litoralu, a może nawet jeszcze szerzej zakrojonego królestwa, przypomniał sobie chwilę sprzed lat, gdy stał w oknie swojego mieszkania, patrzył na światła Morningshade i z ich układu odczytywał rozwiązanie wszystkich swoich problemów, rozwiązanie tak proste i doskonałe, że zdało się skutkiem objawienia. W tej chwili nie miał aż tak poważnych kłopotów jak wówczas, ale zdał sobie sprawę, że rozwiązanie wycytane w trajektoriach ptasich lotów (albo przez nie zesłane) jest równie eleganckie i tajemnicze... a także, podkreślił, równie adekwatne. Wcale nie przegapił tej szansy, nadal mógł z niej skorzystać. Ba, teraz mogło to być nawet łatwiejsze, ponieważ miał przeciwko sobie już tylko jednego człowieka: Breque’a.

Ludzie przez pewien czas będzie starannie doglądać interesów, ale z czasem sceduje obowiązki na Breque'a i odda się pogoni za przyjemnościami. Zanim Rosacher będzie gotowy wystąpić przeciw Breque'owi, Ludie stanie się figurantką.

Może zresztą wcale nie będzie musiał występować przeciwko Breque'owi, może uda się pozyskać w nim współnika. Tak, powinien bliżej zainteresować się taką możliwością – ale po kolei. Przede wszystkim potrzebny mu był budynek, gmach porównywalny z katedrą i przeznaczony na podobny cel, ale wybudowany w taki sposób, żeby jego funkcja pozostała dla Kościoła jak najdłużej nieoczywista. Zresztą nawet gdyby Kościół poznał jego plany, niczego by to nie zmieniło: Mospiel pomacha szabelką, być może – przyparty do muru – przyśle do Teocinte wojsko, ale milicja okrzepła już na tyle, żeby w razie potrzeby obronić miasto, a gdy kościelni żołnierze posmakują wилu, wojna nie potrwa długo.

Kątem oka zauważył w odległości około pięćdziesięciu stóp jakiś ruch: coś na dole pełzło w jego stronę po łuskowatej ścianie. Właściwie nie tyle pełzło, ile raczej przelewało się, powoli, cał po calu, coraz bliżej. Nie widział dobrze szczegółów, ale to coś było całkiem spore (mierzyło siedem, osiem stóp szerokości), dość płaskie i albo zielono cętkowane, albo pokryte kleksami porostów. Od czasu do czasu unosiło coś, co chyba musiało być łbem, odsłaniając przy tym fałdę fioletowego ciała upstrzonego okrągłymi ciemnymi plamami. Rosacherowi przyszło do głowy, że może powinien obudzić Jarvisa, ale ponieważ zagrożenie nadchodziło bardzo powoli (niezwykła istota poruszała się w tempie lodowca), postanowił po prostu mieć się na baczności i dać staruszkowi pospać. Na moment jego uwagę przykuły dwa długie wąsy (czułki, uświadomił sobie Rosacher) – wyrosły nagle ze szczeliny między dwiema łuskami przylegającymi do tej, o którą opierał się plecami. Ich właściciel – insekt czy inny stwór – nie pojawił się jednak i Rosacher po chwili zapadł w senną zadumę, zajęty układaniem w pamięci listy spraw, którymi powinien się zająć, jeżeli zamierzał wprowadzić swój zamiar w czyn...

Z tego snu na jawie wyrwały go uderzenie w nogę i krzyk wołającego o pomoc Jarvisa.

Płaski stwór przybliżył się na odległość sześciu stóp i częściowo odkleił od łuski, odsłaniając większą część fioletowego brzucha wraz z bezwargim rozcięciem, które musiało być jego paszczą. Dygotał i wił się niczym czubek ciemnego języka, wydając przy tym lepkie młaśnięcia, jakby pysk miał wypełniony jakąś papką. Jarvis opędył się od niego bambusową tyką, dźgał go hakiem, celując w ciemne plamy, które nie były przebarwieniami na skórze, lecz włóchatymi wybrzuszeniami. Rosacher chwycił drugi kij i dołączył do poszukiwacza łusek. Przy pierwszych próbach uderzenia siła przeciwnika omal nie zwała go z nóg, ale nie poddał się i po kilku minutach wyęzonych wysiłków udało im się ostudzić bojowy zapal stwora. Opuścił łeb i wycofał się tą samą drogą, którą wcześniej przyszedł.

Jarvis wparł się ciężko na tyce.

– Od wieków ich nie widziałem – wydyszał. – Myślałem, że wymarły.

– Co to było?

– Język diabła. Amarga lengua. Ludzie różnie je nazywają. Zakrada się taki do człowieka, paraliżuje go trucizną, a potem oblewa nią od góry, okrywa jak całunem. Kiedy odchodzi, z ofiary nic nie zostaje, nawet plama. – Jarvis uśmiechnął się i pomachał groźnie bambusem. – Mówiłem, że się przydadzą.

– To po to je zabraliśmy? – spytał z niedowierzaniem Rosacher.

– Ale skąd wiedziałeś? Sam mówisz, że od lat nie widziałeś takiego... języka diabła.

– Nie, nie po to. – Jarvis wskazał spodnią stronę skrzydła smoka. – Pomyślałem, że moglibyśmy ściągnąć parę gniazd. Turyści je uwielbiają. Za najładniejsze potrafią zapłacić okrągłą sumkę.

To wydarzenie stało się załącznikiem nawrócenia Rosachera, chociaż obiektywny obserwator mógłby stwierdzić, że proces ten rozpoczął się znacznie wcześniej, a stopniowe dążenie do stanu niekwestionowanej wiary przebiegało po prostu nadzwyczaj dyskretnie. Kiedy na przestrzeni kolejnych kilku lat (lat przeżytych naprawdę, nie tajemniczo straconych i tylko na wpół zapamiętanych) kładł podwaliny pod nową religię i fundamenty świątyni, która miała stać się jej siedzibą, przed oczami stale miał kojącą nerwy panoramę roztaczającą się ze wschodniego boku Griaule'a. Wracał czasem na półkę, na której spędzili wtedy z Jarvisem niemal cały dzień, i napawał się tym spokojem, czerpał z niego natchnienie, chłonał niezwykle pomysły i przenikliwe konstatacje, które później objęły mu się po głowie przez długie dni i tygodnie, zanim stało się oczywiste, jakie zastosowanie mają w bieżących okolicznościach.

Większość tych spostrzeżeń dotyczyła ulepszenia kultu religijnego i jego świątyni, która oficjalnie funkcjonowała jako najbardziej typowy dla Mornigshade przybytek: ulokowany w budynku dom publiczny otworzył podwoje trzy lata przed ostatecznym ukończeniem budowy. Rosacher nie widział żadnego powodu, dla którego miałyby nie wykorzystać rozkoszy ciała dla wzmożenia religijnej ekstazy – przeciwnie, jego zdaniem takie połączenie służyło wzmocnieniu więzi między wiernymi i uprzedmiotowionym bóstwem. Werbował kobiety (w całkiem pokaźnej liczbie) nie z Teocinte, lecz z miast na wybrzeżu; jedynym wymogiem była chęć do pracy i gotowość do wyuczenia się podsuwanych przez niego gotowych scenariuszy. Nie interesowała go sumienność kobiet w wykonywaniu obowiązków; wiedział, że uzależnienie od wилu okiełzna ich naturę i pozwoli im uwierzyć w adresowane do klientów słowa. Dzięki zgromadzonym potajemnie pokaźnym funduszom nabył

przez pośredników na własność hotel Sin Salida, po czym zburzył go i rozpoczął na jego miejscu budowę znacznie większego i wspanialszego przybytku nazwanego Domem Griaule'a. Gotowy Dom, bo pod taką skróconą nazwą funkcjonował na co dzień, przypominał jedenastokondygnacyjny tort weselny wsparty na smoczey łapie, zwieńczony dwiema bliźniaczymi wieżami i na pierwszy rzut oka podobny do gotyckiej katedry, chociaż różnorodność dekoracyjnych detali – ozdobne gzymsy, azjatyckie akcenty w jaskrawych kolorach, mnogość lamp z kloszami z rubinowego szkła, setki połączonych drewnianych smoków rozsianych po całej fasadzie – wyraźnie psuła to wrażenie. Tym sposobem przypadkowy gość najpierw widział dom uciech, a dopiero później na wpół świadomie rejestrował istnienie świątyni – i taki właśnie efekt Rosacher chciał uzyskać.

Na czterech pierwszych kondygnacjach, wybudowanych z granitu pozyskanego ze wzgórz wznoszących się nad doliną Carbonales, mieściły się biura, szatnie (goście obowiązkowo przywdziewali białe płócienne szlafroki), sporych rozmiarów kuchnia, sale bankietowe, ciemnice, w których nadzwyczaj skuteczna służba porządkowa rozprawiała się z wszelkiej maści szubrawcami, spiżarnie z winem, mięsiwem i zapasami wилu i inne pomieszczenia gospodarcze. Większość przestrzeni zajmował jednak ogromny amfiteatr, wyposażony w sofy i szezlongi, na których klientów witali piękni mężczyźni i kobiety, ci pierwsi w spodniach z białego jedwabiu, te drugie w sukniach z tej samej tkaniny, z wyhaftowanym wizerunkiem złotego smoka owiniętego wokół miniaturowego słońca. W tym pomieszczeniu klienci mieli się zapoznawać z mnogością dostępnych im rozkoszy i różnorodnością towarzystwa, na które mogli liczyć, ale tutaj także rozpoczynał się proces ich konwersji. Na dnie amfiteatru znajdowała się scena, nad którą wznosiła się wykonana ze złoconego marmuru płaskorzeźba przedstawiająca Griaule'a. Pod wizerunkiem smoka występowali tancerze: odziani w zwiewne kostiumy odgrywali erotyczne sceny baletowe przy akompaniamencie niedużej orkiestry (smyczki, flety, waltornie, gitary). Cicha muzyka niosła się po całym

pomieszczeniu, ale dzięki doskonałej akustyce wnętrza nawet w najmniejszym stopniu nie utrudniała prowadzenia rozmów czy, ściślej biorąc, flirtowania, które nieuchronnie kończyło się aktywnością seksualną w jednym z licznych pokoiów znajdujących się powyżej trzeciego piętra. Każdy flirt zawierał obowiązkowe fragmenty przygotowanych przez Rosachera nauk religijnych, rozważań o naturze Griaule'a, peanów na cześć jego wspaniałości. Fortel ten (bo jak inaczej nazwać te zabiegi?) stosowano później także w sypialniach, gdzie każdy, nawet skrajnie perwersyjny akt seksualny poprzedzony był modlitwą do zawieszzonego nad wezłowiem łóżka wizerunku Griaule'a.

Rosacher chciał w ten sposób stworzyć wymyślony kult religijny, który płynnie łączyłby sybarytyzm z fałszywą duchowością i ocierał się o świętokradztwo, by w przyszłości przekroczyć granicę dzielącą go od uzyskania statusu „prawdziwej” religii. Ponieważ mieszkańcy Carbonales i bez tego skłaniali się ku uznaniu Griaule'a za istotę boską, nie trzeba było ich długo przekonywać, żeby zrobili ten jeden krok więcej i stali się wyznawcami nowej religii – ale nawet turysta nieobznajmiony z Griaule'em i wilem wychodził z Domu z pamiątkowym naszyjnikiem z wizerunkiem smoka albo bransoletką intarsjowaną okruchami łusek (jedno i drugie sprzedawano w przyświątynnym sklepie), których potem w trudnych chwilach odruchowo szukał dłonią, a do jego mowy wkradały się slogany i fragmenty litanii szeptanej mu do ucha przez cały czas jego pobytu w Domu. Widząc, z jaką łatwością ludzie padają ofiarą tego podstępny, Rosacher wyobrażał sobie Teocinte jako mekkę dla pątników z całego świata, którzy pielgrzymowaliby tutaj z innych Domów Griaule'a, żeby oddawać cześć swojemu bogu. Aby jednak to marzenie się ziściło, musiał najpierw rozprawić się z czyhającymi po drodze zagrożeniami.

Na samym początku, kiedy Dom już działał, ale jeszcze trzy najwyższe piętra nie zostały wykończone, wizytę złożył w nim kościelny funkcjonariusz, kardynał z Mospielu, który poprosił o spotkanie z szefem. Zamiast skierować go do któregoś z zastępców Rosachera, młody i nierozważny urzędnik

zaprowadził go prosto do laboratorium na trzecim piętrze, gdzie Rosacher (pracujący w Domu pod fałszywym nazwiskiem) badał krew Griaule'a. Kardynał był pulchnym mężczyzną o orlim nosie i gęstych siwych włosach, z zaczątkami drugiego podbródka. Ubrany był w lamowaną srebrem czarną szatę, a na serdecznym palcu nosił okazałych rozmiarów klejnot, taki sam jak ten zatknięty na szczycie katedry na Zmiennej Grzędzie. Trochę pokręcił się po laboratorium, udając, że nie zauważa Rosachera, i błądząc wzrokiem po fiolkach, alembikach i zajmującej kilka roboczych blatów aparaturze naukowej. Dopiero po zakończeniu tej inspekcji zwrócił się do Rosachera, który przez ten czas trzymał się usłużnie w pobliżu. Najpierw zmierzył wzrokiem jego niechlujny strój i blizny na twarzy i rękach, a potem przemówił wyniosłym tonem:

– Chciałem rozmawiać z waszym przełożonym.

– Domyślam się, że chodzi panu o pana Mountroyala – odparł Rosacher z udawanym wiejskim akcentem. – Jest nieobecny. Może pan porozmawiać ze mną albo którymś innym zarządcą.

– Nie śpieszy mi się – powiedział kardynał. – Chętnie spotkałbym się z nim już dzisiaj, ale mogę z tym poczekać do rana.

– Być może nieprecyzyjnie się wyraziłem. Pan Mountroyal mieszka za wodą, na Wyspie Świętej Cecylii. Dotarcie do nas zajmuje mu blisko tydzień, a nawet dłużej, jeśli ma po drodze coś jeszcze do załatwienia.

Kardynał westchnął z irytacją.

– Zaczekam na niego, skoro to konieczne. Proszę przygotować apartamenty dla mnie i mojego asystenta.

– Może... – Rosacher z udawanym zaniepokojeniem zawiesił głos. – Może powinien Wasza Eminencja poszukać stosowniejszego lokum? Na przykład na plebanii na Zmiennej Grzędzie?

– Cały życie mieszkam wśród grzeszników. – Kardynał tak się napuszył, jakby to było jakieś szczególne osiągnięcie. – Cokolwiek się tutaj dzieje, nie będzie miało na mnie żadnego wpływu.

To się jeszcze okaże, pomyślał Rosacher. Podszedł do ściany i pociągnął za sznurek dzwonka. Natychmiast w laboratorium pojawił się inny urzędnik, któremu Rosacher zlecił przygotowanie dwóch pokojów dla gości i usunięcie z nich wszystkiego, co mogłoby urazić kardynała.

– Ależ nie, nie! – zaprotestował kardynał. – Przybyłem tu, żeby obserwować codzienne funkcjonowanie waszego przybytku. Proszę niczego nie ruszać. – Zauważył stojące w kącie krzesło, podszedł i usiadł na nim, rozpościerając szatę jak kobieta spódnicę. – Proszę przekazać temu waszemu panu Mountroyalowi – zwrócił się ponownie do Rosachera – że kardynał Chiano przyjechał z Mospielu, aby porozmawiać o niestosowności jego praktyk, i że się stąd nie ruszę, dopóki się z nim nie spotkam. Da pan sobie z tym radę?

– Owszem. – Rosacher podszedł do drzwi, ale znieruchomiał z ręką na klamce. – Mogę zadać pytanie Waszej Eminencji?

Chiano ledwie zauważalnie skinął głową.

– Co Wasza Eminencja ma na myśli, mówiąc o „niestosowności praktyk”?

– To chyba oczywiste. Wasza działalność w każdym aspekcie kpi z Kościoła.

– W żadnym wypadku! – zaprotestował Rosacher z udawanym zdziwieniem. – Prędzej można by powiedzieć, że kpimy z ludzi, którzy widzą w Griaule’u istotę boską.

– Boskość Griaule’a wcale nie jest wykluczona. Wyznaczona przez Kościół rada nie podjęła jeszcze decyzji w tej kwestii.

– Jestem przekonany, że w radzie zasiadają tęższe umysły niż mój, ale całe życie przeżyłem pod bokiem Griaule’a i muszę Waszej Eminencji powiedzieć, że ta śmierdząca kupa za naszymi plecami to zwyczajna pólżywa jaszczurka, wielgachna jak nie wiem co, ale tylko jaszczurka.

– Skąd ta pewność?

– Czy gdyby Griaule był bogiem, pozwoliłby nam wbijać pale w jego skórę, żeby ustabilizować konstrukcję największego burdelu w kraju?

– Naprawdę wbiliście pale?

– Pan Mountroyal uznał, że przy tych rozmiarach gmachu nie możemy polegać tylko na linach, tak jak to zrobili ze starym hotelem, który wcześniej stał w tym miejscu.

Chiano odął usta.

– Może pan mieć rację – przyznał.

– Tubyłcy mają hyzia na punkcie religii. Do niedawna Kościół nie był tu obecny, więc ludzie wierzyli, w co się dało. Gdyby nie było Griaule’a, można by postawić na kamieniu pustką flaszkę po winie, a ktoś prędzej czy później zacząłby się do niej modlić. W gruncie rzeczy Dom pełni podobną rolę jak Kościół, kiedy próbuje wywołać skojarzenie Griaule’a z, jeśli wolno mi się tak wyrazić, ładnym kawałkiem ciała. Ludzie zaczynają postrzegać swoje bzdurne przesady w zupełnie nowym świetle.

– Muszę panu przyznać, że to ciekawy punkt widzenia. Jak się pan nazywa?

– Myrie – odparł Rosacher. Miał wrażenie, że powiedział za dużo i niepotrzebnie zwrócił na siebie uwagę kardynała. – Arthur Myrie.

– No, Arthurze, może będziemy mieli jeszcze okazję pogawędzić.

Zanim Rosacher zdążył wyjść, kardynał wskazał rozstawiony na blatach sprzęt i zapytał o jego przeznaczenie.

– To hobby pana Mountroyala – odparł Rosacher. – Lubi się bawić chemią. Odkąd nauczył mnie paru sztuczek, ja też lubię w wolnej chwili zajrzeć tutaj i podziałać trochę na własną rękę.

Pożegnał się i wyszedł. Wróciwszy do gabinetu, zaczął się zastanawiać nad obecnością kardynała w tym miejscu. Nie był to problem szczególnie poważny. Z biegiem lat Rosacher stwierdził, że rozkład Kościoła jest bardziej zaawansowany, niż mu się początkowo wydawało, i nie spodziewał się, by kościelnym dostojnikom śpieszyło się do zbrojnej konfrontacji z milicją, która niewiele – jeśli w ogóle – ustępowała ich wojsku; były inne obszary, na których mogli praktycznie bez wysiłku powiększyć swoje wpływy. Mogli urządzić pokaz siły i przysłać jeszcze więcej spasionych emisariuszy uzbrojonych w napomnienia i groźby, ale jeżeli Rosacher się nie mylił, na tym ich działania powinny się

zakończyć. Niemniej jednak obecność kardynała stanowiła dla niego okazję do wzmocnienia własnej pozycji. Przygotowanie aktora do roli fikcyjnego pana Mountroyala potrwałoby najwyżej jeden dzień, Rosacher zamierzał jednak opóźnić wyjazd kardynała w stopniu, w jakim tylko będzie to rozsądne, a przez ten czas wszechstronnie go wysondować.

Przemyślawszy dogłębnie sprawę, wezwał do siebie urzędnika, który zaprowadził Chiano do laboratorium.

– Pan Mountroyal zakazał wam, zdaje się, przyprowadzania gości bezpośrednio do mnie – powiedział. – Moje bliźni bywają dla niektórych odstręczające.

– Przepraszam. – Urzędnik nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale zdążył już wyłysieć i resztki jasnorudych włosów zaczesywał na pożyczkę. – To z nerwów. Nigdy przedtem nie byłem tak blisko kardynała.

– I jak się panu podobało?

– Ale co, proszę pana?

– Bycie blisko kardynała. Poczuliście pan dreszczyk emocji? Zrobiło się panu słabo? A może odzyskał pan wiarę w Kościół?

– Ehm... nie, proszę pana.

– Coś jednak musiało spowodować taką, a nie inną reakcję.

– Wydaje mi się...

– Tak?

– Ten ogromny pierścień. Z klejnotem. To chyba zadecydowało.

– I nic innego nie miało na pana wpływu? Nie zrobiło na panu wrażenia?

– To znaczy... rzuciło mi się w oczy, że kardynał ciężko dyszy przy chodzeniu. I jeszcze że... bardzo dziwnie pachnie.

– To z pewnością zapach świętości. – Rosacher plasnął otwartą dłońią w błąd. – W porządku. Niech to się więcej nie powtórzy. A teraz... – Odchylił się na oparcie fotela i oparł nogi na biurku. – Dopilnuje pan, żeby kardynałowi Chiano niczego nie brakło. Proszę szczegółowo notować, co zamówi z kuchni, co sobie zażyczy do picia, a także jak będzie spędzał czas. Jeżeli dobrze się pan spisze, pan Mountroyal nie dowie się o pańskim uchybieniu.

– Dziękuję panu. Zrobię, co w mojej mocy.

- Jeszcze jedno. Proszę przydzielić kardynałowi naszego najatrakcyjniejszego pana do towarzystwa. Na cały pobyt.
- Mężczyznę, proszę pana?
- Takie mam przecucie.

W okresie budowy, a także przez kilka kolejnych lat, kiedy Dom coraz mniej przypominał dom publiczny, bardziej zaś ośrodek praktyk religijnych, Rosacher mieszkał u Martity w Hangtown, ale z upływem czasu coraz więcej przebywał poza domem. Martita nadal mu się podobała – jakże mogłoby być inaczej? – ale nie kochał jej, tak jak i ona nie kochała jego. Wil, który zrównywał wszystkich ludzi, praktycznie eliminował zazdrość (po co pożądać innej kobiety, większego domu czy ładniejszych strojów, kiedy wszystko, co masz, jest doskonałe?), nie potrafił jednak maskować ani wzbudzać silnych uczuć. Dlatego kiedy minęło pierwsze zauroczenie, Rosacher i Martita znaleźli sobie innych kochanków, co nie przeszkadzało im pozostać przyjaciółmi i od czasu do czasu pomieszkiwać razem.

Któregoś ranka Rosacher – szykując się do spaceru na skalną półkę na boku smoka, żeby tam pokontemplować dręczący go problem i być może znaleźć jego rozwiązanie – stał przed lustrem i poprawiał kapelusz w taki sposób, by rondo ocieniało zniszczoną twarz; był to nawyk, którego nie wyzbywał się nawet w Hangtown, gdzie tego rodzaju oszpecenie nie było niczym niezwykłym.

- Wiesz co? – zagadnęła go markotnie Martita. – Odkąd pierwszy raz tu przyszedłeś, nic a nic się nie zmieniłeś.

Roześmiał się w odpowiedzi, wskazując poblizniony policzek i szyję.

- Żartujesz, prawda?

- Nie licząc tych blizn, wyglądasz dokładnie tak samo jak... Kiedy to było? Prawie dziesięć lat temu. A ja? Spójrz: starzeję się.

Zapewnił ją, że nadal wygląda doskonale, po czym, gdy poszła spakować mu prowiant na drogę, obejrzał się dokładnie w lustrze. Blizny utrudniały rzetelną ocenę sytuacji, ale miał

wrażenie, że nieuszkodzona część twarzy jest względnie wolna od zmarszczek, a włosy jakoś bardzo mu nie posiwiały. Dziwne. Przypuszczał, że pomaga mu spokojny tryb życia. Biznes narkotykowy potrafił zszargać nerwy, za to budowa i organizacja działania Domu stanowiły trudne, lecz radosne wyzwanie, któremu codziennie stawiał czoło z niesłabnącym entuzjazmem. Pod wieczór zdarzało mu się odczuwać zmęczenie, nie bywał jednak zestresowany, nie miał kłopotów z zasypianiem i nie dręczyły go paranoiczne fantazje, z których część wcale nie była fantazjami.

Idąc po zachodniej pochyłości ciała Griaule'a, spojrzął w dół, na rozciągającą się przy południowych rubieżach Morningshade równinę, na której piechota i kawaleria maszerowały i galopowały w tę i z powrotem, wzniecając tumany kurzu. To milicja szykowała się do wypadu na terytorium sąsiedniej Temalaguy (zdaniem Rosachera było to posunięcie dość niebezpieczne) w odwecie za tak zwany temalaguański akt agresji. W incydencie, o którym mowa, wzięła udział grupa myśliwych z Teocinte, którzy zbłądzili na drugą stronę granicy, gdzie zostali zaszlachtowani przez prymitywnych mieszkańców lasu deszczowego. Rada, całkowicie zdominowana już przez Breque'a, potraktowała to jako pretekst do wywołania konfliktu, którego celem miała być aneksja południowej prowincji Temalaguy, od dawna stanowiącej teren sporny dla obu krajów. Oczywiście fakt, że prowincja była zasobna w cenne minerały i dysponowała dobrze prosperującym portem morskim, znacznie głębszym niż Port Chantay, nie miał z tym nic wspólnego. Przez chwilę Rosacher śledził chaotyczną musztrę, wsłuchany w dobiegającą z dołu kakofonię trzasków i szcęknięć, i zastanawiał się, czy powinien wmieszać się w ten konflikt, w końcu jednak dał sobie spokój i ruszył dalej.

Wiatr się wzmógł, ze wschodu napłynęły chmury o ciemnych, obrzmiałych brzuszyskach, spadły pierwsze krople deszczu. Rosacher przyspieszył kroku i dotarł do półki dosłownie chwilę przed tym, jak kapuśniaczek przeszedł w ulewę, która zadudniła o smocze skrzydło i zmusiła ptaki do zaprzestania lotów. Zamiast

zając się rozwiązywaniem problemów, dał się uśpić bębnieniu deszczu. Kiedy się obudził, niebo nad Griaule'em nadal było zachmurzone, za to na wschodzie słońce przedarło się przez chmury i stało w dół pęk promieni jak snop światła zogniskowany w gigantycznym kryształ; wyglądało to tak, jakby Bóg albo ktoś inny próbował za pomocą szkła powiększającego podpalić fragment wybrzeża. Ptaki wyfrunęły z gniazd, by wy badać sytuację, wróciły na krótką jazgotliwą kłótnię, po czym rozpierzchły się w poszukiwaniu śniadania. Woda skapywała ze skrzydła Griaule'a. Cały świat odrodził się po deszczu, wszelkie stworzenie pełzało, biegało, skakało i szybowało, łącząc się w fascynującej organicznej jedności. Rosacher nie tylko nauczył się tę jedność cenić, lecz wprost uzależnił się od jej kojącego działania. Nie pierwszy raz zastanawiał się nad oczywistym rozziwem pomiędzy takimi widokami i absolutnie pozbawioną wdzięku panoramą roztaczającą się z zachodnich zboczy smoczego cielska; te pierwsze, jak się domyślał, reprezentowały idylliczny, choć dziki świat ojczysty Griaule'a, ta druga zaś – świat, któremu smok został narzucony; świat nie mniej dziki, lecz daleki od sielankowego spokoju i funkcjonalnej spójności; świat będący odbiciem szkodliwych skutków skażenia nieobliczalnym i nielogicznym czynnikiem ludzkim. Ale czy Griaule nie był po części odpowiedzialny za to skażenie? Okres dorostania, kluczowy dla kształtowania się osobowości, Rosacher przeżył na wsi w Prusach, a lata studenckie w Berlinie. W obu tych miejscach panował porządek i obowiązywały ścisłe reguły. Dysfunkcyjny bałagan w Teocinte i jego okolicach mógł być skutkiem udręki z powodu sąsiedztwa Griaule'a – albo może Prusy wcale nie były aż tak uporządkowane, jak je zapamiętał. Doszedł do wniosku, że powinien zjeździć trochę świata i poobserwować więcej różnych kultur, zanim wyciągnie ostateczne wnioski.

Jeszcze przez jakiś czas snuł tego rodzaju rozważania, analizował koncepcję dualizmu Griaule'a, zastanawiał się, czy nie powinien spisać swoich przemyśleń i refleksji, żeby je uporządkować, gdy wtem męski głos wyrwał go z zadumy.

Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył dwóch ludzi stojących na grani smoczego grzbietu. Jeden z nich trzymał karabin z długą lufą. Drugi, niższy, pomachał Rosacherowi na powitanie i zaczął schodzić po zboczu w jego stronę. Ten z karabinem przewiesił broń przez ramię i pozostał na posterunku. Kiedy niższy zbliżył się na niewielką odległość, Rosacher rozpoznał w nim mocno posiwiątego od czasu ich spotkania przed laty rajcę Breque'a. Zaniepokojony podniósł się i przyklęknął na jedno kolano, rozglądając się w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Breque zszedł na półkę i teraz, podparty pod boki, ciężko łąpał oddech i wodził wzrokiem po dolinie.

- Przepiękne miejsce - powiedział. - Może nieco zbyt przepaściste jak na mój gust, ale widoki są naprawdę niezwykłe. Pozwoli pan? - zapytał, wskazując kawałek łuski obok Rosachera.

- Nie widzę żadnej tabliczki, która mogłaby panu tego zabronić - odparł Rosacher z udawanym wiejskim akcentem.

Breque rozsiadł się wygodnie.

- Minęło dużo czasu, nieprawdaż?

- Że co proszę?

- Dawno nie rozmawialiśmy, prawie dziesięć lat.

Rosacher podrapał się za uchem.

- Chyba nie rozumiem, do czego pan pije - odparł.

Usta Breque'a drgnęły, jakby powstrzymywał uśmiech.

- Wiem, kim jesteś, Richardzie. Daruj sobie ten niedorzeczny akcent.

Rosacher nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy gdyby czmychnął głębiej pod skrzydło, udałoby mu się zgubić pościg wśród fałd smoczjej skóry.

- Jeżeli obawiasz się, że przyszedłem cię skrzywdzić, śpieszę zapewnić, że absolutnie nie mam takiego zamiaru - dodał Breque.

- Byłbyś bardziej przekonujący, gdybyś nie przyprowadził ochroniarza z karabinem.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Ma chronić mnie, a nie grozić tobie.

– Nadzwyczaj subtelne rozróżnienie – zauważył Rosacher – zważywszy, że jedno jest następstwem drugiego.

Breque westchnął z irytacją.

– Niemal przez cały okres twojego „zaginięcia” wiedziałem, gdzie cię szukać – powiedział. – Śmierć pana Honeymana w połączeniu z brakiem zwłok, które mogłyby uchodzić za twoje... Zawsze podejrzewałem, że żyjesz, chociaż Ludie upierała się, że nie mam racji. Myślę, że z jej strony były to pobożne życzenia, ale kiedy w końcu cię znalazłem, postanowiłem nie pozbawiać jej złudzeń. Po prostu przez te wszystkie lata miałem cię na oku i tyle.

Przelotnie intensywny deszcz zaszemrał o łuski, niemal natychmiast przechodząc w delikatną mżawkę.

– Po co? – spytał Rosacher.

– Jesteś bystrym człowiekiem, Richardzie. To już dostateczny powód. Któż może z góry przewidzieć, jak postanowisz tę swoją bystrość wykorzystać?

– Nie zamierzam występować przeciwko tobie. Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju, nic więcej.

– Bardzo to piękne, cieszę się, że nie żywisz do mnie urazy, ale chodzi mi o coś innego: gdybym chciał cię zabić, miałem ku temu aż nadto okazji. Uważam cię jednak za wartościową jednostkę. Prawdę mówiąc, nawet podczas twojej nieobecności tak cię właśnie traktowałem i systematycznie przelewałem na twoje konta określony procent naszych zysków. Poza tym pozwalałem ci swobodnie podbierać ilość produktu niezbędną dla funkcjonowania Domu.

Zaskoczony Rosacher z trudem zachował obojętny wyraz twarzy.

– Kupuję wil od...

– Od braci Bornish z Port Chantay. Kupujesz go nawet taniej niż po kosztach, za symboliczne pieniądze, bo jesteś właścicielem Domu Handlowego Braci Bornish... A właściwie jest nim twój pełnomocnik, Samuel Mountroyal.

Rosacherowi nie podobało się, że Breque zna na wylot tajniki jego interesów; słowa rajcy miały zapewne uświadomić

Rosacherowi, że nie jest już panem sytuacji.

– Po co przyszedłeś? – zapytał.

– Żałuję, że nie spotykamy się w przyjemniejszych okolicznościach. Mam świadomość, że twoje stosunki z Ludie były ostatnio dość napięte, oględnie mówiąc, spodziewam się jednak, że łączyła was jakaś szcążtkowa więź.

– Bądź tak dobry i przejdź do rzeczy, dobrze?

– Ludie nie żyje. Wczoraj wieczorem wybrała się na przejażdżkę Wschodnim Traktem. Ponoć spadła z konia i rozbiła sobie głowę o kamień.

Rosacher poczuł się jak zakutany w tłumiący zmysły ciepły koc. Miał gwałtowną huśtawkę nastrojów: w jednej chwili żal i rozpacz doprowadzały go do płaczu, w następnej odczuwał ogromną ulgę, że Ludie nie będzie mu więcej przysparzać problemów.

– Ludie? – powtórzył. – Ludie nie żyje?

– Niestety.

– Kto z nią był?

– O ile mi wiadomo, pojechała sama. W ostatnich latach przyjmowała coraz większe, wręcz niebezpiecznie duże dawki różnych narkotyków, głównie opiatów. Słyszałem, że już wcześniej zdarzało jej się zasnąć w siodle i spaść z konia. Przypuszczam, że i tym razem było podobnie.

– Guzik mnie obchodzi twoje przypuszczenia! – wybuchnął gniewem Rosacher. – Kto skorzysta na jej śmierci? Czy odczytano testament?

– Jeszcze nie, byłem jednak świadkiem, jak mniej więcej przed rokiem postanowiła go spisać. Być może od tego czasu wprowadziła jakieś zmiany, ale nic mi o tym nie wiadomo. Znalazło się w nim sporo drobnych zapisów, a także życzenie, by jej udziały w firmie przeszły pod zarząd powierniczy, a dochody z ich tytułu zostały spożytkowane na korzyść obywateli Morningshade.

Wstrząśnięty Rosacher skonstatował, że takie żądanie stanowi bezpośrednio naruszenie zawartej z Kościołem umowy.

– Kto ma tym zarządzać? – zapytał.

- Kancelaria prawna Lawrence, Behrens, Ecclestone i Wspólnicy. Kojarzysz ich?

Rosacher już, już miał ze złością odparować, że ta sama kancelaria obsługiwała jego umowę z Kościołem, oraz nadmienił, że Kościół najwyraźniej się pośpieszył, ale ostrożność kazała mu się ugryźć w język. Czy Ludie ujawniła Breque'owi istnienie umowy? Nie można było tego wykluczyć. Jeśli rzeczywiście do tego doszło, to jaki związek z tym faktem miała jego obecna wizyta? Kościół był cierpliwą bestią; wiedząc, że za niespełna dziesięć lat i tak wszystko trafi w jego ręce, nie posunąłby się do złamania umowy, gdyby nie został sprowokowany. Nawet jeśli poprzez takie sformułowanie testamentu Ludie chciała zagrać na nosie Rosacherowi i Kościołowi, było raczej wątpliwe, by ta sama kancelaria, która pośredniczyła w zawarciu tamtego porozumienia, zgodziła się teraz sporządzić taki testament. Wynikało z tego, że Breque coś przed nim ukrywa. Nagle Rosacherowi zrobiło się niezwykle ciężko i na duszy, i na ciele – tak jego organizm reagował nie tylko na wieść o śmierci Ludie, lecz także na świadomość, że oto znów zostaje wciągnięty w narkotykowy biznes.

- Mów prawdę – powiedział. – Po co przyszedłeś? Czego chcesz?

- Ludie nie ujawniła przed śmiercią procesu rafinacji krwi. – Breque wyprostował nogę i kręcił stopą na wszystkie strony, jakby go złapał skurcz. – Zapasy wилu wystarczą nam na mniej więcej dwa tygodnie. Potrzebuję twojej pomocy przy produkcji większej jego ilości.

Fakt, że Ludie zataiła proces rafinacji – a raczej jego nieistnienie – kompletnie zaskoczył Rosachera i jeszcze bardziej zamącił mu w głowie, ale w żaden sposób nie wpływał na konieczność podjęcia przez niego pewnych działań, które zagwarantują mu przetrwanie. Udał, że dogłębnie zastanawia się nad propozycją Breque'a, zanim odparł:

- Wyprodukuję dla was narkotyk, ale pod pewnymi warunkami. Breque pokiwał głową.

- Spodziewałem się tego. Słucham.

– Po pierwsze: chcę zobaczyć testament Ludie. Po drugie: będę pracował w laboratorium sam; ani ty, ani żaden z twoich ludzi nie będziecie próbowali mnie szpiegować. Jeżeli naruszysz ten punkt naszej umowy, wycofam się i zostawię cię samego z tysiącami nieszczęśliwych nałogowców.

Breque próbował coś powiedzieć, ale Rosacher uciszył go gestem i mówił dalej:

– Wszelkie próby pozyskania siłą lub szykanami informacji na temat procedury rafinacyjnej spowodują uruchomienie mechanizmu, który doprowadzi do zniszczenia firmy. Mechanizm ten został zaimplementowany na samym początku naszej współpracy i jestem całkowicie pewny jego skuteczności. Rozumiemy się?

– Naturalnie. Mam jednak nadzieję...

– Po trzecie: uważam, że wasza ekspansjonistyczna polityka stanowi zagrożenie dla naszych interesów. Dlatego żądam konsultowania ze mną wszystkich posunięć w polityce zagranicznej, w szczególności tych, które miałyby na celu poszerzenie strefy waszych wpływów, czy to w Temalagui, czy gdziekolwiek indziej. Jeżeli nie przekonacie mnie o słuszności planowanych kroków, a mimo to je podejmiecie, przestanę wam pomagać w produkcji wilu.

– Chcesz mieć prawo wetowania każdej mojej decyzji? – spytał z niedowierzaniem Breque.

– W dziedzinie polityki zagranicznej tak. Zakładam, że planujesz ekspansję w więcej niż jednym kierunku; wywołane w ten sposób konflikty będą wymagały ogromnych nakładów finansowych. Musiałbym być głupcem, żeby nie chcieć mieć nic do powiedzenia w tych kwestiach. Mam prawo dbać o swoje interesy.

– Nie pozostawiasz mi wielkiego wyboru – przyznał Breque po chwili namysłu.

– Bynajmniej. Masz wiele możliwości, chociaż tylko jedną wartą uwagi: spróbuj mnie przekonać, że obierzesz kierunek, który zagwarantuje sukces. Nie mam nic przeciwko ekspansjonistycznej polityce zagranicznej, domagam się jednak,

by prowadzona była roztropnie.

– Dzięki tobie zyskałem wielki majątek... i ogromne wpływy. – Breque uśmiechnął się, jakby chciał złagodzić wymowę następnych słów. – Niewiele mam rozrywek innych niż uprawianie lokalnej polityki. Ktoś rozważny mógłby zauważyć, że próbując pokrzyżować mi plany, podejmujesz niebezpieczną grę.

– Gdybyś był głupcem, to rzeczywiście tak by było. Ja jednak nie uważam cię za głupca.

Rosacher zawiesił głos, żeby dać Breque'owi czas na odpowiedź, ale ten tylko prychnął wzgardliwie.

– Jeszcze jedno – podjął Rosacher. – Przypuszczam, że masz swoich agentów w takich miejscach jak Alta Miron i Mospiel, ludzi, którzy mogliby przeprowadzić dyskretne śledztwo.

– Ależ naturalnie.

– Będę potrzebował dwóch z nich na okres... powiedzmy, trzech miesięcy. Tyle powinno wystarczyć. Najlepsza byłaby mieszana para, mężczyzna i kobieta. Nie chcę ci zabierać najlepszych, ale wysokie kwalifikacje są mile widziane.

– Do czego chcesz ich wykorzystać?

– Jesteś inteligentnym człowiekiem, Jean-Danielu. Spróbuj się domyślić.

– Przypuszczam, że zamierzasz zbadać sprawę śmierci Ludie. Ale dlaczego nie zatrudnisz do tego swoich ludzi?

– Nie mam agentów z prawdziwego zdarzenia, tylko informatorów na ulicach. Twoi ludzie z pewnością będą bardziej skuteczni.

Wymienili jeszcze kilka w oczywisty sposób nieszczerych uprzejmości i Breque zostawił Rosachera sam na sam z pięknymi widokami, tyle że Rosacher – poruszony, niespokojny – stracił ochotę na ich podziwianie. Mimo szczerych starań nie potrafił zatopić się w kontemplacji krajobrazu, stać się jego częścią. Wszystkie detale życia wydawały się wytracone z równowagi, nie tworzyły harmonijnej całości. Siedząc i denerwując się mnóstwem drobiazgów, doszedł do wniosku, że choć Breque został chwilowo spacyfikowany, w przyszłości wciąż będzie

sprawił problemy, ponieważ pokochał władzę – i Roscher wiedział z doświadczenia, że nic, nawet groźba zagłady, nie powstrzyma go przed dążeniem do poszerzenia swoich wpływów.

Do czasu spotkania z Brekiem wiódł względnie spokojne życie. Kilka godzin dziennie poświęcał na kwestie logistyczne związane z prowadzeniem Domu, a gdy miał pewność, że dalej sprawy potoczą się bez niego, resztę czasu przeznaczał na refleksje nad swoją nowo odkrytą wiarą, bytem dalece niedoskonałym, który – po obejrzeniu go z różnych stron i w różnym świetle – próbował na przemian to wzmacniać, to znów rozbierać na kawałki. Bywał czasem wzywany do Domu, żeby zażegnać jakiś kryzys, ale w miarę jak przeszkoleni przez niego asystenci nabierali wprawy, zdarzało się to coraz rzadziej. Jednakże po spotkaniu z Brekiem zmuszony był do przesiadywania całymi godzinami w laboratorium w podziemiach amfiteatru, udając, że dokonuje jakichś magicznych zabiegów, bez których smocza krew nie byłaby zdatna do przyjęcia przez człowieka. Ponieważ nikt nie patrzył mu na ręce, początkowo wypełniał sobie czas śnieniem na jawie i gimnastyką umysłową. Dopiero później, zmęczony tymi rozrywkami, zajął się spisywaniem swoich przemyśleń. Kiedy tak siedział godzinami na drewnianym krześle obok wyłożonej ceramicznymi płytkami kadzi z krwią Griaule'a (która – wbrew logice – nie wykazywała żadnej skłonności do krzepnięcia) i wpatrywał się w czarne kryptogramy materializujące się na jej złotej powierzchni, by po chwili zblaknąć i się rozpląnąć, trudno było mu się dziwić, że jego myśli stale krążą wokół Griaule'a: próbował przeniknąć zamiary smoka, snuł rozważania o wzajemnych zależnościach człowieka i Griaule'a i tak dalej. Wkrótce zaczął ubierać te refleksje w słowa, nadawać im formę esejów, by w końcu – po kilku miesiącach poprawiania i wygładzania – odczytać jeden z nich publicznie. Analizę wpływu Griaule'a na dzieje Teocinte zatytułował „O naszej smoczej naturze” i wygłosił przez tubę, która poniosła jego chrypliwy szept po całym amfiteatrze. Reakcja słuchaczy

przeszła jego najśmielsze wyobrażenia. Sklepik z pamiątkami przeżył prawdziwe obłędzenie ze strony klientów, którzy dopominali się o wydruk eseju, a także dopytywali o termin wygłoszenia następnego „kazania”. Wyglądało na to, że ogromna rzesza ludzi tylko czekała na takie właśnie wystąpienie, które wyraziłoby ich niesprecyzowane i trudne do ujęcia w słowa odczucia. Rosacher, zachęcony do napisania kolejnego eseju, w poszukiwaniu stosownego tematu cofnął się pamięcią do początków swoich związków ze smokiem, do okresu badań nad jego krwią i osobliwych luk w pamięci, przez które smok usiłował mu pokrzyżować plany. (W wyobraźni porównywał siebie do płaskiego kamienia, który, puszczonej „kaczką”, ślizgał się po powierzchni rzeki czasu i odbijał od niej jak kamyk rzucony na wody zwyczajnej rzeki). Z perspektywy czasu obrona przez smoka taktyka wydawała się niezbyt skuteczna; znacznie łatwiej byłoby zaaranżować śmierć Rosachera – zwłaszcza że Griaule miał pod dostatkiem broni, której mógłby w tym celu użyć. A jednak, zamiast napuścić na niego jakichś wrogów, poszczuć go odłupkami albo w inny sposób wykorzystać przeciw niemu siły natury, smok raz po raz narażał go na niebezpieczeństwo, by z sobie tylko wiadomych powodów ratować mu życie – być może po to, by teraz Rosacher mógł podjąć się dzieła jego deifikacji. Tak jakby poprzez interakcję z rodzajem ludzkim Griaule przyswoił ludzką metodę rozwiązywania problemów, chaotyczny empiryzm, zgodnie z którym próbował jednego podstępem, odrzucał inny, przekopywał się przez całą górę potencjalnych rozwiązań, by w końcu odsiać z nich jedno najbardziej obiecujące, najlepiej obrazujące nieśmiertelny punkt widzenia na śmiertelną sytuację... Te i podobne rozważania doprowadziły Rosachera do spłodzenia eseju zatytułowanego „Czy bóg, którego czczę, jest bogiem, którego stworzyłem?”, który spotkał się z jeszcze bardziej entuzjastycznym przyjęciem niż pierwsza podjęta przez niego próba dyskursu teologicznego.

Kiedy w pewne słoneczne, wietrzne popołudnie odwiedził siedzącego na swojej wieży Merica Cattanaya, poruszył ten temat

w rozmowie i zapytał malarza, czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiał. Przypięty pasami do ustawionego na szczytowej platformie solidnego krzesła Cattanay nanosił farby na czyste stronicie notatnika, mieszał kolory, dodawał oleju lnianego i oceniał efekt końcowy. Przez ostatnie dziesięć lat wyraźnie się postarzał: jego włosy ze szpakowatych zrobiły się siwe, zmarszczki na twarzy pogłębiły się, a ruchy stały się kanciaste – do tego stopnia, że ilekroć skrzywnęta kołysana wiatrem wieża, Rosacher nie mógł się wyzbyć wrażenia, że skrzywienie dobiega ze stawów Cattanaya. Malarz nie potrafił się już obejść bez pomocy przy wchodzeniu na wieżę i schodzeniu z niej – stąd krzesło z pasami.

– Kiedyś dużo rozmyślałem o takich sprawach – przyznał, wycierając pędzel w szmatkę. – Nie doszedłem do żadnych wniosków. A dziś nie mam na to czasu. Muszę się śpieszyć, jeśli chcę przed śmiercią dokończyć swoje dzieło.

– Niepotrzebnie pan dramatyzuje. Jeszcze wiele lat życia przed panem.

Cattanay zamoczył pędzel w słoju z rozpuszczalnikiem.

– Chciałbym panu wierzyć, ale kiedy wsłucham się w swoje ciało... Cóż, ono twierdzi, że nie zostało mi wiele czasu. Oboje moi rodzice zmarli niedługo po sześćdziesiątce, w przeciwieństwie, jak mniemam, do pańskich. Bo widzę, że czas jest dla pana wyjątkowo łaskawy. – Wybrał inny, cieńszy pędzel. – Kiedy jeszcze dumałem nad Griaule'em, nad jego boskością i tak dalej, dochodziłem do konkluzji, że oczywiście jest bogiem. Czym innym mógłby być? To najbardziej boska istota, z jaką miałem w życiu do czynienia. Poza tym skoro w kwestii jego boskiej natury istnieje konsensus, to kimże jestem, żeby go podważać? Zwykły ze mnie rzemieślnik, nie żaden myśliciel. Myślenie zostawiam takim ludziom jak pan i Breque.

– Mimo to nie podjął pan przecież decyzji ot tak, pod wpływem impulsu. Na pewno poprzedziły ją długie rozmyślenia.

– Wszelkoniem ją rozważyłem. – Cattanay zamoczył pędzel w indygo, naniósł farbę na papier i zamamrotał pod nosem coś, czego Rosacher nie wychwytał. – Ale prawda jest taka, że odkąd

przystałem traktować Griaule'a jako zagadnienie natury metafizycznej, stałem się szczęśliwszy. Zdałem sobie sprawę, że wiele trapiących mnie problemów, wie pan, kłopoty z kobietami, trudności natury logistycznej i tak dalej, dodatkowo się komplikowało właśnie przez to, że zbyt wiele uwagi poświęcałem Griaule'owi. Znacznie lepiej było skupić się na pytaniach, na które jestem w stanie odpowiedzieć. Oto przykład.

- Pokazał Rosacherowi arkusz w szkicowniku, nad którym aktualnie pracował: plamę złota częściowo obrzeżoną kolorem indygo.
- Zastanawiam się, czy nie obrysować prawej dolnej części malowidła tą samą barwą. Nie chodzi mi o nakreślenie ostrej, równej granicy; mam raczej na myśli ewolucję barwy, postrzępione, niepełne przejście od złota do indygo. Co pan o tym myśli?

Rosacher otaksował wzrokiem obraz.

- Być może. Nie wiem.

- To zrozumiałe. Żeby wydać osąd, trzeba się znać na rzeczy, rozumieć, jak kolor zachowuje się na łuskach, wiedzieć co nieco o werniksach... Do utrwalenia barw używam pszczelego wosku, ale w wypadku tego indygo myślałem o bardziej tradycyjnym rozwiązaniu.
- Cattanay parsknął śmiechem.
- Nie ma pan dostatecznych kwalifikacji, żeby podjąć tego rodzaju decyzję. Tak jak żaden z nas nie ma wystarczających umiejętności, by ogarnąć mistyczny potencjał Griaule'a. Proszę dobie odpuścić. Skoncentrować się na sprawach, na których się pan zna. Będzie pan znacznie szczęśliwszy.

- Znam się na prowadzeniu burdelu - mruknął smętnie Rosacher.
- I handlu narkotykami. Umie tworzyć popyt na narkotyki.

- Jest pan biznesmenem - zauważył Cattanay.
- A także naukowcem. Może powinien pan przez jakiś czas skoncentrować się na pracy naukowej, zamiast zamartwiać się Griaule'em.

Rosacher powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

- Obawiam się, że w tym wypadku nauka nierozłącznie spleta się z metafizyką - odparł.

Wiatr rozwiął siwe włosy malarza, który po omacku sięgnął po

leżący na platformie beret. Rosacher podniósł nakrycie głowy i podał je Cattanayowi.

– Kiedy zejdzie pan na dół... Nie, nie wyganiem pana, ale kiedy zejdzie pan z wieży, być może spotka pan kręcącego się u jej stóp rudowłosego chłopca. Proszę mu powiedzieć, żeby przyniósł mi koc. – Cattanay przerzucił stronicę szkicownika, odstłonił czysty arkusz i spojrzął na chylące się ku zachodowi słońce, na wpół przesłonięte majestatycznym smoczym łbem. – To niesamowite, że tak tu sobie po prostu siedzę. Kiedyś miałem nadzieję, że otworzę galerię, sprzedam czasem jakiś obraz... Na pewno nie spodziewałem się, że będę miał tyle szczęścia i doświadczę tego wszystkiego, czego doświadczyłem. A pan? Myślał pan kiedyś, że zobaczy coś takiego jak Griaule?

– Owszem – przytaknął Rosacher – myślałem. Ale myślałem też, że będzie to coś zupełnie innego.

Mimo że Cattanay mówił całkiem do rzeczy, Rosacher nie posłuchał jego rady. Zachęcony pozytywnym przyjęciem wcześniejszych wystąpień postanowił pisać jeden esej tygodniowo (choć wymagało to od niego zarywania kilku nocy) i odczytywać go słuchaczom zebranych w amfiteatrze w każdy piątkowy wieczór, tuż przed rozpoczęciem weekendowych bachanaliów. Wbrew oczekiwaniom najsilniejsze piętno eseje odciskały nie na amfiteatralnej publiczności, lecz na samym Rosacherze. Jeszcze zanim wziął pióro do ręki, stwierdził, że smok wywiera potężny wpływ na sprawy ludzi, lecz przeświadczenie to, oparte na faktach, rzadko wznosiło się na poziom wiary, przez co nieustannie dręczyły go wątpliwości. Tymczasem z każdym kolejnym napisanym – i wygłoszonym – słowem jego wiara w boskość Griaule’a stopniowo krzepła i przeobrażała się w nabożną cześć, aż w końcu stał się wyznawcą boskiej mocy smoka równie żarliwym jak wcześniej apologetą Griaule’a jako ideału przyziemności, istoty może nieco większej niż przeciętna, lecz mimo wszystko całkiem zwyczajnej.

Śledztwo w sprawie śmierci Ludie nie przyniosło żadnych

nowych faktów; albo zabójca był mistrzem zacierania śladów, albo jej śmierć była po prostu zwykłym wypadkiem. Zgodnie z przewidywaniami Rosachera testament okazał się oszustwem. Breque musiał wiedzieć o jego umowie z Kościołem i zamiarze przekazania mu całego interesu, dlatego najprawdopodobniej próbował go skłócić z Mospielem, aby wymusić na nim zerwanie tego porozumienia. Każdy kolejny tydzień przynosił nową skargę z biura Breque'a: kardynałowie domagali się większego udziału w zagranicznych rynkach, postulowali lepszą kontrolę jakości albo robili zamieszanie z powodu jakiegoś drobiazgu, który – jak utrzymywali – był sprzeczny z doktryną Kościoła. Rosacher radził Breque'owi ułagodzić ich zaofierowaniem odrobiny tego, o co proszą, i Breque go słuchał – ale przy tym cały czas potrząsał szabelką i wykonywał wojownicze gesty wobec ościennych krajów, koncentrował wojsko przy granicach, przeprowadzał ćwiczenia. Rosacher czuł, że należałoby coś zrobić, żeby poskromić ambicje szefa rady, lecz postanowił na razie grać na zwłokę. Ich stosunki bywały chwilami mocno napięte, Breque okazał się jednak godnym zaufania, solidnym partnerem w interesach i Rosacher po części także jemu zawdzięczał swój sukces. Częścią jego długu wdzięczności była Amelita Sobral, jedna z dwojga agentów wypożyczonych mu przez Breque'a w związku ze śledztwem w sprawie śmierci Ludie. Była szczupłą, czarnowłosa, o mlecznobiałej cerze i wręcz nieziemsko delikatnych rysach (ogromne ciemne oczy, drobny podbródek, wydatne kości policzkowe; taką twarz mógłby stworzyć genialny rzeźbiarz ze słabością do egzotycznych modelek). Jej wygląd kojarzył się z elfią kruchością i upodabniał ją do baśniowej damy w opałach – ale wizerunek ten był jak najdalszy od prawdy, zwłaszcza że na co dzień zachowywała tak niewzruszoną powagę, że Rosacherowi trudno było zachęcić ją do uśmiechu. Spodziewał się, że ona i jej współpracownik będą na bieżąco informowali Breque'a o jego poczynaniach, dlatego kiedy poprosił o użyczenie mu dwójki pomocników, miał w tym jeszcze inny, ukryty cel: zamierzał dostarczać im odpowiednio sprofilowanych informacji na swój temat, a swoim agentom w

otoczeniu Breque'a zlecił donoszenie, które z podanych przez niego faktów rzeczywiście trafiają do uszu szefa rady. Eksperyment ten miał na celu sprawdzenie, jak Breque reaguje na fałszywe informacje ze śledztwa w sprawie śmierci Ludie i czy jego reakcja nie dowodzi współudziału w zabójstwie.

Niedługo po tym, jak Rosacher zatrudnił Amelitę, zostali kochankami. Spodziewał się, że tak się stanie, i domyślał się, że romans jest przejawem czystego cynizmu z jej strony, ale nic z tym nie robił, ponieważ ich związek wpasowywał się w jego strategię – a poza tym, prawdę mówiąc, był w Amelicie zadurzony po uszy. Z upływem miesiący zauważył jednak, że składane przez nią Breque'owi raporty pomijają szczegóły, które mogłyby zirytować szefa rady, a z czasem stały się zupełnie bezwartościowymi skrótami informacji, które Rosacher zechciał jej ujawnić. W pewien dżdżysty poranek, niemal dwa lata po sprowadzeniu Amelity, wybrali się we dwoje na półkę na boku Griaule'a; Rosacher często siadywał tam sam, by w sielankowych widokach szukać inspiracji dla swoich esejów. Amelita włożyła spodnie khaki, typowe dla mieszkanek Hangtown, i bluzkę z czarnej popeliny; ten strój nawet wśród jej rodaków – purytańskich kultystów zamieszkujących dżunglę na nizinnych brzegach Putomai – byłby oznaką życia pełnego wyrzeczeń. Usiadła i podciągnawszy kolana pod brodę, przyznała się Rosacherowi, że z początku informowała Breque'a o wszystkich jego poczynaniach, ale z upływem czasu, gdy zaczęła darzyć Richarda coraz gorętszym uczuciem, nauczyła się cenzurować swoje raporty i pomijać w nich kluczowe fakty. Nie była już jednak w stanie tego kontynuować. Rosacher nie potrafił jednak wyzbyć się podejrzliwości; zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z mistrzynią oszustwa, i dlatego – choć poruszony jej wyznaniem – powstrzymał się od odkrycia kart. Mogło być przecież tak, że swoim przyznaniem się do winy Amelita próbuje tylko wkraść się w jego łaski, zdobyć zaufanie. Przyciągnął ją, wziął w ramiona, wtulił twarz w jej włosy i powiedział, że ją kocha, i chociaż szczerze wierzył w te słowa, gdy je wypowiadał, to gdy tylko wypuścił ją z objęć, natychmiast straciły na wartości.

– Nie powinnam była przyjmować tego zadania – mówiła bardzo cicho Amelita. – Instynkt mi podpowiadał, że trzeba cię za wszelką cenę unikać.

– Wtedy nigdy byśmy się nie spotkali – zauważył Rosacher. – Tak byłoby lepiej?

– Pewnie najlepiej.

– Możemy o tym zapomnieć – zaproponował.

– Nie jestem pewna...

– A ja jestem!

– Wygląda na to, że więcej od siebie wymagam niż ty.

Próbował coś wyczytać z jej twarzy, lecz ta – jak zawsze – pozostała nieprzenikniona.

– Co mam zrobić? – zapytał. – Ukarać cię jakoś? Wykonywałaś rozkazy, nie zasłużyłaś na karę. Wybaczyci? Wybaczam. To się samo przez się rozumie.

Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem, a potem zwiesiła głowę i zaczęła skubać postrzępiony mankiet spodni.

– Całkiem nieźle to przyjąłeś... – powiedziała po długiej chwili milczenia. – I w ogóle nie wyglądasz na zaskoczonego moją dwulicowością.

– Czego się spodziewałaś, teatralnej rozpaczki? Lamentów i rwania włosów z głowy? Nie jestem głupcem. Od samego początku liczyłem się z tym, że możesz na mnie donosić Breque'owi.

– Ach tak. Czyli ty również bywasz dwulicowy.

– To naturalna strategia obronna, nie nazwałbym tego dwulicowością. Gdybym napomknął ci o swoich podejrzeniach, byłby to koniec naszego związku. A na to nie byłem przygotowany.

Deszcz plumkał i skapywał z krawędzi skrzydła, całe mrowie żywego drobiazgu wystawiało łebki, czułki i inne wypustki przez szpary pomiędzy łuskami. Amelita przetrawiła słowa Rosachera i skinęła lekko głową.

– Mam jedno pytanie związane z Brekiem – ciągnął Rosacher. – Czy zataiłaś przede mną jakieś informacje, które mogłyby wskazywać, że jest zamieszany w zabójstwo Ludie?

– Nie znalazłam niczego, co by go obciążało – odparła. – Oczywiście to nie dowodzi jego niewinności, ale jeżeli maczał w tym palce, to nie zostawił żadnych śladów.

Rosacher nie umiał ukryć rozczarowania. Amelita dotknęła jego ręki.

– Jeśli chcesz, mogę dalej szukać – zaproponowała.

– Nie, po prostu rób to, co do tej pory.

– Co masz na myśli?

– Normalnie składaj mu raporty.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

– Mam go dalej oszukiwać?

– Twoje oszustwo nas chroni. Gdybyś poszła do Breque’a i powiedziała mu, że nie możesz dłużej dla niego pracować, zastąpiłby cię kimś innym, kimś, kogo mógłbym w ogóle nie wykryć – tłumaczył Rosacher. Widząc niezadowolenie Amelity, dodał: – Zaplątałaś się w tę pajęczynę, gdy podjęłaś oszukańczą grę. Uwolnienie się z niej będzie wymagało czasu.

– Czyli jeżeli chcę się „uwolnić”, mam przestać być narzędziem Breque’a i stać się twoim? A może zawsze byłam dla ciebie tylko narzędziem? Od początku wiedziałeś, że jestem szpiegiem, prawda? Wykorzystałeś mnie!

– A ty co byś zrobiła na moim miejscu? To przez Breque’a musiałem przejść do obrony. To do niego mam pretensje, nie do ciebie.

Z gniazd pod skrzydłem smoka dobiegł rwetes i jedno z nich – duże, koloru błota, z dnem w kształcie nierównej czteroramiennej gwiazdy – zakołysało się gwałtownie. Rosacher zatrzęsł się z frustracji i zamierzył się pięścią na łuskę, na której siedział. W ostatniej chwili powstrzymał cios, przypomniawszy sobie szkody, jakie jego ręka wyrządzała takimi uderzeniami w przeszłości.

– Do licha! – zaklął. – Jesteś najbardziej przekorną istotą ludzką, jaką w życiu spotkałem!

Sądząc po jej reakcji, równie dobrze mógłby te słowa wymamrotać pod nosem sam do siebie: zapatrzona w przestrzeń nie widziała stada jerzyków, które sfrunęły nisko, tuż nad grzbiet

smoka, i z szumem skrzydeł przeleciały w odległości dosłownie kilku stóp od niej. Rosacher milczał, ciekaw, jak długo przyjdzie mu czekać na odpowiedź. Upłynęło około trzech minut, zanim Amelita się odezwała:

– Jeżeli postanowimy to kontynuować, to cokolwiek zbudujemy, będzie oparte na kłamstwach.

– Tylko tyle wyniosłaś z tej rozmowy? Surowa prognoza.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się od niego, jakby coś na południu przykuło jej uwagę.

– Chociaż wiesz – dodał – zawsze to jakiś fundament.

Nawet gdyby od tego zależało jego życie, nie umiałby powiedzieć, dlaczego kocha Amelitę. Prawdę powiedziawszy, nie był wcale pewien, czy to, co do niej czuje, to rzeczywiście miłość, ale bez wątpienia miał na jej punkcie obsesję. Dzięki wilowi nie było brzydkich kobiet, lecz w jego oczach uroda Amelity była wręcz niebiańska. Każda linia, każda krzywizna jej ciała miała w sobie jakiś rzeźbiarski rozmach, lekkość przyciągającą oko; obserwując jej ruchy, miał wrażenie, że jest świadkiem jakiegoś naturalnego zjawiska, takiego jak kołysanie się łanu pszenicy na wietrze. Była czułą i żarliwą kochanką, a w tych rzadkich chwilach, gdy miała dobry nastrój, potrafiła być także pojętna i pełna życia, zwykle jednak chodziła przygnębiona i często popłakiwała bez żadnego wyraźnego powodu. Zdaniem Rosachera w ich relacji nie mogło być mowy o perfekcji. Domniemywał, że źródłem problemu jest skrajnie prawe wychowanie Amelity, ale ponieważ, opowiadając o swoim dzieciństwie, używała wyłącznie zawoalowanych ogólników, nie umiał wskazać żadnego konkretnego związku przyczynowo-skutkowego, a co za tym idzie, zaproponować lekarstwa. Tym sposobem jego zaciekawienie kobietą rosło i nabierało coraz bardziej obsesyjnego charakteru.

Niedługo po tej rozmowie przeprowadzili się do apartamentu na ostatnim piętrze Domu Griaule'a, który do tej pory zarezerwowany był dla goszczących z wizytą dygnitarzy.

Mieszkali w nim przez kolejne trzy lata. Luksusowe wnętrze poprawiło Amelicie humor: błąkała się po pokojach, wodziła dłonią po oparciach złożonych krzesel i kanap tapicerowanych tkaniną z wizerunkiem smoka; siadywała przy stołach i w świetle mosiężnych kinkietów podziwiała ozdobne tekowe blaty inkrustowane macicą perłową; wpatrywała się w misterny jak kryształ lodu żyrandol w salonie, jakby w jego pryzmatycznych głębiach dostrzegała jakieś objawienie. Rosacher nie był do końca pewien, czy te wszystkie luksusy ją uszczęśliwiają, ale widocznie zaspokoily jakąś jej żywotną potrzebę, bo nie dość, że napady płaczu zdarzały się coraz rzadziej, to jeszcze zaczęła przejawiać zainteresowanie zamieszkującą Griaule'a fauną. Wypuszczała się na całodniowe wycieczki po ciele smoka, szkicowała napotkane istoty (cudowne w swojej złożoności prace zdradzały nieujawniony wcześniej talent artystyczny) i gromadziła rysunki w teczce, uzupełniając je pisemnymi obserwacjami. Jej ulubionym pokojem w apartamencie była sypialnia, gdzie poczesne miejsce zajmowało bogato rzeźbione hebanowe łóże z kolumnkami, ustawione na podwyższeniu, ozdobione malowanym baldachimem (kolejne smoki) i przykryte pościelą w brzoskwiniowym odcieniu. Ale dla Amelity największą atrakcją stanowił dywan, sprowadzony z Isfahanu skomplikowany splot czerwieni, fioletoów, szarości i bieli. Dywan przedstawiał dwie duże spłaszczone półkule, które kojarzyły jej się ze starą mapą jakiegoś wyobrazonego globu. Odkąd poczyniła to spostrzeżenie, porzuciła spacerowanie na łonie natury, by całymi dniami leżeć w łóżku i rysować fantastyczne stworzenia, którymi jej umysł zaludniał ten wyimaginowany świat. Rosacher uważał, że taki brak aktywności fizycznej i umysłowej jest dla niej szkodliwy, i gorąco namawiał ją do wznowienia przechadzek, ona jednak trwała przy swoim, tłumacząc mu, że ten rodzaj sztuki wydaje jej się bardziej twórczy i inspirujący i nadzwyczaj jej odpowiada. Wkrótce jednak napady płaczu znów się nasiliły, Amelita sponiewała i Rosacher zaczął się obawiać, że może się targnąć na swoje życie. Jej twarz poczęła zdradzać oznaki starzenia się: pojawiły się ledwie widoczne kurze łapki,

zmarszczka powyżej nasady nosa. Tymczasem jego twarz, a przynajmniej ta nieporaniona część, nic a nic się nie zmieniała; doszedł do wniosku, że właśnie ten fakt może wzmacniać rozpacz Amelity.

Któregoś dnia siedział w laboratorium obok dwudziestogalonowego naczynia ze złotą krwią, jak zwykle oczarowany jej zmieniającymi się wzorami, gdy przyszło mu do głowy, że przyczyną, dla której się nie starzeje, może być zastrzyk ze smoczej krwi, który dawno temu zrobił mu nieżyjący już Arthur Honeyman. Jeżeli istotnie tak było, jeżeli potężna dawka krwi rzeczywiście łagodziła oznaki starzenia, a może wręcz przedłużała życie, i jeśli efekt ten nie ograniczał się wyłącznie do jego osoby, to mógłby podać krew Amelicie, a gdyby specyfik faktycznie okazał się skuteczny, skutkiem ubocznym jego działania mogłaby być poprawa jej nastroju. Refleksjom tym brakowało może impetu oświecenia – ot, po prostu snuł sobie leniwe, niezobowiązujące rozważania – ale tak długo nie mógł się od nich opędzić, tak długo do nich wracał, że w końcu nabrały mocy objawienia. Oto znalazł odpowiedź na pytanie, z którym borykał się od dziesięcioleci: dlaczego Griaule usiłował odwieść go od prac nad krwią? Gdyby wcześniej doszedł do takich wniosków, jakie wyciągnął teraz (patrzac na to z perspektywy czasu, nie pojmował, jak mógł ich nie wyciągnąć), i gdyby jego konkluzje – bez względu na ich poprawność – stały się powszechnie znane, zapotrzebowanie na krew ze strony chętnych do przedłużenia sobie życia byłoby ogromne i nawet Griaule, mimo gigantycznych rozmiarów, zostałby w końcu tej krwi całkowicie pozbawiony. Czy zatem fakt, że smok przestał utrudniać Rosacherowi pracę naukową, sygnalizował jego gotowość na śmierć? Czy raczej Griaule w końcu zaufał Rosacherowi i zaoferował mu swoją krew w charakterze błogosławieństwa, lekarstwa, nagrody za wierną służbę? Natychmiast pojawiły się miriady dodatkowych pytań, wątpliwości podważających przyjęte przez Rosachera podstawowe założenie, ale w swoim zapale do uzdrowienia związku z Amelitą i podarowania jej przedłużonej młodości zbyt

je machnięciem ręki. Wieczorem, kiedy leżała w łóżku naga w brzoskwiowej pościeli, usiadł obok niej, opowiedział o swojej przygodzie i doświadczeniach, wyjaśnił, co zamierza, i pokazał jej napełnioną strzykawkę. Wzięła ją i obejrzała złocistą ciecz: w rozedrganym świetle lamp czarne rysunki wynurzały się na powierzchnię i rozplływały, śliskie jak węgorze, utrwalone tylko na krótką chwilę, w sam raz, by dać wyraz swojej węzowej żywotności, zanim znów przepadły w złotym płynie.

– A więc tego właśnie chcesz? – zapytała Amelita. – Nie jestem dość piękna?

Ponieważ spodziewał się takiej właśnie reakcji, pośpieszył z zapewnieniem, że krew nie poprawi jej urody, lecz tylko pomoże ją dłużej zachować.

– Ale czy na pewno tego właśnie chcesz?

– Pomyślałem, że to ci sprawi przyjemność. Każda kobieta chce być jak najdłużej piękna, czyż nie?

– Zawsze byłam piękna – odparła. – Ciekawie byłoby zestarzyć się i pomarszczyć.

Zniecierpliwiony Rosacher próbował zabrać jej strzykawkę, ale ona, skora do zabawy, schowała ją pod poduszką.

– Udowodnij, że mnie kochasz – powiedziała. – Wtedy ci ją oddam.

– Po tylu latach nie muszę niczego udowadniać.

– Po tylu latach, tak? – Figlarny nastrój Amelity ulotnił się bez śladu. – To była dla ciebie aż taka udręka? Tak się ze mną męczyłeś?

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło.

– Zdumiewasz mnie, Richardzie. – Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem. – Nigdy nie przestajesz mnie zdumiewać.

– Taki był mój cel – odparł, próbując obrócić jej słowa w żart.

– No to ci się udało. Jesteś bezwzględny alfonsiem i dilerem. Zlecałeś zabójstwa, a mimo to uważasz siebie za dobrego człowieka. Większość ludzi jest do ciebie podobna, wszyscy w taki czy inny sposób oszukujemy innych, nie wszyscy jednak jesteśmy w tym równie dobrzy jak ty. Sam przed sobą skutecznie ukrywasz ogrom grzechów, jakie popełniłeś. To naprawdę

niezwykłe.

Jej słowa boleśnie go zraniły.

- Do diabła, Lita! Czy nasza przyjemność zawsze musi być zakładnikiem twojego chorego podejścia do życia?!

Jeszcze raz wyciągnął rękę po strzykawkę, ale Amelita go odepchnęła, tym razem mocno i zdecydowanie.

- Nie jesteś dobrym człowiekiem. Nie kochasz mnie... może co najwyżej w taki sposób, w jaki kocha większość ludzi, ale to nie miłość, tylko autokreacja. Zazdroszczę ci talentu do ukrywania się przed samym sobą i ignorowania rzeczywistości. Gdybym była taka jak ty, mogłabym kochać cię w taki sam sposób, w jaki ty udajesz, że mnie kochasz.

- To dlaczego ze mną jesteś? Chodzi o pieniądze, prawda? O władzę. Upajasz się nią.

- Upajam się tym, z jaką wprawą zwodzisz samego siebie. Czasem udaje mi się nawet uwierzyć w te twoje bajeczki.

Chciał odeprzeć jej argumenty, odrzucić taki sposób przedstawienia jego uczuć, wiedział jednak, że tylko bardziej ją rozzłości. Nawet gdyby przystał na jej logikę, i tak wydobyłaby z jego słów pretekst do przeciągania sporu.

Odgarnęła przykrycie, odsłaniając białe jak mleko udo. Wskazała je strzykawką.

- Tu chcesz mi zrobić zastrzyk?

- Tak - przytaknął z ożywieniem. Wyglądało na to, że się poddała, że postanowiła się poddać, żeby mogli zrobić krok naprzód. - W duży mięsień. Zaboli, poczujesz chłód, ale jedno i drugie szybko ustąpi.

- Czy poza tobą ktoś jeszcze przyjął tak dużą ilość krwi?

- Nie. Ale wziąłem pod uwagę, że jesteś ode mnie lżejsza, i skorygowałem dawkę. Powinna być całkowicie bezpieczna.

Mówiąc to, zdał sobie sprawę, jak nieodpowiedzialnie się zachował, nie przeprowadziwszy dalszych testów. Znow sięgnął po strzykawkę, ale Amelita przyblokowała go kolanem, wbiła sobie igłę w udo i wdusiła kciukiem tłoczek.

- Przekonajmy się - powiedziała.

Chyba zamierzała coś jeszcze dodać, ale krew zaczęła już

działać i z jej ust dobył się ledwie cień dźwięku, słabo słyszalny jęk.

Spodziewał się, że zareaguje podobnie jak on; że kiedy się ocknie, będzie otumaniona i skłonna do amorów. Ona jednak tylko usiadła wyprostowana na łóżku, bardziej ożywiona, niż widywał ją przez ostatnie miesiące, po czym – machnięciem ręki zbywając jego zatroskanie – wstała i przeszła się po pokoju. Oglądała z bliska złoczone ramy obrazów, dotykała powierzchni lustra, jakby chciała potwierdzić, że widzi w nim swoje odbicie, gładziła eleganckie krzywizny kanapy należącej niegdyś do bizantyjskiego księcia, a na koniec stanęła pośrodku dywanu, dokładnie między dwiema półkulami, i stała tak z przekrzywioną głową, mieniącymi się w świetle drobnymi piersiami i pełnymi biodrami, lewą dłonią dotykając barku, osobliwie skromna mimo nagości. Albo to ona pod wpływem krwi przeszła fizyczną przemianę, albo percepcja Rosachera uległa jakiemuś zniekształceniu, w każdym razie biała poświata otulająca całe jej ciało i rozlewająca się spod jej stóp dalej, na skomplikowany wizerunek jej wyobrazonego świata, tworzyła sadzawkę blasku, w której kwiat urody Amelity zdawał się wytworem świetlistej esencji uwięzionej dotychczas w splotach dywanu.

Rosacher z zapartym tchem czekał, aż coś powie, przeświadczony, że gdy w końcu przemówi, z jej ust popłyną słowa godne wyroczni. Ona jednak nie odezwała się ani słowem, lecz skoczyła ku drzwiom, porwała przewieszoną przez krzesło szarą pelerynę, zawinęła się w nią i wybiegła z apartamentu. Zaskoczony Rosacher wahał się chwilę z podjęciem pościgu i Amelita zdążyła zbiec po schodach. Zobaczył ją ponownie dopiero dwadzieścia pięć minut później, kiedy – po tym, jak przeszukał Dom od parteru po strych, wypytał wszystkich napotkanych na korytarzach gości i wybiegł głównym wejściem – przesiadujący na schodach młodzi próżniacy wskazali mu ją palcem. Oblana jasnym księżycowym światłem wspięła się na szczyt rusztowania opartego o bok Griaule'a (wciąż ponieważ się tam strzępy kiru po pogrzebie Merica Cattanaya, który odbył się sześć tygodni wcześniej) i w tej chwili zmierzała w stronę

stawu barkowego. Pięta się po lianach z taką zręcznością i gracją, że Rosacher ledwie był w stanie uwierzyć, że ma przed sobą tę samą kobietę, która przez ostatnie miesiące praktycznie nie wstawała z łóżka. Puściwszy mimo uszu szydercze pokrzykiwania młodych mężczyzn, podbiegł do rusztowania i też zaczął się wspinać. Szybko zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie dotrzymać jej kroku, i zwolnił, przedkładając ostrożność nad szybkość. Zanim wspiął się na platformę, Amelita zniknęła już w gąszczu na grzbiecie Griaule'a, on jednak szedł dalej, popychany poczuciem desperacji brnął przez splątane pnącza i krzewy. Kiedy znalazł się na obrzeżach Hangtown i dostrzegł przez liście i gałęzie światła gospody Martity, zaczął się zastanawiać, co Amelicie strzeliło do głowy. Czyżby postradała rozum? Ale nie, nie sprawiała wrażenia obłąkanej, przeciwnie, wydawała się spokojna i skoncentrowana... Mogła jednak oszaleć już po tym, jak wybiegła z sypialni. I czym była ta świetlista aura wokół jej ciała? Zważywszy, że chwilę później przygasła, może od początku była tylko złudzeniem, skutkiem jakiejś niedoskonałości zmysłu wzroku Rosachera, defektu jego psychiki, który ujawnił się pod wpływem stresu? Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że Amelita zareagowała na podanie krwi zupełnie inaczej niż on i teraz się o nią bał.

Zajrzał na półkę pod skrzydłem, wykrzyknął imię Amelity w mrok zalegający pod stawem barkowym. Na próżno, nikt mu nie odpowiedział. Ruszył dalej po grzbiecie smoka. Jeżeli postanowiła udać się na widoczną w dole równinę, mógł jej już nigdy nie znaleźć. Nawoływał ją i nadstawiał ucha, ale za każdym razem odpowiadała mu tylko cisza. Zarośla zgęstniały, Rosacher potknął się w miejscu, gdzie grzbiet smoka zaczynał opadać ku tyłowi. Tylko najodważniejsi spośród poszukiwaczy łusek zapuszczali się tak daleko; pamiętał, jak stary Jarvis opowiadał mu, że w gęstwinie na wysokości zadu żyje jakieś ogromne zwierzę, być może rodzaj niedźwiedzia, który mógłby rozerwać człowieka na strzępy – znajdowano tam czasem rozproszone szczątki ofiar, zdarzali się też naoczni świadkowie, którzy ponoć widzieli bestię, chociaż ich relacje były niespójne i niezbyt

wiarygodne. Oczywiście od tamtej pory upłynęły całe lata i zwierz mógł przenieść się gdzie indziej lub po prostu zdechnąć, ale Rosacher nauczył się nie lekceważyć takich przestróg, ponieważ ignorowanie ich bywało nadzwyczaj przykre w skutkach. Księżyc – srebrzysty i niemal idealnie okrągły – znalazł się w nowiu. W jego świetle Rosacher wyraźnie widział korony porastających równinę palm, choć nie dostrzegał ich pni. Rzadka mgiełka przyćmiewała blask gwiazd, było słychać owadzi świergot, gdzieś krzyknął lelek. Nagle poczuł się tak samo samotny i przerażony jak w tamtą odległą noc, gdy przyszedł zaczerpnąć krwi z języka Griaule’a, lecz mimo to uparcie brnął przez gąszcz, wstrzymując oddech przy każdym szeleście, każdym poruszeniu w cieniach, drgnieniu listka czy gałązki.

Kwadrans później znalazł się na łysym placku na grzbiecie smoka. Miał szerokość pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu stóp i najprawdopodobniej był znacznie dłuższy; pokrywającą łysiną cienką warstwę ziemi porastały chwasty, ale nie było tu krzewów. Ledwie Rosacher na niej stanął, przyczyna braku zarośli stała się oczywista: jakiś dureń je wykarczował, najprawdopodobniej w ciągu ostatniego roku, i próbował odłupać znajdujące się pod spodem ogromne łuski, ale tylko pokruszył je na dziesiątki kawałków, które teraz przemieszczały się pod ciężarem Rosachera. Błąkanie się po takich miejscach bywało niebezpieczne: Griaule mógł wziąć wędrowca za poszukiwacza łusek, który zamierza go okaleczyć, i chociaż Rosacher był przekonany, że smok umie rozróżniać ludzi, i miał aż nadto dowodów na to, że Griaule wie, kim jest, nie zamierzał na tym przeświadczeniu przesadnie polegać. Dlatego uznał, że najlepiej będzie wpaść do Martity i nad kufelkiem ale wszystko dokładnie przemyśleć. Może uda mu się namówić przesiadujących w karczmie poszukiwaczy, żeby mu pomogli.

W tej samej chwili dostrzegł Amelitę: stała jakieś dwadzieścia jardów od niego, odwrócona tyłem i otulona maskującą sylwetkę szarą peleryną. Zeszła tak daleko po boku smoka, że gdyby zrobiła jeszcze krok lub dwa, mogłaby się pośliznąć i spaść.

– Lita! – zawołał.

Peleryna trzepotała gwałtownie, jakby Amelitę owiewał wiatr znacznie silniejszy od tego, który dął nad grzbietem smoka. Prąd termiczny, domyślił się Rosacher. Jeszcze raz zawołał ją po imieniu... i tym razem się do niego odwróciła. Z tej odległości nie widział dobrze jej twarzy, było jednak oczywiste, że przybrała odcień szarości, podobny do koloru peleryny. Zaniepokojony zrobił kilka kroków w jej stronę, zatrzymał się, podszedł jeszcze trochę. Nie dość, że jej cera poszarzała, to jeszcze setki drobnych zmarszczek pocięły jej skórę, jakby po ucieczce z apartamentu Amelita gwałtownie się postarzała. Dopiero z bliska Rosacher stwierdził, że wcale nie sprawia wrażenia starszej; wyglądała raczej tak, jakby coś podzieliło jej młodą twarz na nieregularne segmenty niczym elementy puzzli. Ponownie wypowiedział jej imię; ton jego głosu miał w sobie niewiele z przywołania, bardziej przypominał żałosne zapytanie. Wiatr powiał jeszcze mocniej wokół niej, wzburzył jej włosy (również poszarzałe) i wściekle targnął peleryną, lecz Rosacher nie poczuł żadnego podmuchu w miejscu, w którym stał, nie usłyszał również zawodzenia wiatru ani innych typowych dla wichury odgłosów. Nagle zrobiło mu się zimno w kark, jakby chwyciła go czyjaś martwa dłoń. Cofnął się odruchowo, zahaczył piętą o luźny kawałek łuski i runął bokiem na ziemię. Z impetem uderzył skronią o podłogę. Musiał stracić przytomność, bo kiedy otworzył oczy, stwierdził, że Amelita stoi nad nim. W pierwszej chwili pomyślał, że jej twarz ani nie odzwierciedla bólu, ani nie stężała w jakimś wyjątkowym grymasie – tak wyglądała na co dzień, jej obojętna mina nie wyrażała żadnego konkretnego nastroju ani pozy. Nagle zdał sobie sprawę, że jej skóra, i to cała, nie tylko twarzy, odkształca się jak przysmażany na patelni bekon; każdy obramowany pęknięciami nieregularny skrawek tętnił innym rytmem, jakby wzbierał na nim pęcherz gotowy w każdej chwili trysnąć ohydną cieczą. Z ust Rosachera dobyło się skamlenie zrodzone z odrazy i lęku, ze strachu o siebie i o Amelitę. Odczołgał się, spróbował wstać, znów się przewrócił. Amelita rozchyliła usta, przymknęła powieki i uniosła rękę gestem, jakim śpiewaczka operowa mogłaby podkreślić

wyciągnięcie najwyższej nuty. Z jej dłoni coś poderwało się do lotu, coś skrzydlatego i nieważkiego jak popiół, i zatrzepotało w powietrzu nad jej głową. Potem kolejne szare okruchy odrywały się od jej ciała i dołączały do tego pierwszego, tworząc najpierw niewielką gromadę, a potem prawdziwą chmurę tańczącą i podrygującą w powietrzu. Każdy oderwany skrawek skóry odsłaniał połyskliwy kawałek mięsa, które natychmiast ciemniało i zaczynało pulsować. Amelita rozpuszczała się, rozpadała na kawałki, proces ten z każdą chwilą coraz wyraźniej przyspieszał i po kolejnych dwóch, trzech minutach zmieniła się nie do poznania, został z niej kikut, szary stalagmit, z którego bez przerwy odrywały się i wzbijały w powietrze strzępki wielkości odłupków, aż ich wir objął także Rosachera, odcinając mu drogę ucieczki. Był przekonany, że kiedy Amelita rozpadnie się do reszty, szare płatki opadną go ze wszystkich stron, przywrą mu do twarzy i pożądają go śmiertelnie – ale ostatecznie tylko jedna z tych istot go dotknęła. Na ułamek sekundy zawisła mu przed oczami, a wtedy jego porażony zgrozą umysł zarejestrował, że maciupenkie skrzydełka nie są wcale przytwierdzone do owadziego odwłoka, lecz do pleców białej i szczupłej kobiecej postaci, pod każdym względem doskonałej kopii jego niegdysiejszej kochanki. Małeńka postać otarła mu się o policzek, wywołując wrażenie chłodu, a potem podfrunęła na spotkanie trzepoczącej szarej chmury, która chwilę później poleciała na południe i wkrótce zniknęła za wybrzuszeniem grzbietu Griaule'a.

Przez kilka następnych minut Rosacher leżał nieruchomo tam, gdzie upadł. Rozlewające mu się po policzku zimno niezbyt go martwiło – przeciwnie, przynosiło ukojenie, jakby ktoś nałożył mu balsam. Dziwaczna śmierć Amelity (o ile rzeczywiście była śmiercią, nie zaś przemianą w rój odłupków) wywołała w nim mieszane uczucia, nade wszystko smutek, lecz także refleksję, że być może było to dla niej najlepsze rozwiązanie, zważywszy, że często bywała nieszczęśliwa, ba, nawet więcej niż po prostu nieszczęśliwa, była stale przygnębiona i zrozpaczona, a chwile radości przydarzały jej się nadzwyczaj rzadko. I choć ogromnie

mu jej brakowało, czuł również niejasną, głęboko skrywaną ulgę, że oto wyzwoliła się od bólu, który nieustannie ją prześladował. Tyle że ta świadomość w żaden sposób nie łagodziła jego cierpienia.

Zapłakany ruszył w drogę powrotną. Przed drzwiami karczmy Martity musiał na chwilę przystanąć i wziąć się w garść, a kiedy w końcu wszedł do środka i usiadł przy stoliku w kącie, stwierdził, że drażni go mdłe, drżące światło, odór zwietrzałego piwa i rozbrzmiewające dookoła ożywione rozmowy i śmiechy. Prosta zwyczajność tego miejsca działała mu na nerwy. Zwiesił głowę i próbował się uspokoić, ale miał gonitwę myśli, a przed oczami co rusz stawała mu odzierana z kolejnych warstw życia Amelita: otwarte usta, przymknięte oczy, wyraz twarzy podobny do tego, jaki przybierała, gdy się kochali, a zarazem wyprany z życia, pozbawiony odgłosów namiętności, sapnień, melodyjnych westchnień i przez to wszystko dziwnie karykaturalny.

Martita usiadła na ławie po drugiej stronie stołu i zapytała, co go do niej sprowadza; od jego poprzedniej wizyty minęły całe miesiące.

– Pewnie napijesz się piwa, co? – Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, przerażona przyłożyła dłoń do ust. – Na Boga, co ci się stało?! Twoja twarz!

– Co jest nie tak z moją twarzą? Krwawię?

Kazała mu poczekać, po czym wbiegła za bar i przyniosła stamtąd lusterko, które zwykle trzymała pod kontuarem.

– Nie uwierzysz – powiedziała – póki nie zobaczysz na własne oczy.

W zmętniałej powierzchni lustra dostrzegł swoją starą twarz, taką, jaka była dawno temu, zanim Ludie i Honeyman go zdradzili: prawie całkiem gładka, poznaczona tylko nielicznymi zmarszczkami wieku średniego. Wtedy zrozumiał... Chociaż może nie, może wcale nie zrozumiał, może tylko miał nadzieję, że rozumie, dlaczego dotknięcie maleńkiej istoty będącej okrawkiem życia Amelity wydało mu się takie kojące. Znów się rozpłakał, do głębi poruszony tym niedoskonałym zrozumieniem.

Śmierć Amelity zainicjowała u Rosachera okres autorefleksji, który jednak nie przyniósł ani żadnego objawienia, ani ukojenia. Nawet jeśli jego manipulatorska natura odcisnęła piętno na uczuciu, jakim darzył Amelitę, to i tak żal po jej śmierci był absolutnie prawdziwy, niczym czarny rak toczący serce i zaprawiający myśli zgnilizną. Rosacher nie wierzył, że kiedykolwiek się z niego otrząśnie, i oczyma wyobraźni widział przyszłość, w której będzie zmuszony żyć otulony własnoręcznie utkanym całunem, uwięziony w mroku dławiącym wszelkie detale życia. Zamknął się w apartamencie, w łóżku, które dawniej dzielił z Amelitą, zaciągnął zasłony, odcinając się od wszelkiego, choćby najślabszego światła, i modlił się, żeby ta ciemność pozwoliła mu w jakiś sposób połączyć się z jej ciemnością. Nie miał zapału do pracy, nie chciało mu się jeść ani pić, a paląc wół, tylko coraz bardziej pograżał się w swoim prywatnym cieniu. Karał siebie za to, że zezłościł się na nią w noc jej śmierci, za tysiąc innych, drobniejszych przewin, a także za fiksację na jej punkcie, która sprawiła, że teraz, gdy Amelity już zabrakło, on dostawał na jej punkcie większego bzika, niż kiedy żyła. Zaczął nienawidzić samego siebie za zwątpienie w szczerłość swojej żałoby, za obsesyjną skłonność do odwoływania się do Griaule'a we wszystkich sprawach, od pytań natury filozoficznej po kwestie najzupełniej praktyczne (co by Griaule powiedział na to, tanto czy owo). Nie mógł znieść świadomości, że odpowiada za stworzenie związanej ze smokiem metafizyki, która, choć z pozoru krucha, skutecznie opierała się wszelkim zaprzeczeniom i spekulacjom. Przypuszczał, że gdyby wyrzął teraz przez okno i zobaczył wznoszącą się nad dachami tytaniczną przednią łapę smoka, jego samego również by znieawidził – nie miał jednak dość energii, żeby uchylić zasłony i zbadać słuszność tego twierdzenia.

Godzinami ślęczał nad szkicownikami Amelity, szukając w nich wskazówek, które pomogłyby mu przeniknąć jej naturę. W jednym z nich odkrył wizerunek skrzydlatej szarej istoty o ciele kobiety, białej skórze, bujnych czarnych włosach i drobnych, sterczących piersiach. Amelita rysowała ją kilkakrotnie; ostatni z tych rysunków wyglądał niemal jak autoportret i był opatrzony podpisem „faza aurelii”. Z zajmującego kilka linijek opisu wynikało, że stworzenie żywi się światłem brzasku i zmierzchu. Użycie słowa „aurelia” w tym kontekście zaskoczyło Rosachera; odkrył, że jest ono nie tylko imieniem kobiecym, lecz także synonimem poczwarki. Wcześniej niemal zdołał sobie wmówić, że skrzydlata istota była przywidzeniem, efektem jego przerażenia, jednakże rysunek obalił tę tezę i Rosacher musiał zmierzyć się z nową ewentualnością: nie dość, że Amelita została przemieniona w rój odłupków, to w przyszłości mogła przyjąć inną, może nawet jeszcze bardziej odrażającą postać. Zadawał sobie teraz pytanie, czy przewidziała swoje przeobrażenie, czy też raczej Griaule podchwycił wyłowioną z jej umysłu ideę i wcielił ją w życie. Ta myśl – a także setka innych, podobnych do niej i pachnących obsesją na punkcie smoka – wzmagala jego nienawiść do samego siebie i pchała go w nowe otchłanie czarnej rozpacz.

Minęło osiem miesięcy od śmierci Amelity, gdy Breque, który od czasu do czasu wpadał z krótką wizytą, przyszedł i przyniósł ze sobą pękata teczkę. Położył ją na podłodze, a sam usiadł na złożonym krześle obok łóżka i obrzucił baczny spojrzeniem Rosachera, ubranego w nieprany od tygodni szlafrok i leżącego w brzoskwiniowej pościeli. Policzki pokrywała mu szczecina zarostu, włosy miał w nieładzie, po łóżku poniewierały się otwarte butelki wina – niektóre zostały tylko częściowo opróżnione, przez co pościel była upstrzona licznymi fioletowymi plamami.

Breque odchrząknął, a gdy Rosacher nie zareagował, odezwał się:

- U ciebie bez zmian, jak widzę. Chcesz, żebym sobie poszedł?
- Tak – przytaknął Rosacher. - Chyba że masz jakiś pilny

interes. Z produkcją wилu jakoś sobie radzę, Dom nie wymaga nadzoru z mojej strony, więc jeżeli twoja wizyta nie ma nic wspólnego z naszym przedsięwzięciem... Nie jestem w nastroju do pogaduszek.

– Kiedy na ciebie patrzę, mam wrażenie, że jesteś co najwyżej w nastroju do pierdzenia i rozdrapywania odleżyn. Nic ponadto.

Rosacher nie odpowiedział.

– W porządku – podjął Breque. – Mam dla ciebie propozycję. Nie nazwałbym jej interesem, chociaż można chyba uznać ją za pilną. – Zmarszczył nos. – Śmierdzi tu.

– To kolejny powód, żebyś sobie poszedł. – Rosacher obrócił się na bok, twarzą do ściany. – Poza tym mnie to odpowiada. To mój smród.

– Kiedy ostatni raz wpuściłeś tu kogoś, żeby posprzątał?

– Do widzenia.

Milczenie się przedłużało.

– Znamy się od lat, Richardzie – odezwał się w końcu Breque. – Nie we wszystkim się zgadzamy, ale nauczyliśmy się sztuki kompromisu, a ja...

– Naprawdę tak myślisz? – Rosacher prychnął z lekceważeniem.

– W twoim wypadku można raczej mówić o kompromitacji niż kompromisie.

– Jak chcesz. W każdym razie na przestrzeni lat nieraz pomagaliśmy sobie nawzajem i śmiem twierdzić, że połączyła nas zażyła przyjaźń.

– Przyjaźń?! – Rosacher odwrócił się do Breque'a. – Nie rozśmieszaj mnie.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś moim przyjacielem?

– Czyżbym cię zranił? Przepraszam, myślałem, że żartujesz. Wszelkie ludzkie interakcje, jakie znam, są oparte na chciwości... albo pragnieniu bezpieczeństwa, które jest po prostu bardziej podłą odmianą chciwości. Po przyjęciu takich kryteriów można powiedzieć, że kobry i jeże też są przyjaciółmi.

– Jeżeli nie przyjaźń nas łączy, to co?

– Związek o charakterze przestępczym zaprawiony odrobiną zobowiązań społecznych. Musiałbyś być głupcem, żeby widzieć w

tym coś więcej.

– W takim razie widocznie jestem głupcem. – Breque założył nogę na nogę i usadowił się wygodniej na krześle. – Cenię cię jako sojusznika i przyjaciela. Dlatego przyszedłem. Zamierzam ci zasugerować, żebyś przez wzgląd na naszą przyjaźń posłuchał mojej rady.

– Ach, wprost nie mogę się doczekać, kiedy ją usłyszę. – Rosacher usiadł i teatralnym gestem poprawił sobie poduszki za plecami. – Już, słucham. Jestem gotowy skorzystać z owoców twojej ogromnej mądrości i doświadczenia.

– Powinieneś znaleźć sobie jakieś zajęcie; wyznaczyć cel i dążyć do osiągnięcia go.

Rosacher przewrócił oczami.

– Jeszcze trochę, a każesz mi adoptować szczeniaka i na nowo nauczyć się miłości.

– Okres żałoby, jeśli faktycznie była to żałoba, naruszył...

– A co by to miało być?

– Nie wątpię, że opłakujesz Amelitę. Rozumiem, że ją kochałeś. Ale żałoba nie powinna polegać na tym, że uzależniasz się od wspomnień o niej. Nigdy nie byłeś człowiekiem, którego mógłbym nazwać szczęśliwym...

Rosacher zaśmiał się sardonicznie.

– To ci dopiero objawienie!

– ...ale też nie należałeś do wybitnych ponuraków. Mimo to przejąłeś od Amelity jej defetyzm i bezgraniczny pesymizm i wykułeś z nich coś na kształt jej pomnika.

– Albo po prostu zrozumiałem, że miała rację.

– Albo taplanie się w nieszczęściu sprawia ci przyjemność. Napawasz się swoim cierpieniem. Jej śmierć stała się dla ciebie doskonałym usprawiedliwieniem porażki.

– Wynoś się stąd!

– Nie – odparł Breque. – Nie mam takiego zamiaru. Zostanę i będę patrzył, jak upijasz się do nieprzytomności albo w inny sposób spędzasz dzień zgodnie ze swoim planem. Może będę sporządzał notatki dokumentujące twój upadek. Może pewnego dnia zechcę napisać twoją biografię; włączę wtedy do niej

rozważania o tym, czy gnicie duszy poprzedza gnicie ciała, czy odwrotnie.

Wydawało się, że cisza i ciemność splatają się w gruby płaszcz ciężko zalegający na ramionach Rosachera.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał.

– Mam dla ciebie zadanie. Problem dotyczy dziedziny, na której wprawdzie słabo się znasz, ale jestem przekonany, że rozstrzygniesz go z korzyścią dla nas obu. Cechą, którą najbardziej w tobie podziwiam, Richardzie, jest twoja umiejętność oddzielania plew i docierania wprost do sedna sprawy. – Breque sięgnął po teczkę i położył ją na łóżku. – Tutaj plew jest mnóstwo. Liczę na to, że szybko się z nimi uporasz.

– Zadanie, tak? – Rosacher ostrożnie szturchnął teczkę palcem, jakby się bał, że może go ugryźć. – Opowiedz mi o nim.

– W teźce znajdziesz plany, mapy oraz sugestie byłego dowódcy milicji odnośnie do...

– Mówisz o Corleyu? Wszelkie jego sugestie są funta kłaków warte.

– Miałem na myśli generała Aldo.

– Aldo? To co innego. Dobry dowódca, może tylko chwilami nazbyt zapalczywy. Świetny strateg. Co się z nim stało? Zdegradował go? Bo jeśli tak, to nie było to mądre posunięcie.

– Zapalczywość mu zaszkodziła. Dwa tygodnie temu wbrew moim rozkazom poprowadził oddział na drugą stronę temalaguańskiej granicy, wpadł w zasadzkę i zginął.

– Kto przejął dowództwo? Ja bym postawił na Meesa.

– Podczas ostatniej wyprawy na południe Mees nabawił się paskudnej febry; jeszcze przez kilka tygodni nie wstanie z łóżka. Na razie nie udało mi się znaleźć odpowiedniego następcy Aldo.

Rosacher prychnął sfrustrowany.

– Nawet jeśli Aldo nie posłuchał rozkazu, to przecież regularnie go upominałeś, że powinien być bardziej agresywny. Odpowiedzialność spada na twoje barki.

– Przyznaję, że problem wynikał częściowo z moich błędów w ocenie sytuacji, ale nie pora teraz na szukanie winnych. Musimy powstrzymać najazd połączonych sił Temalaguy i Mospielu.

– Co takiego?! Mospiel i Temalagua zawarły sojusz?!

Breque pokiwał głową.

– Moi agenci donieśli, że od kilku tygodni planują wspólny atak na Teocinte. Powiadomiłem o tym Aldo. – Postukał palcem w teczkę. – Tutaj jest plan, który zaczął opracowywać przed śmiercią.

– Coś ty nawywijał, na litość boską, że wpakowałeś nas w takie bagno? Mospiel i Temalagua w życiu by się nie dogadały, gdyby nie zostały do tego sprowokowane. Na pewno poszło o coś więcej niż nieprzemyślany wypad na terytorium Temalaguy.

– Jak już mówiłem, błędnie oceniłem sytuację. Kiedy indziej podyskutujemy o rozmiarach moich przewin, w tej chwili najważniejsze jest opracowanie planów obrony przed atakiem. Mamy na to miesiąc, może trochę więcej, może trochę mniej.

– Miesiąc.

– W przybliżeniu. Aldo twierdził, że mamy maksymalnie sześć tygodni. Chyba że uda nam się przeprowadzić jakąś dywersję, która spowolni ich przygotowania.

– Nareszcie masz to, czego chciałeś – mruknął rozgoryczony Rosacher. – Wojnę jak się patrzy, i to z dwoma wrogami naraz. Gratuluję.

– Bez względu na dzielące ich w przeszłości różnice, prędzej czy później musiało dojść do sojuszu Mospielu z Temalagwą. Tak uważał Aldo. Jego wypad tylko przyśpieszył to, co nieuniknione.

Rosacher pogrążył się stopniowo w apatii, jakby zanurzał się w letniej kąpieli, która przytępia zmysły i powoduje ociężałość członków.

– Może powinniśmy złożyć nasz los w ręce Griaule'a. Gdyby ocalił kraj przed pewną tragedią, w sposób niepodważalny dowiódłby swojej boskości. A gdyby nie, zasłużylibyśmy na śmierć za pokładanie wiary w fałszywym bóstwie.

– I dlatego przyszedłem z papierami Aldo do ciebie. – W głosie Breque'a wyczuwało się zapał. Pochylił się na krześle. – Ze wszystkich ludzi, których znam, właśnie ciebie łączy z Griaule'em najsilniejsza więź. Jego wola wielokrotnie przejawiała się w twoim życiu; za każdym razem dochodziło do swoistego cudu.

Wiem, że sam nieraz w to powątpiewałeś, jestem jednak przekonany, że w głębi twojego serca, dokąd wątpliwości nie mają przystępu, kryje się niezłomna wiara. Griaule obrał cię na swój oręż w walce ze wszystkim, co mu zagraża.

Dawniej, przed laty, takie słowa tylko by Rosachera rozbawiły, ale teraz mu pochlebiały. Jednakże Breque nigdy nie był wielkim pochlebcą, a wobec smoka zachowywał daleko posunięty pragmatyzm – ponieważ niemal wszyscy wierzyli w boską moc Griaule'a, on również oficjalnie podzielał ten pogląd. Tak przynajmniej postrzegał go Rosacher i ta ocena znajdowała teraz potwierdzenie w nucie fałszu, jaka pobrzmiwała w żarliwej przemowie Breque'a.

– Nigdy nie byłeś specjalnie wierzący – wytknął mu Rosacher.

Breque rozparł się wygodnie.

– Powiedzmy, że niedawno się nawróciłem – odparł.

Tak, zdecydowana nuta fałszu, może nawet odrobina samozadowolenia, tak jakby Breque nabrał przeświadczenia, że jego misja już się zakończyła powodzeniem. Rosacher miał ochotę odebrać mu tę pewność.

– Moja wiara w Griaule'a w znacznej mierze wynika z obserwowania ciebie przez te wszystkie lata – mówił dalej Breque. – Nigdy nie byłem fanatykiem i nadal nim nie jestem, ale musiałbym być idiotą, by ignorować oczywiste dowody. A dowody te wskazują jednoznacznie, że jesteś jedynym człowiekiem, który może znaleźć dobre wyjście z tej sytuacji.

Rozmowa jeszcze przez jakiś czas toczyła się w podobnym duchu: Breque zapewniał Rosachera o pokładanym w nim zaufaniu, a Rosacher się wahał. Po wyjściu rajcy doszedł do wniosku, że nie lubi nacisków ani pochlebstw, i przez następne trzy dni nie tknął teczki palcem. Jednakże słowa Breque'a, że jakoby to właśnie on, Rosacher, został wybrany do tego zadania, nie dawały mu spokoju; ostatecznie zajrzał do teczki, po czym wyłożył jej zawartość na łóżko: mapy, szczegółowy opis rozmieszczenia i uzbrojenia wojsk, szacunkowa ocena arsenału Temalaguy i Mospielu, analiza mocnych i słabych punktów najważniejszych dowódców wrogich sił. Na podstawie tych

materiałów przyszość Teocinte i możliwości jego obrony przedstawiały się niewesoło. Przeczytawszy poczynione przez Aldo dopiski na marginesach, Rosacher odkrył, że generał był zwolennikiem przeprowadzenia ataku wyprzedzającego na Mospiel. Takie uderzenie miałyby niewielkie szanse powodzenia, wywołałoby jednak zamęt w szeregach wroga – zamęt, który zdolnemu generałowi mógłby dać do ręki nie lada atut.

Przerażony tą lekturą Rosacher wpadł w przygnębienie i za jednym zamachem wypił półtorej butelki wina. Jego myśli zaczęły krążyć wokół Amelity i znów dał się wciągnąć w grzęzawisko rozpaczy i wyrzutów sumienia. Za to następnego dnia rano, zanim zdążył ponownie pograć się w żałobie, po raz drugi przejrzał materiały z teczek. Nie było sensu wracać do analiz zbrojnego potencjału przeciwnika, zamiast tego skupił się więc na dopiskach Aldo i paru stronach z dziennika prowadzonego podczas wypadu na terytorium Temalaguy. Z dopisków niewiele dało się wyczytać, najczęściej składały się z dwóch, trzech słów, czasem tylko z jednego, ale instynkt kazał Rosacherowi szukać dalej. Jeden z wpisów pod koniec dziennika szczególnie go zaintrygował: nazwisko Bruno Cerruti opatrzone trzema wykrzyknikami. Tuż obok widniał dopisek „polowanie”, a nieco niżej na tej samej stronie „Carlos”.

Nazwisko Cerruti brzmiało znajomo, ale mimo że Rosacher długo łamał sobie nad nim głowę, nie potrafił skojarzyć, gdzie je wcześniej słyszał... gdy wtem, szykując się do popołudniowej drzemki, przypomniał sobie opowieść Jarvisa o poszukiwaczu łusek mieszkającym na równinie nieopodal tylnej łapy smoka. Ze względu na ekscentryczne obyczaje człowiek ów nosił przezwisko Cudak. Ponieważ przedkładał towarzystwo zwierząt nad bliskość ludzi, zbudował chatę krytą strzechą i zamieszkał w niej z całą menażerią, mrowiem zwierzęcego drobiazgu specyficznego dla Griaule'a. Rosacher nigdy nie poznał go osobiście i nie spodziewał się, by do takiego spotkania kiedykolwiek doszło, gdyż Cudak był zaprzysięgłym odludkiem, ale – o ile pamięć go nie myliła – jego nazwisko brzmiało właśnie Cerruti. Oczywiście mógł to być zupełnie inny Cerruti, lecz nie

było to nazwisko popularne w tej okolicy i Rosacher doszedł do wniosku, że warto poświęcić dzień na odszukanie Cudaka.

Rano wziął prysznic, pierwszy raz od tygodni ogolił się i – uzbrojony w sztucer, dziennik generała Aldo i lornetkę – wyruszył w drogę. Dosiadał gniadego wałacha będącego własnością Domu. Okrążył budzący grozę pysk Griaule’a i zjechał na równinę, zachowując bezpieczną odległość od ciemnozielonego urwiska smoczego tułowia, którego kontury u podnóża zacierała spiętrzona ziemia i trawy, wyżej zaś pnącza, mchy i epifity, najczęściej kwitnące na lawendowo, rzadziej obsypane krzykliwym czerwono-pomarańczowym kwieciami, wyróżniającym się na ciemnym tle jak płonące ogniska. Nie żywił wielkich nadziei na znalezienie Cerrutiego, lecz mimo to wędrowka podniosła go na duchu. Było jeszcze przed dziewiątą, ale słońce zdążyło już eksplodować oślepiającą bielą. Słoneczny żar wydobywał silną woń z rosnących w kępach palm sabałowych, plecy i ramiona Rosachera spływały potem. Jechał bez pośpiechu, często wstrzymywał konia, żeby popatrzeć przez lornetkę. Zbliżywszy się do zadu smoka, zaczął się rozglądać z większą uwagą, ale nigdzie nie dostrzegł chaty: Cudak najprawdopodobniej się wyprowadził. Rosacher jednak chciał być skrupulatny, a że w dodatku miło było odetchnąć świeżym powietrzem, postanowił kontynuować poszukiwania. Do południa przejechał wzdłuż całego smoczego cielska i dotarł do miejsca, w którym ogon Griaule’a całkowicie zniknął w ziemi i trawie. Uwiązał gniadosza i zjadł lekki lunch: wieprzowinę na zimno i winogrona. Od lat nie zapuszczał się na równinę i zdążył zapomnieć, jaka jest rozległa. W krystalicznie czystym powietrzu okalające dolinę wzgórza wyglądały, jakby znajdowały się na wyciągnięcie ręki, a mimo to Rosacher wątpił, by udało mu się do nich dotrzeć przed zmierzchem. Wysokie żółte trawy kołysały się w nieregularnych podmuchach wiatru, chwilami dostatecznie silnych, żeby wzburzyć pióropusze liści palmowych, ale poza tym nic się nie poruszało; wszechobecny spokój zdawał się wręcz złowieszczy. Powietrze pęczniało od zespolonego drżenia, połączonego bicia tysiąca serc, obserwujących go z ukrycia

małych i dużych drapieżników. Trawił skromny posiłek i rozglądał się przez lornetkę po ciernistych krzewach, akacjach, rozlicznych palmach, krewetkowcach, gdy nagle zaskoczył go widok pary nóg obleczonej w grubo tkane brudne płótno. Opuścił lornetkę i poderwał się z ziemi. Nie dalej niż dziesięć jardów od niego stał człowiek – opalony, szczupły mężczyzna, z opadającymi na ramiona kasztanowymi włosami. Był bez koszuli, miał na sobie tylko podniszczone płócienne spodnie i sandały. W jednej ręce trzymał worek myśliwski upstrzony czerwono-brunatnymi plamami, w drugiej nóż o długim ostrzu. Zanim Rosacher zdążył zareagować, mężczyzna podszedł do niego. Nie był wcale taki młody, jak w pierwszej chwili się wydawało. Włosy miał przyprószone siwizną, a jego twarz – poryta głębokimi zmarszczkami – chyba nigdy nie była piękna: pociągła, nieco końska, z haczykowatym nosem i przymrużonymi niebieskimi oczami o lekko zażółconych białkach. Nos nosił ślady kilku złamań, od kącika lewego oka w dół policzka i aż na szyję biegła głęboka blizna. Nieustannie poruszał ustami, jakby próbował się pozbyć jakiegoś przykrego posmaku. Kiedy się odezwał, jego nosowy głos był o dobrą oktawę wyższy, niż Rosacher się spodziewał.

– Tu można zginąć – powiedział. – O to ci chodzi? Chcesz umrzeć?

– Nie, ja... szukam kogoś.

– To musi być ktoś bardzo ważny, bo diabelnie dużo ryzykujesz.

– Znów bezgłośnie poruszył ustami. – Ty jesteś Rosacher, zgadza się?

– Znasz mnie?

– Widywałem cię w tej okolicy. Jak udało ci się naprawić twarz?

Kiedy odłupki człowieka poparzą, to blizny zostają na zawsze.

– Właściwie to nie wiem – przyznał Rosacher. – Może... Trudno to wytłumaczyć.

Nieznajomy chrząknął.

– Pewnie tak. – Czubkiem noża wskazał równinę. – Na twoim miejscu nie kręciłbym się tu zbyt długo, bo prędzej czy później coś cię przegryzie na pół.

– Zaczekaj! – zawołał Rosacher, widząc, że nieznajomy zamierza odejść. – Muszę porozmawiać z Bruno Cerrutim.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił.

– Po co?

– Czy to ty?

– Nie ma sensu zaprzeczać. Czego chcesz?

– Czy odwiedził cię ostatnio człowiek nazwiskiem Aldo?

– Był tu parę tygodni temu taki jeden, przyszedł z żołnierzami. Nie pamiętam, jak się nazywał, ale ci jego żołnierze napędzili Frederickowi diabelnego stracha. Ledwie go powstrzymałem.

Rosacher nie zrozumiał tej ostatniej wzmianki, ale postanowił nie dopytywać się o Fredericka. Z zadziorności Cerrutiego i jego oszczędności w słowach wnosił, że ma niewiele czasu na zadanie pytań i przedstawienie swojej sprawy.

– Czego chciał od ciebie Aldo?

– To sprawa między nim i mną.

Pot spływał Rosacherowi po plecach, perlił się na czole.

– Już nie. Aldo nie żyje.

– Aha. Szkoda. Porządny był z niego gość. – Cerruti wypluł brązową grudkę czegoś, co Rosacher wziął za tytoń. – Frederickowi od razu przypadł do gustu. Mówił, że ma kogoś do zabicia. Ale na widok żołnierzy Frederick tak się podekscytował, że poradziłem Aldo, żeby sobie poszli. Zapowiedział, że jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Rosacher wytarł ściekający mu do oczu pot.

– Moglibyśmy gdzieś się schronić przed tym upałem i pogadać?

Cerruti się zawahał.

– Moglibyśmy się przejść do chaty, ale lepiej będzie, jak zostawisz zwierzaka tutaj. Frederick uwielbia koninę.

Dom Cerrutiego stał na równinie kilkaset jardów dalej i z daleka był praktycznie niewidoczny: ściany (utkane z żółtej trawy i wzmocnione – jak utrzymywał Cerruti – pastą sporządzoną na bazie zwierzęcego sadła) i dach z palmowych liści ginęły na tle krajobrazu. Obrzydliwie cuchnące wnętrze składało się z dwóch

dużych, pozbawionych okien izb oddzielonych płócienną przegrodą. Za domem stała jeszcze jedna budowla, niemal dwa razy od niego wyższa, za to pozbawiona jednej ściany – magazyn, jak przypuszczał Rosacher, chociaż w wypełniającej budynek czerni nie widział dosłownie nic. W chacie było niewiele chłodniej niż na zewnątrz, ale przynajmniej nie prażyło słońce. Powietrze wypełniał słodkawy odór dawno niemytego ciała. Środek pomieszczenia zajmowały toporne krzesła i stół z nieheblowanych desek. Światło wpadające przez pozalepiane pastą szpary między żdźbłami trawy tworzyło na klepisku wzór z nieregularnych rombów.

– Powiedziano mi, że mieszkasz niedaleko zadu. – Rosacher przysunął sobie krzesło i otarł pot z czoła.

– Przeprowadziłem się – odparł Cerruti.

Postawił na stole dzbanek i półmisek z podejrzanym wyglądającym kawałkiem tłustego mięsa i połówką bochenka chleba i również usiadł. Podsunął półmisek Rosacherowi i skinął głową, zachęcając gościa, by się częstował.

– Jadłem już. – Rosacher przysunął się do stołu. – Opowiedz mi jeszcze o spotkaniu z Aldo.

– Było krótkie. – Cerruti odłamał kawał chleba. – Powiedział, że jest ktoś do zabicia. Jakaś wielka szycha. Chciał się dowiedzieć, czy wzięlibyśmy z Frederickiem taką robótkę. Powiedziałem, że nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy ją wziąć, więc albo powie nam coś więcej, albo niech od razu wraca tam, skąd przyszedł. Wtedy żołnierze rozdrażnili Fredericka.

– Gdzie on jest?

– Śpi. Nie cierpi słońca. Prawie nigdy nie wychodzi przed wieczorem.

Cerruti odgryzł kawałek mięsa i zaczął żuć.

– Powiedział, o kogo chodzi? – zapytał Rosacher.

– Nie tak konkretnie. Tylko że to jakiś ważniak.

Gospodarz jadł, a Rosacher znów wrócił myślami do dziennika generała i stronicy, na której wypisano nazwisko Cerrutiego razem z „polowaniem” i „Carlosem”. Nadal nic z tego nie rozumiał. W żaden sposób nie potrafił połączyć tych trzech

adnotacji.

Cerruti otarł usta wierzchem dłoni.

– Coś mi się przypomniało. Powiedział, że na miejsce zabójstwa musielibyśmy jechać cały tydzień i jeszcze jeden dzień.

Kolejny bezużyteczny fakt – taka była przynajmniej pierwsza, odruchowa reakcja Rosachera na tę informację. Kiedy jednak zaczął w wyobraźni odmierzać odległość możliwą do przebycia w różnych kierunkach przez „cały tydzień i jeszcze jeden dzień” (zakładając, że jechałby konno), zdał sobie sprawę, że podążwszy w kierunku północnym lub wschodnim, znalazłby się na terytorium Temalaguy, na skraju lasu deszczowego, gdzie Carlos VII, obecny władca tego kraju, z upodobaniem oddawał się swojej wielkiej pasji: polowaniu.

– Czy człowiek, którego Aldo chciał się pozbyć, miał na imię Carlos? – zapytał.

– Nie powiedział – odparł Cerruti z pełnymi ustami; kawałki mięsa spadły na blat stołu.

Czyżby Aldo planował zamach na króla Temalaguy? Czy taki właśnie miał pomysł na opóźnienie ataku połączonych sił Mospielu i Temalaguy? Rosacher nadal nie widział w tym żadnego sensu. Naturalna śmierć władcy mogłaby istotnie zakłócić codzienne funkcjonowanie rządu, który musiałby się zająć przygotowaniem tradycyjnego ceremonialnego pogrzebu królewskiego. Do tego doszedłby jeszcze okres żałoby narodowej. Ale motywowane politycznie skrytobójstwo króla miałoby przecież skutek wprost przeciwny, nowy monarcha byłby żądny zemsty i tym bardziej rwałby się do wojny. Dlatego ewentualny zamach musiałby zostać przeprowadzony dyskretnie – tyle że Carlosowi stale towarzyszyła liczna, uzbrojona po zęby straż. Rosacher nie miał zielonego pojęcia, jak to miałoby wyglądać.

Wypytywał Cerrutiego jeszcze przez jakiś czas, ale nie wyciągnął już od niego nic ciekawego. Dla podtrzymania rozmowy zaczął więc zadawać inne pytania, niezwiązane z wizytą generała; grał na zwłokę, gorączkowo usiłując rozwikłać zagadkę.

- Co się stało z twoją menażerią? - zapytał w którymś momencie. - Słyszałem, że masz licznych pupili.

- Frederick nie przypadł im do gustu. Większość uciekła.

Po tych słowach Rosacher uznał, że przed powrotem do domu powinien przynajmniej poczekać, aż Frederick się obudzi, i z nim porozmawiać; może będzie miał coś ciekawego do dodania. Zapytał więc Cerrutiego, jak długo Frederick może jeszcze spać.

- Wstanie o zmierzchu, świeży i wypoczęty. Lubi polować, kiedy robi się chłodniej.

Rosacher spojrział na płócienną zasłonę, za którą, jak domniemywał, spał Frederick. Kusiło go, żeby narobić hałasu, który obudziłby Fredericka przed czasem. Uznał jednak, że byłoby to nieuprzejme, i zapytał, czy może poczekać na jego przebudzenie.

- Ryzykujesz życie swojego konia - ostrzegł go Cerruti. Przeżuł i przełknął. - Jeśli zostanie do zmroku tam, gdzie go uwiązałeś, znajdziesz później tylko łeb i kości. Ale jeśli to ci nie przeszkadza, to ja nie mam nic przeciwko temu.

W obliczu lakoniczności odpowiedzi gospodarza Rosacher nie czuł się zobowiązany do kontynuowania rozmowy i kiedy Cerruti zajął się domowymi obowiązkami, on zaczął obmyślać plan ataku na Mospiel przy założeniu, że udałoby się powstrzymać Temalagę od zaangażowania się w konflikt. W końcu zmożony upałem przysnął i przedrzemał całe długie popołudnie. Obudził się dopiero pod wieczór, około piątej, sądząc po intensywnie złotym odcieniu słonecznego światła. Przecierał jeszcze oczy, rozmyślając sennie o tym, jak spędzi czas do zmierzchu, gdy gdzieś w pobliżu rozległ się zwierzęcy pomruk, od którego włoski na karku stanęły mu dęba. Zerwał się na równe nogi, sięgnął po sztucer.

- Co to było, na Boga?!

Siedzący naprzeciw niego Cerruti ostrzył nóż na osełce. W półmroku, z opadającymi na twarz włosami przez moment nie wyglądał jak prosty kmiotek, lecz szalony romantyczny bohater.

- Nie histeryzuj - mruknął. - Frederickowi coś się śni.

– Myślałem, że Frederick jest człowiekiem – przyznał Rosacher.

– Bo jest. Tak przynajmniej twierdzi. Sam zobaczysz.

Rosacher niepewnie usiadł, ale nie odważył się już ponownie zasnąć. Siedział jak na szpilkach, wyczulony na każdy szelest. O zmierzchu na zewnątrz znów dało się słyszeć basowe warczenie, tym razem głośniejsze i bardziej przeciągłe, oraz szelest czegoś dużego poruszającego się wśród traw. Tak jak poprzednio Rosacher poderwał się z krzesła i złapał za sztucer.

– Spokojnie, człowieku. – Cerruti złapał go za rękę. – Frederick nie przepada za bronią palną. Lepiej zostaw karabin tutaj.

Strwożony Rosacher wyszedł za nim na dwór, ale nigdzie nie zobaczył Fredericka. Po zatęchłej atmosferze panującej w chacie powietrze na zewnątrz wydało mu się chłodne i orzeźwiające. Słońce skryło się już za przypominającym górski łańcuch ciałem Griaule'a i pomijając czerwonawą łunę na dalekim zachodzie, cała równina pławiła się w liliowej poświacie, przywołując na myśl fotografie południowoafrykańskiej sawanny o zmierzchu, które w dzieciństwie Rosacher uważał za niezwykle egzotyczne. W tej chwili odnosił wrażenie, że widok, który się przed nim rozciąga, zdawał się zwiastować jakieś nadprzyrodzone zagrożenie.

Powiódł wzrokiem po równinie, wypatrując jakiegoś ruchu albo innych dowodów obecności Fredericka, i dostrzegł w oddali potężną ciemną sylwetkę płynącą wśród wysokich traw. Poruszała się bardzo szybko, znacznie szybciej, niż można by się spodziewać po stworzeniu tych rozmiarów. Pędziła na pozór bez celu, biegła w tę i z powrotem, zataczała pętle i kręgi, kreśliła najróżniejsze wzory w kładącej się za nią trawie. Jej ruchy miały w sobie coś z zabawy; przypominała młodego psiaka, który zbyt długo przebywał w zamknięciu i wreszcie wyrwał się na swobodę.

– Masz szczęście – powiedział Cerruti. – Frederick jest w dobrym humorze. Bo czasem naprawdę nie toleruje obcych.

– To jest Frederick? – Rosacher wskazał ciemny kształt, modląc się w duchu o odpowiedź przeczącą.

– We własnej osobie. – Z piersi Cerrutiego wyrwał się gardłowy dźwięk, który mógłby od biedy ująć za wybuch śmiechu. – Poniekąd.

Rosacher nie rozumiał przyczyn jego rozbawienia, ale do tego stopnia dał się zahipnotyzować figlom Fredericka, że nie dopytywał się o szczegóły.

– Przywołam go – zaproponował Cerruti.

Nie zawołał ani nie zagwizdał, a mimo to Frederick nagle skręcił i zwałwo ruszył prosto na nich. W trzy, cztery sekundy urósł z ciemnej sylwetki do czarnego, nieregularnego kopca wielkości dorosłego słonia, który znieruchomiał wśród trawy w odległości zaledwie dwudziestu stóp. Rosacher zatoczył się do tyłu, przerażony rozmiarami bestii, jej dyszeniem donośnym jak sapanie parowozu i widokiem powlekającej ją wzburzonej powłoki. Materia tworząca ciało stwora była w nieustannym ruchu, czerń połyskliwa jak wypolerowany onyks opływała tajemniczą strukturę wewnętrzną – może w środku znajdowało się po prostu więcej tej samej czerni, może krył się tam jakiś szkielet, a może coś jeszcze innego i zupełnie niepojętego. Rosacherowi widok ten przywodził na myśl niezwykle obiekty, jakie morze wyrzucało czasem na brzeg: grudy protoplazmy, pozostałości nieznanych, może wręcz niepoznawalnych form życia, bezkształtne kawałki oderwane lub odgryzione od innej, większej bezkształtności... A mimo to gdy oddech Fredericka się uspokoił – przypominał teraz kowalskie miechy – bestia jakby otarła się o zwierzęcą postać, przez jedną ulotną chwilę upodobniła się kształtem i muskulaturą do leniwca olbrzymiego albo może niedźwiedzia o wydłużonym łbie i pysku, zaczęła też wydzielać zwierzęcą woń, która na przemian to wzmagająca się, to słabła, w miarę jak potwór wykształcał lub porzucał konkretną formę. Rosacher trząsł się na całym ciele przejęty bliskością śmierci. Za to Cerruti pozostał jak zawsze niewzruszony.

– Frederick pytał, czy to twój koń stoi uwiązany tam, przy ogniu – odezwał się. – Powiedziałem mu, żeby go nie zjadł.

Rosacher, który nie widział ani nie słyszał, żeby Cerruti porozumiewał się z Frederickiem, zapytał drżącym głosem, skąd

o tym wie.

– Słyszę jego głos tutaj – Cerruti popukał się w skroń – od samego początku, od naszego pierwszego spotkania. Może nawet dłużej. Kiedy dziś o tym myślę, wydaje mi się, że to on kazał mi się zapuścić pod skrzydło Griaule’a. Jestem przekonany, że zamierzał mnie zjeść na kolację, ale kiedy się okazało, że ja słyszę jego, a on mnie... No, można chyba powiedzieć, że w taki właśnie sposób zostaliśmy przyjaciółmi.

Frederick sapnął ciężko i zapadł się głębiej w trawę, tracąc wszelkie podobieństwo do zwierzęcia i nieruchomiejąc jak zwał ziemi.

– To ma być to coś, co mieszkało pod skrzydłem? – spytał Rosacher. – Stwór, którego wszyscy boją się od lat?

Frederick warknął gniewnie.

– Nie podoba mu się, kiedy mówisz o nim „coś” – wyjaśnił Cerruti.

– On rozumie, co mówię?!

– No pewnie. – Cerruti pokiwał głową. – A wracając do twojego pytania: Frederick twierdzi, że dawno temu, kiedy ludzie dopiero zaczęli osiedlać się w dolinie, był zwykłym człowiekiem. Pracował na roli, miał żonę i dzieci, ale jego prawdziwą namiętnością były młode dziewczyny, takie, co dopiero rozkwitły, trzynasto-, czternastolatki. Od czasu do czasu porywał taką, zabierał ją pod skrzydło smoka i tam robił z nią, co chciał. Załatwił ich z tuzin albo więcej. Aż pewnego dnia jedna z dziewczyn wymknęła mu się i uciekła, zanim zdążył ją zaciągnąć pod skrzydło. Opowiedziała rodzinie, co się stało, wieść się rozeszła i wkrótce dzika tłuszcza ruszyła na poszukiwanie Fredericka. Ukrył się pod skrzydłem, głęboko, tam, gdzie rośnie taki świecący mech, i już tam zamieszkał. Niekiedy wymykał się nocą w poszukiwaniu jedzenia, ale z czasem coraz bardziej tracił apetyt i coraz rzadziej wychodził z kryjówki. A potem zasnął, tylko że to nie był taki zwykły sen. Frederick mówi, że czuł we śnie, jak jego ciało się zmienia, kości się rozszczepiają, organy wewnętrzne rozpływają; odczuł każdą odrobinę bólu, jaki towarzyszył jego przemianie w to, czym jest dzisiaj. Trudno

powiedzieć, jak długo to trwało. Na pewno bardzo długo. Po przebudzeniu ból ustąpił, ale samo jego wspomnienie tak drażniło Fredericka, że rzucał się na ludzi. Zabił ich dziesiątki; to wtedy narodziła się legenda. Ludzie zapomnieli o Fredericku, zaczęli natomiast wierzyć w istnienie niebezpiecznego stwora mieszkającego pod skrzydłem smoka. Oczywiście Frederick przestał już wtedy gustować w ludziach i zabijał wyłącznie zwierzęta.

Skrywając wstręt do tego mordercy młodych kobiet, niegdysiejszego potwora w ludzkiej skórze, który z biegiem czasu stał się najprawdziwszym potworem, Rosacher próbował skupić myśli na bieżących sprawach. Jeżeli Aldo naprawdę przemyślał nad zabójstwem Carlosa, to Frederick mógł być do tego idealnym narzędziem.

– Fredericku? – odezwał się. – Możesz zjeść mojego konia.

Czarny kopiec zadrzał i spęczniał do połowy swoich maksymalnych rozmiarów.

– Jesteś pewien? – zapytał Cerruti. – Jak wrócisz do domu?

– Poczekam do rana i pójde pieszko. – Rosacher machnął ręką mniej więcej w kierunku miejsca, gdzie zostawił konia. – Śmiało, Fredericku.

Czerń napuchła jeszcze bardziej, przybierając prawie konkretny kształt – leniwca olbrzymiego, niedźwiedzia, czegoś w tym rodzaju – i płynnym ruchem oddaliła się w stronę smoczego ogona. Chwilę później rozległo się rżenie przerażonego konia, które przeszło w kwik bólu, a ten ścichł zaraz jak ucięty nożem.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Cerruti obrzucił Rosachera beznamiętnym spojrzeniem.

– Chcę sprawdzić, czy obrażenia zadawane przez Fredericka przypominają rany po ataku dzikiego zwierzęcia.

– W takim razie niepotrzebnie zmarnowałeś porządnego zwierzaka. Mogłeś po prostu mnie zapytać, powiedziałbym ci, że twój koń będzie wyglądał jak rozszarpany przez lwy. – Cerruti splunął na ziemię. – Po co ci ta wiedza?

– Chciałem się dowiedzieć, czy Frederick mógłby zabić króla Temalaguy w taki sposób, żeby wyglądało to na robotę

zwierzęcia.

– A co ci to da? Bez mojej zgody Frederick nikogo nie zabije, a już na pewno żadnego króla.

Okruchy gwiazd oprószyły indygowy firmament ponad grzbietem Griaule'a, a wiejący z północy chłodny wiatr osuszał z potu twarz Rosachera, który nagle odczuł absolutną pewność, że Aldo zamierzał zaaranżować zabójstwo Carlosa i że uda mu się odkryć następną fazę planu generała – albo przynajmniej uknuć własny, nie mniej skuteczny. Nauczył się cenić takie chwile olśnienia, traktować je jako zesłane przez smoka, ale w tym wypadku, gdy na szali leżał los całego kraju, obawa przed własną głupotą i nedorzeczną wiarą w rzeczy nadprzyrodzone podkopywała jego pewność siebie. Nie miał jednak innego wyjścia, jak zdać się na instynkt.

– Chodźmy zobaczyć, jak Frederick sobie radzi – zaproponował.

– Mówiłem ci już, że to nie ma sensu – zaproponował Cerruti. – Zresztą Frederick lubi spokój i ciszę, kiedy je. A jeszcze chwilę mu to zajmie.

– W takim razie odczekajmy trochę i wtedy podejdziemy. Zakładam, że przetrwały napad Fredericka, a myślę, że powinny przetrwać, spakowałem je dość starannie... Mam w jukach kilka butelek dobrego czerwonego wina. Wypijemy kieliszek albo dwa, porozmawiamy spokojnie...

Cerruti rozpromienił się.

– W kwestii wina zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiedziałem.

Po powrocie do Domu Rosacher zainteresował się bliżej pozostawionymi przez generała Aldo mapami i notatkami i zaczął układać plany strategiczne mające stępić ostrze agresji Mospielu. Poczył nawet pewne postępy w tej materii, ale doszedł do wniosku, że potrzebuje pomocy, i następnego ranka spotkał się z Brekiem w tej samej sali konferencyjnej, w której przed laty zaproponował radzie miejskiej zawarcie sojuszu. W spotkaniu uczestniczył także Gerald Makdessi, młody pułkownik ze sztabu Aldo, uważany za naturalnego następcę zabitego generała. Był wysokim trzydziestoparoletnim szatynem, o krótko przyciętych przyprószonych siwizną włosach i szczupłej opalonej twarzy, która wyglądała jak narysowana przy linijce: prosty nos, cienkie wargi, szerokie usta, wąskie szaroniebieskie oczy. Wyraz tej twarzy – malowały się na niej spokój, uważność, rezerwa – zmieniał się rzadko i nieznacznie. Mężczyźni zasiedli przy długim mahoniowym stole, ich głosy niosły się lekkim echem w przestronnej sali. Przez wychodzące na wschód okna wpadały promienie słońca, podkreślone wirującymi w powietrzu drobkami kurzu. Oszczędne ruchy Makdessiego ograniczały się do kiwnięcia głową lub skinienia palcem. Odczekał, aż Rosacher skończy swoją prezentację, po czym poprosił o głos.

– Jak pan słusznie zauważył, morale mospielskiej armii nie jest przesadnie wysokie – powiedział. – Podobnie jak panująca w niej dyscyplina. Pewne wpływowe osoby w dowództwie nie zgadzają się ponoć z kardynałami w kwestii sensowności wojny z Teocinte. Nikt tam nie rwie się do walki, jest to jednak przeciwnik, którego w żadnym wypadku nie należy lekceważyć, chociażby przez wzgląd na jego liczebność. Proponuję zasypać przygraniczne miasta garnizonowe wilem. I radziłbym to zrobić jak najszybciej.

– Mospiel jednoznacznie dał do zrozumienia, że wszelkie próby

wprowadzenia wилu na ich terytorium uzna za wypowiedzenie wojny – przypomniał Breque.

– A mimo to mospielski czarny rynek wилu kwitnie – zauważył Makdessi. – Prawdę powiedziawszy, nie spodziewam się, żeby zauważyli gwałtowny napływ narkotyku wcześniej niż po kilku tygodniach. A gdyby nawet stało się inaczej, i tak nie przygotowują się do wojny szybciej, niż czynią to obecnie. Tymczasem zalew narkotyku, który obrzydza ideę samopoświęcenia, tłumi agresję i osłabia rygor przygotowań wojennych, z całą pewnością byłby dla nas korzystny. – Odwrócił się do Rosachera. – Co się zaś tyczy samego miasta Mospiel, pański plan brzmi całkiem rozsądnie. Mam jednak pewne propozycje, które mogłyby zwiększyć jego skuteczność.

– Słucham – odparł Rosacher. – Proszę mówić.

– Moim zdaniem powinniśmy działać śmiało i szybko. Nie możemy odwlekać ataku na Mospiel do czasu, aż okaże się, czy pańska próba zabójstwa Carlosa zakończyła się powodzeniem. – Makdessi odgarnął papiery zasłaniające mapę i wskazał na niej obszary przygraniczne. – Mospiel od niepamiętnych czasów uważa, że bagna Gran Chaco stanowią naturalną zaporę przeciw atakom z północy. I rzeczywiście, mokradła uniemożliwiają poprowadzenie tamtędy natarcia regularnej armii. Natomiast małe, niezależnie działające oddziały wyszkolone w pokonywaniu podmokłego terenu i walce wręcz, taka partyzantka, powiedzmy... no, to zupełnie co innego. Trzy lata temu za zgodą rady utworzyliśmy z generałem Aldo taką właśnie partyzancką armię, stacjonującą w miejscinach na obrzeżach tych bagien. W jedenastu odrębnych społecznościach mamy ponad ośmuset mężczyzn i kobiet, którzy często na całe tygodnie znikają z domu: polują, handlują, zajmują się swoimi sprawami. Ich nieobecność nie zwróci niczyjej uwagi, więc mospielscy szpiedzy nie doniosą o nich kardynałom. Powinniśmy wysłać tych ludzi do Mospielu najszybciej, jak się da.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? – Rosacher z wolna tracił panowanie nad sobą.

– Informowanie cię o tym nie wydawało mi się sprawą pilną –

odparł Breque. – Miałeś inne problemy... Ja zresztą również.

– Nie byłem aż tak zajęty, żebym nie chciał wiedzieć o planowanym wtargnięciu na terytorium Mospielu.

– Nadzorowałem wiele spraw równocześnie i nie uważałem za stosowne informować cię o wszystkich. Może w przyszłości powinienem donosić ci o każdym transporcie papieru toaletowego, każdej...

– Akt agresji przeciw Mospielowi to chyba coś poważniejszego, nie sądzisz?

– Panowie! – wtrącił się Makdessi. – To nie czas i nie miejsce na bezproduktywną kłótnię. Sytuacja jest poważna, a ja mam pewne obowiązki do wykonania.

Rosacher spiorunował wzrokiem Breque'a i skinął przepraszająco ręką.

– Trudne czasy nastały – powiedział Breque. – Proszę przyjąć moje przeprosiny, panie pułkowniku.

– Jednocześnie z natarciem od strony Gran Chaco – podjął wątek Makdessi – wycofamy wojsko znad granicy z Temalagą i przerzucimy je na południe, na granicę z Mospielem, w rejon, z którego mają pełne prawo spodziewać się inwazji. Tymczasem nasza elitarna kawaleria przypuści atak jeszcze dalej na północy, z garnizonu w Ciudad Flores. Jej celem będzie zabicie generała Teixery i jak największej liczby jego oficerów. – Wyprostował się nad mapą. – Sztab Teixery to wojskowa elita. Gdyby udało nam się go przetrzebić, zyskalibyśmy ogromną przewagę.

– Nie bardzo rozumiem sens działania partyzantów w Gran Chaco – przyznał Rosacher. – Po co właściwie chcemy ich tam rozłokować?

– Spróbują zająć siedzibę władz Mospielu – wyjaśnił Breque. – Świątynię Łagodnej Bestii. Od początku taki właśnie był cel ich powołania: mają wkroczyć do świątyni i wziąć zakładników spośród hierarchów.

– I waszym zdaniem wystarczy do tego ośmiuset ludzi? – Rosacher z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Osobiście będę koordynował to natarcie – powiedział Makdessi. – Gwardia Świątynna jest znakomicie wyszkolona, ale

nasi żołnierze w niczym jej nie ustępują. Poza tym wejdą na teren kompleksu w przebraniu pielgrzymów. Zaskoczmy wroga. A gdy świątynia znajdzie się w naszych rękach, odbicie jej będzie wymagało regularnego oblężenia, to zaś równa się wydaniu wyrokowi śmierci na Jego Świątobliwość i wszystkich kardynałów.

– Jak na mój gust, ten plan zawiera zbyt wiele niewiadomych elementów – przyznał Rosacher.

– Jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji. Potrzebujemy radykalnych rozwiązań – odparł Makdessi. – Z pewnością poniesiemy ciężkie straty, co do tego nikt nie ma wątpliwości. Zaletą tego planu jest fakt, że nie wymaga on ścisłej koordynacji tych, jak to pan ujął, niewiadomych elementów. Wystarczy, że poszczególne fazy będą następowały w kilkudniowych odstępach, żeby całość miała całkiem przyzwoite szanse powodzenia.

– Teocinte zostanie bez obrony – zauważył Breque. – Jeżeli nieprzyjaciel przeprowadzi kontrofensywę, nie będzie kto miał jej odeprzeć.

– Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, zmusza nas do podjęcia pewnego ryzyka. Żaden sposób nie gwarantuje nam osiągnięcia naszych celów, ale wahanie na tym etapie prowadzioby prostą drogą do klęski.

– Kiedy powiedziało się A, trzeba powiedzieć B?

– Otóż to.

– Byłoby chyba najlepiej, pułkowniku, gdyby dał nam pan teraz godzinę, może dwie na omówienie sprawy – zasugerował Breque po chwili milczenia. – Zapewniam, że z należytą starannością rozważymy wszystkie pańskie zalecenia.

Począł, aż drzwi zamkną się za pułkownikiem Makdessim, po czym zwrócił się do Rosachera:

– I co ty na to?

– Na twoim miejscu miałbym go na oku. Ma większe ambicje niż generalskie szlify.

– W tej chwili moim głównym zmartwieniem jest to, czy nadaje się na generała. Jego ambicjami będę się przejmował kiedy

indziej.

– Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, jego plan brzmi rozsądnie.

– Naprawdę tak uważasz? – Breque potarł kciukiem policzek. – Ja nie jestem taki pewien.

Spokój rajcy i niedbałość, z jaką przeszedł do porządku nad swoją wcześniejszą nieszczerością, na nowo roznieciły gniew Rosachera.

– Czy jest coś jeszcze, o czym mi nie powiedziałeś? Coś, o czym powinienem wiedzieć, zanim podejmiemy decyzję?

– Do licha, Richardzie! – Breque trzasnął otwartą dłonią w stół. – Przepraszam! To było przeoczenie, za które teraz cię...

– Wątpię, by to było przeoczenie. Ukryłeś przede mną fakt istnienia oddziałów, których głównym celem ma być zaatakowanie Mospielu. Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś zaaranżował całą tę sytuację, wystawił na niebezpieczeństwo tysiące ludzi, a wszystko to dla zaspokojenia swoich marzeń o chwale.

– Jak ty w ogóle śmiesz mówić o aranżowaniu sytuacji?! – wybuchnął Breque. Byłby powiedział coś jeszcze, ale Rosacher nie dał mu dojść do słowa.

– Już to widzę: wszędzie pomniki! Na każdym kroku portrety i popiersia! Breque Zdobywca! Breque Wyzwoliciel! Breque Wszechpotężny!

– Zanim zaczniemy...

– Kto wie, może nawet Święty Breque? Dzieci w szkołach będą śpiewać pieśni o twojej szczodrości i trosce o podwładnych.

Czerwony na twarzy Breque powściągnął emocje i odparł pełnym napięcia głosem:

– Zanim zaczniemy obrzucać się nawzajem wyzwiskami, pozwól, że ci przypomnę o decyzji, która nas czeka. Powinniśmy odsunąć na bok osobiste animozje i działać w zgodzie z tym, co uznamy za słuszne.

Rosacher ugryzł się w język i rzucił rajcy spojrzenie spode łba.

– Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o tym twoim potworze – powiedział oziębło Breque. – Naprawdę uważasz, że

to ta sama istota, która od stuleci mieszka pod skrzydłem smoka?

– To, co ja uważam, nie ma żadnego związku z jej morderczym potencjałem. Nie mam jednak powodu, by wątpić w prawdziwość tej historii. Ty też byś nie miał, gdybyś ją zobaczył.

– Mówiłeś, że jest... galaretowata?

– Mówiłem, że wygląda jak galareta, ale równie dobrze mógłbym powiedzieć, że wygląda jak wykuta z obsydianu. To, co uchodzi za jej ciało, ma zmienny kształt i gęstość. W jednej chwili omal nie przyjęło konkretnego kształtu, ale... – Rosacher z roztargnieniem przekładał leżące na blacie papiery. – To jeden z wytworów Griaule'a; nie mamy się co łudzić, że ogarniemy go rozumem. Najważniejsze, że dosłownie rozdarł mojego konia na dwie części i że jest niewiarygodnie szybki. W gąszczu dżungli Carlos i jego ludzie nie będą mogli stawić mu czoła.

– To intrygujące – przyznał Breque – że Griaule obrał tak ułomnego człowieka na swojego sługę. O ile historia opowiedziana przez Cerrutiego jest prawdziwa, naturalnie.

– Wszyscy jesteśmy ułomni.

– Ale nie wszyscy aż tak.

– Mnie z kolei wydaje się znamienne, że Griaule tak świetnie dobiera ludzi do swoich celów: oto zboczeniec i morderca stał się jego psem łańcuchowym, bo domyślałam się, że taki właśnie był status Fredericka, zanim Cerruti przygarnął go jako swojego pupila. Tak samo jestem przekonany, że Griaule dostrzegł w tobie jakieś cechy, które, odpowiednio rozwijane, uczynią z ciebie doskonałego biurokrate.

– Cóż za paskudny komplement! – Breque zarechotał w odpowiedzi. – Nie trzeba chyba dodawać, że coś podobnego musiał dostrzec także w tobie.

Rosacher wzruszył ramionami.

– Ile zaproponowałeś Cerrutiemu? – zapytał Breque.

– Pięć tysięcy i darmowe zamieszkanie w Domu, gdy tylko zechce.

– Tylko tyle?

– Plus sto koni dla Fredericka.

– Spodziewałbym się, że zażąda więcej.

– Ostrzegłem go, że jeżeli Mospiel wygra, zajmie całą równinę i uprzykrzy życie jemu i Frederickowi. Od razu patriotyzm mu się włączył. – Rosacher położył dłonie płasko na stole, jakby zamierzał wstać. – Jeżeli to wszystko, to wracam do pracy. Mam sporo do zrobienia, zanim wyruszę w drogę.

– Nawet nie zaczęliśmy rozmawiać o planie Makdessiego – zauważył Breque.

– A o czym tu rozmawiać? Wszystkie elementy składowe zazębiają się w sposób dający nadzieję na powodzenie. Owszem, wąta to nadzieja, ale na nic więcej nie powinniśmy liczyć.

– Miasto zostanie bez obrony!

Rosacher wstał.

– Jedyne różnica między planem Makdessiego i planem, w którym w Teocinte zostaliby jacyś obrońcy, jest taka, że w tym drugim przypadku pod Zmienną Grzędą spiętrzy się wyższy wał trupów, a impet naszego ataku na Mospiel znacząco się zmniejszy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Czyli zgadzasz się z resztą jego pomysłów?

– Może udałoby nam się wymyślić coś lepszego, ale ile czasu byśmy na to potrzebowali? Ilu opinii musielibyśmy zasięgnąć? Ile konsultacji przeprowadzić, żeby utwierdzić się w naszych przekonaniach? Nie możemy sobie pozwolić na nieufność wobec tego, co nam podpowiada instynkt. Twierdzisz, że Makdessi to najlepszy z dostępnych dowódców. Świetnie. Niech dowodzi.

– Masz rację, rzecz jasna – przyznał Breque z ciężkim westchnieniem. – Wyjeżdżasz z samego rana?

– Może nawet jeszcze w nocy, jeśli się uda. Posłałem przodem konnych, żeby rozgłaszali plotki o straszliwej bestii, która terroryzuje lasy nieopodal pałacu królewskiego. Mam nadzieję, że zanim dotrzemy na miejsce, ciekawość Carlosa zostanie na tyle rozbudzona, że gdy Frederick naprawdę zacznie atakować, król będzie gotowy wyruszyć na polowanie.

– Świetnie. – Breque bez entuzjazmu pokiwał głową.

Rosacher nie miał ochoty poprawiać mu humoru.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Gdyby produkcja wилu została wstrzymana, zapasy wystarczą nam na dwa tygodnie. Do tego

czasu powinienem już wrócić, ale gdybym jednak...

- O produkcję możesz być spokojny. Twoja nieobecność nam nie zaszkodzi.

- Jak to? Czyżbyś mnie jednak szpiegował? Udało ci się przeniknąć sekret rafinacji?

- Nie ma żadnej rafinacji. Od lat o tym wiem.

Rosacher usiadł z powrotem.

- Ludie mi powiedziała - ciągnął Breque. - Przed śmiercią zdradziła mi wszystkie wasze tajemnice. Nie była twoją przyjaciółką, na pewno nie wtedy, pod sam koniec.

Słowa te chyba nie sprawiały mu przyjemności: na jego pochmurnej twarzy nie odmalował się nawet cień radości ani satysfakcji.

- Skoro tak, to dlaczego mi o tym mówisz? - zdziwił się Rosacher. - I dlaczego jeszcze żyję?

- Dlaczego ci mówię? - Breque pokręcił z niedowierzaniem głową. - Był taki czas, że nie mogłem się doczekać chwili, gdy ci to powiem i dowiesz się, kto naprawdę rządzi w naszym duumwiracie. Chciałem ci powiedzieć tego samego dnia, kiedy poinformowałem cię o śmierci Ludie, ale postanowiłem tego nie robić, bo wiedziałem, że łatwiej będzie tobą kierować, jeśli będzie ci się wydawało, że nad wszystkim panujesz. Ale to, jak się wtedy czułem, nie jest teraz ważne. Jak już mówiłem, z czasem nauczyłem się doceniać cię jako wartościowego współnika i przyjaciela.

- Skąd pomyśł, że jesteśmy przyjaciółmi? Okłamujesz mnie od dziesięcioleci.

- Rozumiem, że tak to wygląda z twojego punktu widzenia, ale nawet jeśli w przeszłości niezbyt cię szanowałem i na pewno za tobą nie przepadałem, moje kłamstwa miały być łagodną formą obłudy w celu utrwalenia łączącej nas przyjaźni. Co innego twoje kłamstwa: wszystkie bez wyjątku służyły twoim egoistycznym celom.

- Czy to szczere wyznanie miało mnie przekonać, żebym się przed tobą odsłonił? Bo jeśli tak, to muszę ci powiedzieć, że uzyskałeś efekt dokładnie przeciwny.

Breque wznosił dłonie ku niebu, jakby zanosił modły do jakiegoś bóstwa.

– Zawsze lubiłem się uważać za bezwzględniego polityka i zręcznego manipulatora. Teraz, kiedy obaj stajemy w obliczu śmierci, uważam, że szczerłość może nam obu nieść pociechę. Na starość złagodziłem swoje pryncypialne stanowisko, ale nawet za młodu nie dorastałem ci do pięt, jeśli chodzi o bezwzględność i talent do knucia. W praktykowaniu obu tych sztuk jesteś wprost niestrudzony. Może twoje niestarzenie się nie ogranicza się do zachowywania młodzieńczego wyglądu; może to dlatego nie nauczyłeś się rozumieć ludzkich słabości. – Wstał od stołu. – No, teraz obaj wiemy, na czym stoimy. Odzyskałeś przewagę nade mną. Nie mam już żadnego asa w rękawie.

– Wiem, że chcesz, żebym tak właśnie myślał. Nie byłbym jednak człowiekiem, za jakiego mnie uważasz, gdybym przyjął twoje słowa za dobrą monetę.

Breque rozłożył ręce.

– Myśl sobie, co chcesz! Dla mnie ta dyskusja jest zakończona.

– Porozmawiamy, kiedy wrócę – zapowiedział Rosacher. O dziwo, miał wyrzuty sumienia w związku z Brekiem.

– Z pewnością wrócisz; nie ulega wątpliwości, że Griaule cię chroni. Ale czy chroni także mnie? To się okaże.

Mimo że wyruszyli nocą, później podróżowali już za dnia; w nocy Frederick tropił ich po zapachu i doganiał. Kolejne dni mijały bez większych przygód. Nocami Rosacher słyszał, jak Frederick buszuje w gąszczu tuż poza zasięgiem światła ogniska. W te noce, kiedy bestii nie było słyhać, Cerruti przywoływał Fredericka, a on przyjmował wówczas postać plamy cienia albo bryły ciemności, widocznej w sam raz na tyle długo, żeby nerwy zaczęły Rosachera zawodzić.

Najtrudniejsze były dla niego godziny od zmierzchu, gdy rozbijali obóz, do momentu, gdy kładli się spać. Mówiąc wprost – Cerruti był nudziarzem. Raczył Rosachera opowieściami o odniesionych drobnych ranach, kłopotach z zębami, przebytych

chorobach, spotkaniach z trującymi roślinami i uciążliwymi insektami w rodzaju pcheł i wszy, a także o rozmaitych przypadłościach nieznanego pochodzenia. Sądząc z jego zachowania, dokuczający mu nieustannie umiarkowany ból był jedynym tematem, który miał ochotę poruszać w rozmowach. Wbrew typowej dla niego małomówności, związane z bólem doświadczenia relacjonował z pewną toporną swadą i elokwencją, ze szczegółami opisując wszelakie obrażenia i objawy. Delektował się każdym draśnięciem, zadrapaniem i ropiejącą raną, katarem i gorączką. Wszystko, co napotykali, przypominało mu o jakiejś chorobie lub upośledzeniu, a ilekroć Rosacher próbował skierować rozmowy przy ognisku na inne, miłsze swemu sercu tory, Cerruti zbywał go cierpko i kontynuował wyliczankę swoich zdrowotnych niedoli. Nawet Frederick nie wywoływał u niego żywszej reakcji, chociaż Rosacher spodziewał się, że akurat w tej kwestii jego przewodnik zechce wykazać się znajomością tematu. Zapytany o sposób porozumiewania się Fredericka, ulubiony z przybieranych przez niego kształtów albo dowolny inny aspekt jego zachowania, Cerruti odpowiadał krótko i niezbyt konkretnie – co prowadziło Rosachera do wniosku, że wie znacznie mniej, niż udaje, i próbuje w ten sposób maskować swoją niewiedzę. Rosacher zaczynał się też zastanawiać, czy Cerruti faktycznie panuje nad Frederickiem tak dobrze, jak twierdzi, i czy po tym, jak w kluczowym momencie spuści pupila ze smyczy, będzie w stanie ponownie nad nim zapanować.

Szóstego dnia przekroczyli granicę z Temalaguą i znaleźli się w gęstej dżungli, która ich spowolniła i przysporzyła nowego dramatyizmu cierpięciznym bajaniom Cerrutiego. Zanocowali nad zakrętem Rio Coco, pod drzewami awokado, na kawałku nagiej ziemi udeptanej przez przechodzące tędy tapiry i inne zwierzęta; wcześniej tego dnia padało i zwierzęce tropy odcisnęły się wyraźnie w wilgotnej glinie. W normalnych warunkach Rosacher wolałby poszukać innego miejsca na obóz, wylądowali bowiem dokładnie na drodze do wodopoju, który w naturalny sposób przyciąga drapieżniki, ale z karabinem w garści

i w obecności kręcącego się nieopodal Fredericka czuł się bezpiecznie. Kiedy zmierzch przeszedł w nocny mrok i leśne sklepienie zniknęło mu z oczu, spodziewał się usłyszeć brzęczenie owadów i powtarzające się żabie mlaski, tymczasem usypiały go tylko odgłosy towarzyszące polowaniu Fredericka (wysoki pisk, który nagle się urwał), trzask ogniska i jękliwy, monotony głos Cerrutiego, który na każde ukąszenie moskita reagował opowieścią o swoich przeszłych udrękach.

– Byłem kiedyś na wybrzeżu, daleko stąd, nieopodal Buttermilk Key – mówił, smarując ręce jasnożółtą maścią, odstraszącą, jak utrzymywał, wszelkie sześcionogie stworzenia. – Jechałem powozem. Nie widziałem innego miejsca, w którym byłaby taka masa robactwa. Kiedy wiatr od morza ustawał, wystarczyło wystawić rękę przez okno, żeby w sekundę albo dwie zrobiła się dosłownie czarna od moskitów.

Rosacher był zajęty smarowaniem odsłoniętej skóry wodą, w której wcześniej rozpuścił kilka cienkich czarnych cygaretek. To był jego sposób na odpędzanie moskitów.

– W takim razie ja bym nie wystawiał ręki – powiedział.

– A ja musiałem, tak było wściekle gorąco. Inaczej niż tutaj. Tutaj upał jest trudny do zniesienia, ale tam, na wybrzeżu, jest po prostu zabójczy. Za-bój-czy – powtórzył Cerruti, jakby wypowiedanie tego słowa sprawiało mu satysfakcję. – Mniejsza z tym. W rany po ukąszeniach wdało się zakażenie i łapsko mi spuchło jak lina okrętowa. Przez tydzień odciągali z niego ropę.

Rosacher zapalił cygaretkę, wydmuchnął obłok dymu i odparł całkowicie beznamiętnym tonem:

– Okropne.

– Żebyś wiedział! Wypompowali jej ze mnie cały galon!

– Skoro już jesteśmy przy płynach ustrojowych... Zauważyłeś może, żeby Frederick coś wydalął po jedzeniu?

– Nie, do cholery, nie zauważyłem – odparł Cerruti, wyraźnie rozdrażniony obojętnością Rosachera na jego cierpienie.

– Jesteśmy w drodze od tygodnia, a ja nie widziałem nawet jednego jego bobka. Nie uważasz, że to dziwne, zważywszy, że pożarł po drodze z pół tuzina dorodnych zwierząt? I mówię tylko

o tych, na których resztki później się natknęliśmy.

– Frederick jest dyskretny. Załatwia takie sprawy na osobności.

Mając w pamięci stan znajdowanych szczątków, Rosacher na pewno nie nazwałby Fredericka „dyskretnym”, ale postanowił o tym nie wspominać.

– Chętnie przebadalbym jego kał – powiedział. – Moglibyśmy się sporo dowiedzieć o tym, jak funkcjonuje jego układ pokarmowy.

Cerruti wtarł maść w szyję.

– Mam ciekawsze zajęcia niż szukanie Frederickowych gówien.

– A nie mógłbyś go o to zapytać w moim imieniu? Bardzo interesuje mnie jego fizjologia.

– Jeżeli chcesz go wkurzyć, to jest to doskonały sposób: zacząć go wypytywać o takie prywatne sprawy. Nie lubi o tym rozmawiać.

– A o czym lubi? Bo zakładam, że od czasu do czasu ze sobą rozmawiacie.

– Zwykle nie ma wiele do powiedzenia. – Cerruti przestał się smarować i w jego zachowaniu Rosacher nagle wychwycił nutę skrywanej ostrożności. – Najczęściej mówi mi, na co poluje. Chociaż nie jest przesadnie wygadany, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Chodzi ci o to, że nie wdajecie się w dysputy filozoficzne?

Cerruti spojrzął na Rosachera ponad ogniskiem, mrużąc oczy, jakby próbował coś z jego twarzy wyczytać.

– Opowiesz mu o swoich starych ranach i przebytych chorobach tak jak mnie? – indagował Rosacher.

– Pewnie! – Cerruti cały się rozpromienił. – Stale przerzucamy się takimi opowieściami.

– Fredericka chyba nie jest łatwo zranić, co?

Cerruti wyprostował się przy ogniu. Wyraźnie się rozochocił, odkąd rozmowa zesłała na jego ulubiony temat.

– Zwykle nie – zgodził się – ale zdarzają się chwile, w których jest tak samo podatny na zranienie jak ty czy ja.

Jakiś nocny ptak przefrunął im nad głowami, smętnie zawodząc. Wiatr zmienił kierunek i słodkawa woń rzeki mieszała się z

aromatem ciemnozielonych liści.

– Naprawdę? – Rosacher nie chciał wyjść na przesadnie ciekawskiego, ale wyczuł, że oto nadarza się okazja dowiedzenia się czegoś konkretnego na temat Fredericka.

– Zdarza mu się pokaleczyć, kiedy żeruje. Bywa tak wściekle głodny, że czasem zaczyna jeść, zanim dobrze zabije zdobycz. A wtedy nadgryziony niedobitek może go szurnąć pazurem albo zahaczyć zębami.

– Zostają mu po tym blizny?

– Nie, przecież widziałeś. Wszelkie rany goją się od razu, jak tylko przestanie jeść.

Rosacherowi cisnęło się na usta mnóstwo pytań, jednak ugryzł się w język. Nie chciał niepokoić Cerrutiego.

– Szkoda, że my tak nie potrafimy – powiedział tylko.

Cerruti zrobił zdziwioną minę, ale po chwili uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Gdybyśmy tak jak on mieli jedno ciało do jedzenia, a drugie do uzdrawiania, prawo by się nas nie imać – powiedział.

– Rzeczywiście – przytaknął Rosacher. – Nie imaćoby się.

Cerruti po raz kolejny wrócił do swojej opowieści o moskitach i galonie ropy. Rosacher nie próbował go zniechęcać: wyciągnął się na wznak, odpowiadał chrząknięciami i innymi potakującymi odgłosami i próbował poskładać nieliczne posiadane informacje na temat Fredericka w spójną całość. Szybko jednak zmorzył go sen.

Rankiem ruszyli z biegiem rzeki w gęstej białawej mgłę, w której każdy liść paproci i każda liana budziły zgrozę. Przez jakiś czas ich śladem szło stado wyjców; można było odnieść wrażenie, że krzyki małą dobywały się z gardzieli gigantycznych bestii, których głowy znajdowały się trzydzieści stóp nad ziemią. W końcu słońce przerzedziło mgłę i z oparów wynurzyły się jadowita zieleń i żółć listowia. Z roślinnej miazgi pod kopytami wierzchowców od razu wzbily się roje namolnych much. W zielonkawej mętnej wodzie pływały węże. W upale wilgotna woń rzeki i miliarda maciupieńkich zgonów łączyła się z potężnym roślinnym odorem dżungli w dławiący smród, który do tego

stopnia zalepiał nozdrza Rosachera, że zaczynał on wątpić, czy kiedykolwiek jeszcze dane mu będzie poczuć delikatny aromat kwiatu albo kobiecych perfum.

Przed wieczorem dotarli do Becanu, wioski na skraju królewskich terenów myśliwskich, rozciągniętej pod bananowcami i ogromnym drzewem mango, którego dojrzewające owoce zwisały z korony podobnej do skomplikowanej konstrukcji żyrandola. Becan stanowił posępną zbieraninę chatynek zbudowanych z młodych pędów drzew i krytych strzechą, ustawionych przy błotnistych drózkach z mnóstwem kałuż. Pośrodku wsi znajdował się długi dom, w którym podróżni mogli zatrzymać się na noc i przespać w hamakach, a tuż obok stała chata większa od innych, skryta w cieniu bananowca, gdzie przy pustej skrzyni siedział odziany w ubranie uszyte z worków po mące zasuszony siwowłósy staruszek, któremu zostało nie więcej niż tuzin zębów, i rozlewał do kubków nieklarowany rum. Popołudniowe słońce świeciło przez szpary w ścianach. W lokalu znajdowały się jeszcze cztery stoły i zaledwie sześć krzeseł, z których jedno leżało przewrócone na ziemi, a inne było zajęte przez młodą kobietę: mogłaby być nawet niebrzydka, gdyby tylko rozczesała skołtunione włosy, zmyła brud z twarzy i włożyła na siebie coś ładniejszego niż luźne płócienne spodnie i bluzka złożona w przeważającej mierze z dziur i plam. Przybrawszy pozę, która – jak domyślał się Rosacher – uchodziła w jej mniemaniu za uwodzicielską, uśmiechnęła się do dwóch nowo przybyłych, obwieszczając w ten sposób swoją profesję. Staruszek drżącą dłonią sięgnął po butelkę w połowie wypełnioną żółtawym płynem. Rosacher nakrył dłonią podany mu kubek, za to Cerruti opróżnił swój jednym haustem i sapnął z zadowoleniem.

– Jeszcze jeden? – spytał gospodarz.

Cerruti spojrział na Rosachera, a kiedy ten skinął głową, staruszek znów napełnił kubek.

– Macie coś innego do picia? – spytał Rosacher.

– Tak, ale to drogi trunek. Dwanaście kwezali za miarkę.

– Pokaż.

Cerruti wziął krzesło, przysiadł się do kobiety i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami.

Staruszek wydobyl z za skrzynki butelkę zawiniętą w czerwoną tkaninę i pokazał ją Rosacherowi: szkocka, przyzwoitej marki. Rosacher gestem kazał mu nalać, a sam oparł się o skrzynię i przez otwarte drzwi wyjrzał na zewnątrz. Przez dróżkę przebiegł rozgdakany kogut ścigany przez gołego berbecia. W głębi, za jedną z chat, myła się matrona w pasiastej sukience. Staruszek demonstracyjnie wyczyścił kubek brudną szmatą, nalał whisky i zapytał, czy przyjechali z Teocinte.

– Z Mospielu – odparł Rosacher. Wypił i podsunął kubek do dolewki. Podał barmanowi banknot o nominale pięćdziesięciu kwezali.

– Nie mam wydać – usłyszał w odpowiedzi.

– To przepiję całość – powiedział.

Staruszek się rozpromienił.

Cerruti wstał, wziął kobietę pod rękę i skinął Rosacherowi głową na pożegnanie, po czym we dwoje udali się do chaty po przeciwnej stronie długiego domu.

– Co was sprowadza do Temalaguy? – indagował staruszek.

– Handluję egzotycznymi ptakami. Wybieram się na targ w Alta Miron, żeby zrobić zakupy. – Rosacher pociągnął łyk whisky. – Chociaż, prawdę powiedziawszy, zaczynam wątpić, czy uda nam się dotrzeć tak daleko. Wczoraj w nocy nasz obóz zaatakowało jakieś dzikie zwierzę. Cudem przeżyliśmy.

– Jakie zwierzę?

– Nie wiem, nie przyjrzałem mu się za dobrze. Czarne. Bardzo duże. Zadeptało poszycie wszędzie wokół obozowiska. Zabiło jednego z naszych koni. My uciekliśmy do wody, schroniliśmy się w rzece.

Staruszek próbował zagwizdać z podziwu przez zęby, ale – z braku tychże – skończyło się na świszczącym sapnięciu.

– Słyszałem o nim – przyznał. – Podobno w Dulce Nombre zabił matkę z córeczką.

– To straszne! – powiedział Rosacher, chociaż domyślał się, że okropną opowieść należy złożyć na karb plotek rozsiewanych

przez jeźdźców, których posłał wcześniej do Temalaguy, oraz typowej dla tutejszych gawędziarzy skłonności do przesady.

– Rzeczywiście straszne. Ale są też dobre wieści: mówi się, że król Carlos przyjedzie zapolować na tę bestię. Niektórzy mężczyźni z naszej wsi już wyprawili się do stolicy, żeby zgłosić się na ochotnika do pomocy.

– Po co Carlosowi pomoc mieszkańców Becanu? Gwardia powinna mu wystarczyć.

– Ludzie z Becanu są świetnymi tropicielami – odparł z dumą staruszek. – Nieraz już pomagaliśmy królowi na polowaniach. Carlos jest naszym przyjacielem. To on sprezentował mi tę butelkę, żebym miał dla niego stosowny napitek, jeśli kiedyś tu zajrzy.

– Może w takim razie nie powinieneś mi jej sprzedawać?

– Carlos jest szczodry i łaskawy. Wystarczy go poinformować, że whisky mi się skończyła, a natychmiast przysyła nową butelkę.

– No to polej jeszcze.

Zapadła ciemność, w chatach pozapały się lampy, przez szpary w ścianach było widać krzątające się w środku rodziny, dżungla rozbrzmiała śpiewem żab i insektów. Staruszek barman, który miał na imię Alonso, podał kolację: fasolę z ryżem i chorizo; przyniosła ją dziewczyna o ziemistej cerze, z bielmem na jednym oku. Alonso dosiadł się do Rosachera i zabawiał go opowieściami o wiosce i królu: o tym, jak Carlos zastrzelił jaguara ludojada z Saxache, prawdziwą bestię, która po śmierci zmieniła się w starszą kobietę, sławną bruję; jak upolował wielkiego kajmana z El Tamarindo, również miłośnika ludzkiego mięsa – jego łeb kazał następnie zawiesić nad Onyksowym Tronem; jak sprowadził do Becanu lekarzy i medykamenty, gdy w wiosce wybuchła epidemia dyzenterii. Pojawiali się inni klienci, którzy po dokonaniu prezentacji dosiadali się do Rosachera i Alonsa na drinka. Oni również wyrażali się w samych superlatywach o dzielności i wielkoduszności króla. Jeden z nich, jednonogi brodac z imieniem Refugio, opowiedział o tym, jak Carlos – uzbrojony w samą maczetę po tym, jak skończyły mu się naboje –

z narażeniem życia ocalił go przed szarżującym dzikiem.

– Co za człowiek... – rozwodził się Refugio. – Bogaty, wpływowy, ma po co żyć, a był gotów się poświęcić dla takiego biedaka jak ja. On nie jest zwykłym królem. Sami bogowie włożyli mu koronę na skronie. Pewnego dnia zasiądzie w niebie obok Bestii i będzie królował razem z Nią.

– Racja – powiedział Alonso. Inni klienci mu zawtórowali.

Podchmielony i spocony jak mysz w połogu – noc była bezwietrzna, a w speluncie zrobił się tłok – Rosacher zaczynał rozumieć, że oto zamierza zabić człowieka, który uczynił znacznie więcej dobrego niż złego. Nawet jeśli historie, które usłyszał, zostały podkoloryzowane, to trudno było zaprzeczyć, że Carlos stanowi wyjątek: dobry król wywodzący się z krainy, która systematycznie rodziła potwory w ludzkim ciele obdarzone duszami szakali. Próbował wymyślić, co mógłby zrobić, żeby nie zabijać Carlosa, a gdy nie poczynił żadnych postępów, postawił wszystkim kolejkę dowodu królewskiej hojności, czyli whisky z drugiej, nieotwartej jeszcze butelki. Tym posunięciem wzmógł panującą w gospodzie atmosferę szorstkiego braterstwa i wkrótce historie o królu zostały zastąpione przyśpiewkami o kobietach, sławnych polowaniach oraz fikcyjnych wydarzeniach z chwalebnej historii Temalaguy. Chór pijanych głosów nieco zagłuszył wyrzuty sumienia Rosachera, ale nie zdołał całkiem ich uciszyć; śpiewał wprawdzie razem ze wszystkimi, lecz jego radość pozostawała przytłumiona zatroskaniem, gdy snuł bliżej niesprecyzowane plany odwrotu do Teocinte i porzucenia misji w połowie – albo spotkania z Carlosem i przekonania go, żeby nie wchodził w alians z Mospielem. Brał także pod uwagę możliwość, że w tej wojnie opowiedział się po niewłaściwej stronie i że powinien natychmiast zerwać sojusz z radą miejską, z Brekiem, czyli jedynym jej liczącym się członkiem, i stanąć po stronie Mospielu i Temalaguy.

Usłyszał krzyk od razu, ale zanim go na dobre zarejestrował i sięgnął po karabin, krzyk ucichł i było słycać już tylko trzask łamanych ścian, chrzęst strzechy i ochryple wrzaski mężczyzn, którzy pierwsi rzucili się do wyjścia. Rosacher wytoczył się w

noc. Ludzie biegli w stronę zrujnowanej chaty naprzeciwko. Ruszył za nimi... i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest to ta sama chata, do której wcześniej skierował się Cerruti z kobietą.

Rzucił się pędem w jej stronę, roztrącił gapiów i zobaczył Cerrutiego, który – nagi i umazany krwią – siedział oparty plecami o resztkę ściany i obiema rękami trzymał się za głowę. Kawałek strzechy leżał na sienniku, który jeszcze przed chwilą zajmowali oboje z kobietą, i nasiąkał ciemną krwią z rozlanej tuż obok kałuży. Kiedy Rosacher przyklęknął, Cerruti podniósł głowę i zmierzył go błędnym wzrokiem. Z nosa ciekł mu śluz; kiedy spróbował coś powiedzieć, z jego ust dobieły się tylko bańki śliny. Za plecami Rosachera wieśniacy bełkotali między sobą, nagle ktoś zaczął rozpaczliwie zawodzić.

– Ściągnął ją ze mnie – powiedział Cerruti, zadartwszy głowę, jakby mówił do kogoś zawieszzonego tuż nad nim. – Dosiadła mnie, a wtedy Frederick...

Zadławił się i rozpłakał.

– Ćśś, już dobrze! – Rosacher złapał go za głowę i przycisnął do piersi, próbując go uciszyć, zanim Cerruti ujawni ich udział w krwawej jatce.

– Jego pysk... – ciągnął stłumionym głosem Cerruti. – Nigdy go takiego nie widziałem.

– Weźże się w garść, człowieku! – Rosacher jeszcze mocniej go przytulił i szepnął mu do ucha: – Ludzie słuchają.

– Zachowywał się tak, jakby mnie nie poznawał!

– Dalej, pomóżcie mi z nim – zwrócił się Rosacher do wieśniaków. – Niech ktoś przyniesie koc!

Prowadząc Cerrutiego do spelunki, słyszał urywki rozmów:

– Co Adelia teraz pocnie? Pieniądze Yasmin były dla nich jedynym źródłem utrzymania.

– Dajcie coś, żeby można go było wytrzeć z tej krwi.

– Mówił coś o jakimś Fredericku. Kto to jest Frederick?

– Alonso! Przynieś wody!

Posadzony przy stoliku Cerruti nie reagował na pytania, tylko gapił się w przestrzeń i bezgłośnie poruszał ustami. Rosacher z ulgą przyjął tę zmianę w jego zachowaniu, ale nadal martwił się o

jego zdrowie. Pomógł go obmyć z krwi, wmusił w niego kieliszek rumu. Ludzie zaczęli przebąkiwać o wytropieniu Fredericka i Yasmin, ale odwiódł ich od tego zamiaru, powołując się na swoje „wspomnienia” z ubiegłej nocy i tłumacząc, że bestia jest za silna i za szybka, żeby zasadzać się na nią bez przygotowania. Wódz wioski pchnął do Alta Miron jeźdźca z wiadomością dla króla; Rosacher nie próbował go powstrzymać. Wyzbył się również wątpliwości co do słuszności zabicia Carlosa – czuł, że kości zostały rzucone i że przybycie króla do Becanu nie tylko ułatwi mu zadanie, ale będzie też dowodem działania Griaule’a.

Kiedy wrzawa przycichła i wszyscy wymienili się opowieściami o tym, gdzie byli i co robili, gdy Yasmin została porwana, Rosacher odprowadził Cerrutiego do długiego domu i pomógł mu się wgramolić do hamaka. Noc była wilgotna i niewiele chłodniejsza od dnia, ale Cerruti drżał i skarżył się słabym głosem, że marznie; ewidentnie był w szoku. Nie mając dla niego żadnego lekarstwa, Rosacher mógł tylko opatulić go ciepło, posiedzieć przy nim i próbować z nim rozmawiać. Wódz rozlokował w całej wiosce strażników z pochodniami i maczetami, na wypadek gdyby Frederick wrócił. Straże stanęły także przed długim domem, przez co Rosacher musiał mówić półgłosem, ale tak długo powtarzał Cerrutiemu, żeby się nie poddawał, tak długo tłumaczył, że potrzebuje go do pokierowania Frederickiem, że w końcu udało mu się uzyskać sensowną reakcję.

– To moja wina – powiedział w pewnym momencie Cerruti. – Nie powinienem był iść z nią do chaty. Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że Frederick jest w pobliżu. – Jego spoconą twarz, pomarańczową w słabym migotliwym świetle, wykrzywił grymas zgrozy i cierpienia. – Nie znosi, kiedy zadają się z kobietami. Zresztą nie wiem, może chodzi mu po prostu o kobiety, a ja nie mam z tym nic wspólnego.

Rosacher jeszcze raz przestrzegł go przed podnoszeniem głosu.

- Czy Frederick nadal jest w pobliżu? Możesz to stwierdzić?
- Jest, na pewno. Nigdy zbyt blisko się nie oddala.
- Zrobi to, czego od niego chcemy? Nadal nad nim panujesz?

Cerruti kiwnął głową, chociaż ruch ten mógł być skutkiem targających nim dreszczy. Rosacher powtórzył pytanie.

– Zabije, kogo chcesz. – Na czole Cerrutiego perlił się pot. Był upiornie blady, w jego oczach tliła się gorączka. – Bądź spokojny. Zabije, kogo chcesz, i nie tylko.

Przez noc gorączka spadła, tętno się uspokoiło i Cerruti pospał do późna, a na śniadanie zjadł serwowane w knajpie tortille z fasolą i ryżem. Wieśniacy uprzętnęli resztki zniszczonej chaty, przywracając wiosce pozory normalności. Kurczaki i świny grzebały w błocie w poszukiwaniu jedzenia, brudne dzieci zjadały się pulpą z mango, a osiołek, którego Frederick oszczędził, kiedy wybrał Yasmin, stał przywiązany do pnia jednego z bananowców i spokojnie przeżuwał łądygę trzciny cukrowej.

Po śniadaniu Rosacher upomniał Cerrutiego, żeby nie wspominał o Fredericku, i wyciągnął się w hamaku z zamiarem przedrzemania godzinki albo dwóch, ale miał gonitwę myśli i nijak nie potrafił zasnąć. Konieczność zaopiekowania się Cerrutim pomogła mu zapomnieć o innych zmartwieniach, lecz gdy tylko ten obowiązek ustał, znów zaczął rozmyślać o wszystkim, co mogło się nie udać. Zastanawiał się, czy to rzeczywiście Frederick, jak sugerował Alonso, odpowiada za śmierć matki z dzieckiem w Dulce Nombre – w tej chwili nie wydawało to się to już aż tak niewiarygodne jak wcześniej. Jak to świadczyło o Cerrutim i jego zdolności do zapanowania nad pupilem? Rosacher zaczynał przypuszczać, że posłuszeństwo Fredericka w znacznej mierze zależy od dobrego humoru bestii, i nie spodziewał się, żeby do czekającego ich zadania mogli przystąpić ze spokojną głową. Czy Frederick zaatakuje każdą kobietę, która zbliży się do Cerrutiego? A co będzie, jeśli kobiety znajdą się w orszaku królewskim, a to przecież całkiem prawdopodobne? Takie i inne pytania zadawał sobie przez

dłuższy czas, zanim w końcu zapadł w sen. Dręczyły go koszmary, w których nie spał i zamartwiał się przeróżnymi sprawami.

Obudziły go zgiełk ludzkich głosów i rzenie koni. Długą chwilę leżał nieruchomo, nie wiedząc, co myśleć o tych odgłosach. W głowie dudniło mu rytmicznie, serce trzepotało w piersi jak szalone. Musiało upłynąć dobre kilka minut, zanim usiadł w hamaku. Przed knajpą zgromadziła się grupa brązowoskórych mężczyzn w królewskich liberiach – było ich około tuzina, do tego konie w takiej samej liczbie. Wieśniacy otoczyli ich tłumnie i mówili jeden przez drugiego.

Przerzucił nogi przez krawędź hamaka, mrużąc oczy oślepiiony ostrym światłem poranka, zeskoczył i podszedł do drzwi. Człowiek znajdujący się w samym centrum zamieszania nie prezentował się zbyt imponująco: blady, średniego wzrostu szatyn ze schludnie przyciętymi włosami i małą bródką. Przystojny, ale bez przesady. Ubrany w czerwony kaftan ze złotym lamowaniem i spodnie khaki do jazdy konnej. Gdyby nie wypielęgnowana i przystrzyżona w szpic bródka – atrybut fircyka – Rosacher mógłby go nie rozpoznać, ale bródka okazała się kluczowa. Niespełna dwa lata wcześniej człowiek ten przybył do Domu Griaule'a w towarzystwie półtuzina innych mężczyzn, wypytując o zatrudnioną tam młodą kobietę. Miała być jego kuzynką, jak przypominał sobie Rosacher. Podróżował wtedy pod fałszywym nazwiskiem, ale zachowanie ludzi tworzących obecnie jego orszak nie pozostawiało cienia wątpliwości: to król Carlos we własnej osobie.

Zaskoczony faktem, że miał już w przeszłości do czynienia z królem, Rosacher cofnął się w głąb pomieszczenia, by w zalegającym tam półmroku zaplanować dalsze ruchy. Czy powinien milczeć i mieć nadzieję, że Carlos go nie rozpozna? Czy raczej wystąpić z otwartą przyłbicą i od razu powołać się na ich poprzednie spotkanie?

Zdając się na instykt, przyglądał włosy i wyszedł z długiego domu. Wieśniacy natychmiast wypchnęli go jak najbliżej króla, twierdząc, że wie najwięcej o dręczącym ich potworze.

Kłaniając się na powitanie, Rosacher dostrzegł w oczach króla błysk rozpoznania.

– Nie chcę być bezczelny, Wasza Wysokość, ale czy to możliwe, żebyśmy już się kiedyś spotkali?

– Carlos, po prostu Carlos. Tu nie ma żadnych „Waszych Wysokości”. Ale mnie również pańska twarz wydała się znajoma.

– Król przyjrzał się baczniej Rosacherowi. – Dom Griaule’a. Mam rację? Jest pan asystentem tajemniczego pana Mountroyala. Przykro mi, nie pomnę nazwiska...

– Myrie – odpowiedział Rosacher. – Arthur Myrie. Rzeczywiście przez krótki okres służyłem pomocą panu Mountroyalowi, rozstaliśmy się jednak wskutek nieporozumień na tle finansowym. Obecnie prowadzę handel ptakami egzotycznymi.

– Tak, Alonso mi powiedział. – Carlos skinął na Rosachera, przepuszczając go przodem w drzwiach spelunki. – Rozmawiałem z pańskim towarzyszem, panem Cerrutim, o ataku tego zwierzęcia. Nie był zbyt wylewny. Chętnie usłyszę, co pan ma do powiedzenia.

– Gdzie on jest? – zainteresował się Rosacher, przekraczając próg. – Był w szoku, może potrzebować opieki medycznej.

– Towarzyszy mu jeden z członków mojego orszaku. Artysta. Mam nadzieję, że pan Cerruti zdoła opisać, co widział; mój rysownik mógłby wówczas stworzyć podobiznę bestii. Gdy tylko skończą, pošlę do niego swojego lekarza.

Alonso podał Rosacherowi fasolę z ryżem i smażonymi bananami. Przy posiłku Rosacher powtórzył Carlosowi historię przedstawioną wcześniej Alonsowi.

– Wygląda na to, że bestia prowadzi nocny tryb życia – zauważył król, wysłuchawszy go do końca. – Dotychczas wszystkie ataki zdarzały się nocą... Chociaż niezupełnie, jedna z trzech ofiar w Dulce Nombre zginęła tuż przed świtem.

– Trzech? – Rosacher odłożył widelec. – Ja słyszałem tylko o dwóch: matce i córce.

– Były trzy. Dziewczyna posłana po wodę do przygotowania kolacji natknęła się na zwłoki pierwszej dwójki i również zginęła.

Widziano czarny kształt pożerający jej ciało, ale przerażony świadek nie zapamiętał szczegółów.

Przenikliwość Carlosa niepokoiła Rosachera. Miał wrażenie, że król widzi każde jego poruszenie, każdą zmianę wyrazu twarzy, a Rosacher usilnie starał się wyglądać na człowieka, który ma za sobą wstrząsające doświadczenie, ale wziął się w garść i bardzo chce być pomocny. Wydawało mu się, że bezbłędnie gra swoją rolę, nie miał jednak pewności, jak wypada w oczach Carlosa.

Rozmowę przerwało im pojawienie się mężczyzny w średnim wieku, którego Carlos przedstawił jako Ramona. Ramon przyniósł okazałych rozmiarów szkicownik i wręczył go królowi. Widząc, jak Carlos kartkuje szkicownik, Rosacher zapytał, czy zawsze podróżuje w towarzystwie rysownika.

– Jestem próżny z natury – odparł król. – Nie zawsze udaje mi się przywieźć z polowania trofeum, dlatego Ramon stale mi towarzyszy, by dokumentować moje triumfy i porażki. – Zatrzymał się na jednej ze stron i podsunął ją Ramonowi. – To ten?

– Zarzekał się, że tak to właśnie wyglądało – przytaknął Ramon. – Chociaż oczywiście mógł przesadzić. Wyobraźnia płata figle.

Carlos oddał szkicownik Rosacherowi. Rysunek przedstawiał stojące na tylnych łapach zwierzę o gęstym futrze, nieco podobne do niedźwiedzia, choć z bardziej wydłużonym pyskiem przechodzącym w makabryczną twarz starego człowieka, wykrzywioną w grymasie wściekłości, pożłobioną głębokimi zmarszczkami i przywodzącą na myśl oblicze demona. W otwartych ustach sterczały ostre jak igła zęby, po bokach obramowane potężnymi kłami. Rysunek był piękny, ślicznie cieniowany, delikatne kreski podkreślały muskulaturę zwierzęcia; przypominał grafiki Dürera. Rosacher zaniemówił z wrażenia na widok tej – jak domniemywał – prawdziwej postaci Fredericka.

– Dalej są jeszcze detale – dodał Ramon, dając mu znać, żeby odwrócić stronę.

Czarna łapa uzbrojona w trzy paskudnie wyglądające pazury; oko – prawie ludzkie, lecz zaczerwienione w kącikach i

opatrzone pionową żrenicą; kiel i kilka zębów w kolorze kości słoniowej.

– Coś z tego wygląda znajomo? – zainteresował się Carlos.

Rosacher pokręcił głową. Teraz już nie musiał grać wstrząśniętego człowieka po ciężkich przejściach.

– Nie, nie widziałem jego... twarzy... ale... to przecież niemożliwe! Wygląda jak bestia z piekła rodem! – Odłożył szkicownik. – To niemożliwe!

– Cerruti upiera się przy swoim – zauważył Ramon.

– Był w szoku! Pamięć go zawodzi!

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby przekonać się, jak jest naprawdę – wtrącił Carlos. – Trzeba bestię wytropić i zabić. Mam nadzieję, że obaj z panem Cerrutim zechcecie mi towarzyszyć.

Zaskoczony tą propozycją Rosacher rozpaczliwie szukał pretekstu, żeby wymówić się od udziału w polowaniu – twierdził, że jest zmęczony, upierał się, że powinien dotrzeć do Alta Miron w dniu targu – ale król był nieugięty.

– Będą inne dni targowe – powiedział. – A ja pana zapewniam, że polowanie nie będzie przesadnie wyczerpujące. Zastawimy pułapkę. Zaczaimy się na zwierza w pewnej odległości od wioski, niezbyt daleko, w pobliżu rzeki, żebyśmy w razie konieczności mieli gdzie się schronić.

– Lękam się o zdrowie Cerrutiego – przyznał Rosacher. – Może należałoby go zostawić we wsi, żeby spokojnie doszedł do siebie?

– Mój lekarz go zbada i podejmie decyzję. – Carlos oparł dłoń na stole. – A tymczasem pošlę przodem paru ludzi, niech znajdą dobre miejsce na obozowisko. Po południu do nich dołączymy. Do tego czasu jest pan wolny: może pan odpocząć, wyspać się... Jeśli zaś zechce mi pan towarzyszyć, chętnie jeszcze z panem porozmawiam. Jestem przekonany, że taka konwersacja będzie dla nas obu nadzwyczaj pouczająca.

Mimo najszczerzych chęci Rosacher nie potrafił znaleźć dobrego powodu, dla którego warto byłoby poświęcić życie Carlosa w imię integralności terytorialnej Teocinte. Pomijając próżność króla w kwestii wyglądu oraz jego zapędy myśliwskie, nie miał żadnych poważniejszych wad. W ciągu następnych kilku godzin przedyskutowali z Rosacherem królewskie zamiary wobec mieszkańców Temalaguy, wspomniały plan obejmujący reformę rolną i stopniową poprawę losu chłopów poprzez edukację i szeroki dostęp do zdobyczy rodzącej się gospodarki przemysłowej. Carlos traktował wszystkich dookoła jak równych sobie i był powszechnie uwielbiany – nie tylko przez wieśniaków, ale także przez gwardzistów, którzy chętnie wdawali się z nim w dobrodusze, rubaszne przepychanki słowne, oraz wszystkich tych, którzy na wieść o pojawieniu się króla w Becanie przybyli do wioski, by złożyć mu hołd lub – w jednym wypadku – prosić o rozsądzenie lokalnych sporów, z którego to obowiązku wywiązał się z rzadko spotykanym wdziękiem i łaskawością. Przypadek, o którym mowa, dotyczył Gregoria, rolnika z Sayaxche, którego żona odeszła z innym mężczyzną. Wszyscy troje stawili się przed królem i złożyli zeznania. Żona Gregoria, Bedelia, nie zaprzeczyła, że Gregorio jest porządnym i gospodarnym człowiekiem, ale pobrali się szesnaście lat temu, będąc jeszcze prawie dziećmi, po czym z upływem lat jej uczucie do męża ostygło i zakochała się w Camiliu, właścicielu pasmanterii. Ponieważ ze związku z Gregoriem nie urodziły się żadne dzieci, ona zaś nosiła już w łonie dziecko Camilia, poczuła, że ma prawo coś zmienić w swoim życiu. Gregorio twierdził, że nadal ją kocha, i choć nie był człowiekiem z natury gwałtownym, czuł się upokorzony i pałał żądzą zemsty. Camilio obawiał się rozlewu krwi, wątpił jednak, by w obecnych okolicznościach udało się go uniknąć, nie zamierzał bowiem ani wyrzec się miłości do Bedelii, ani zrzec się

ojcostwa.

Król zawyrokował, jak następuje:

– W moim pałacu mieszka wiele pięknych kobiet, z których znakomita większość nie ma jeszcze męża. Zapraszam cię, Gregorio, do Alta Miron; zamieszkaś na terenie pałacu, będziesz pracował w moim ogrodzie i tym sposobem być może znajdziesz nową, lepszą żonę. Jeżeli do końca roku nie wypatrzysz sobie małżonki albo będziesz z innych powodów nieszczęśliwy, wrócisz do Sayaxche.

Następnie zwrócił się do Camilia i Bedelii:

– Będziecie przez rok doglądać należących do Gregoria upraw, dbać o nie należycie i przekazywać mu wszystkie płynące z nich zyski. Jeżeli wróci do Sayaxche, pola znów staną się jego własnością; jeżeli postanowi nie wracać, będą wasze. Co zaś do dziecka... Czy ojcostwo jest kwestią sporną?

Gregorio spuścił wzrok.

– Nie – odparł.

– Wobec tego dziecko zostanie przy Bedelii i Camiliu. Niniejszym zarządzam jednak, że Gregorio ma być jego ojcem chrzestnym. Mam szczerą nadzieję, że wspólna odpowiedzialność za losy dziecka z czasem przyczyni się do zasypania dzielącej was przepaści. – Król ponownie spojrzął na Gregoria. – Moja propozycja jest opatrzona dodatkowym warunkiem: masz wyruszyć w drogę do Alta Miron najdalej za godzinę, aby uniknąć dalszego zaogniania konfliktu z Camiliem i twoją żoną. Dam ci list, który pokażesz przy bramie pałacu; będzie opatrzony moim podpisem i pieczęcią. Zostaniesz skierowany do przygotowanych dla ciebie komnat i od jutra rozpocznesz nowe życie. Oby okazało się owocne i szczęśliwe.

Królewskie rozstrzygnięcie wszystkim przypadło do gustu. Najmniej zadowolony był chyba Camilio, na którego spadł obowiązek uprawy pól Gregoria, ale Bedelia cieszyła się z werdyktu, a i uśmiech Gregoria sugerował, że przesadził z wyrazami miłości do żony i nie zamierzał wracać do Sayaxche; urzekła go perspektywa zamieszkania w pałacu i pracy znacznie mniej znoonej i lepiej płatnej niż praca na roli.

Sam wyrok, swoboda, z jaką Carlos go przedstawił, a także łagodne, lecz zarazem stanowcze rozbrojenie potencjalnie groźnej sytuacji, zaimponowały Rosacherowi. Przypomniawszy sobie, jak sam potrafił układać się z ludźmi; Carlos – ze swoim urokiem osobistym, cierpliwością i stanowczym dążeniem do sprawiedliwości – wydał mu się lepszą wersją samego siebie, wyidealizowanym Rosacherem, który nie manipuluje innymi dla zysku, ale po prostu chce sprawować uczciwe rządy. Myśl, że miałby zabić takiego człowieka, stawała się coraz bardziej nieznośna, a wyrzuty sumienia jeszcze się wzmogły, gdy król zaprosił go do pałacu po zakończeniu polowania, aby mógł sobie wybrać z prywatnej królewskiej ptaszarni jednego albo dwa egzotyczne ptaki jako wynagrodzenie za udział w schwytaniu bestii terroryzującej Becan i Dulce Nombre.

– Jeżeli się myślę, nasze złotobrzuszki niedawno się rozmnożyły – powiedział Carlos. – Może jedno z ich młodych byłoby stosowną nagrodą.

– Taki dar byłby dla mnie zaszczytem – odparł Rosacher.

Po południu przenieśli się do obozowiska założonego przez gwardzistów na brzegu Rio Coco. Na samym skraju wody wykarczowano plac o wymiarach dwadzieścia na czterdzieści stóp, na którym stanął królewski namiot. Przed namiotem ustawiono krzesła i stół i tam właśnie usadowili się Rosacher i Carlos, a jeden z gwardzistów podał im posiłek złożony z kanapek, kurczaka, wieprzowiny i niezłego burgunda. Żołnierze z karabinami zajęli pozycje w pobliżu obozowiska, by w razie potrzeby wziąć je w krzyżowy ogień. Carlos i Rosacher również trzymali sztucery na podorędziu. Cerruti siedział na ziemi na skraju dżungli, jakieś trzydzieści stóp dalej, w towarzystwie grupy uzbrojonych wieśniaków z Becanu. Fakt, że rozdzielono go z Cerrutim, napawał Rosachera lekkim niepokojem. Tłumaczył sobie jednak, że chodzi o różnicę klas społecznych, i Carlos, choć czynienie takich rozróżnień do niego nie pasowało, był zapewne związany jakimś konwenansem zabraniającym spoufalania się z osobnikami pokroju Cerrutiego... A może podczas rozmowy, do której doszło, kiedy Rosacher spał, Cerruti nie przypadł

Carlosowi do gustu i król zwyczajnie nie miał ochoty na jego towarzystwo. Wynikające z tego stanu rzeczy zaniepokojenie z czasem osłabło, przyćmione przyjazną i interesującą rozmową z Carlosem, ale wątpliwości związane z Frederickiem i planem zamordowania króla nijak nie chciały zniknąć. Co rusz usiłował spojrzeć Cerrutiemu w oczy, a gdy ich spojrzenia się spotykały, dyskretnie kręcił głową, mając nadzieję, że w ten sposób da staruszkowi do zrozumienia, by odwołał swojego pupila i zakończył ich misję. Za którymś razem wydało mu się nawet, że Cerruti odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, nie mógł jednak mieć pewności, że było to coś więcej niż zwykły nerwowy tik, zwłaszcza że niektóre zachowania Cerrutiego – takie jak długotrwałe wpatrywanie się w przestrzeń i ogólne zobojętnienie na towarzystwo otaczających go ludzi – dowodziły, że jeszcze nie do końca otrząsnął się z szoku. Rosacher osiągnął w końcu stan, w którym uznał, że zrobił wszystko, co w jego mocy – może poza wyznaniem win Carlosowi, który to ruch byłby dla niego wyrokiem śmierci. Zdał sobie sprawę, że złożył swoje życie w ręce Griaule'a lub, gdyby założyć zupełną obojętność smoka, zdał się na los szczęścia.

Zmierzch ustąpił miejsca nocy, ze słonecznego światła została tylko poszarpana indygowa wstążka na krawędzi świata; zapalone pochodnie przydawały obozowisku barbarzyńskiego charakteru. Owady bzycały, żaby zawodziły i rechotały basowo, rzeka bulgotała spokojnie, kwitnący nocą cereus roztaczał łagodną woń. Rosacher niemal w pojedynkę osuszył drugą butelkę wina, i to wcale nie dlatego, że był jakoś szczególnie zrozpaczony – przeciwnie, pominął etap rozpaczy i przeszedł wprost do pogodzenia się z losem. Jeżeli tak miało się zakończyć jego życie, to trudno. Dość miał już walki, dość zmagania z siłami człowieka i natury (był święcie przekonany, że tych dwóch rzeczy nie da się pogodzić) i z przyjemnością kapitulował przed królestwem wina, krajem podchmienia i wszelkimi organami ich władz. Noc była wyjątkowo pogodna. Gwiazdy jak ogniste orchidee mieniły się wśród obwisłych gałęzi drzew, a głęboki, intensywnie granatowy odcień nieba zdawał się wytworem

skłębionej masy tkwiącej gdzieś w głębi firmamentu, jakby ktoś sprowadził w pobliże Ziemi małą galaktykę, po czym zatrzymał ją tuż poza zasięgiem ludzkiego wzroku, by lepiej oświetliła kameralną nadrzęczną scenę, oazę spokoju w samym sercu chorego, roztrzęsionego świata.

– Richardzie... – odezwał się Carlos. – Mogę nazywać cię Richardem?

Rosacher zamarł. Zanim zdążył wymyślić jakieś sprytnie kłamstewko, które pozwoliłoby mu wybrnąć z tarapatów, których jeszcze nie zdążył dobrze ogarnąć, zdał sobie sprawę, że zdradził się już tą pierwszą, odruchową reakcją. Mimo to nie zrezygnował.

– Nie bardzo rozumiem... – zaczął.

– Wie pan o tym, panie Rosacher, że taki ptak jak złotobrzuszka nie istnieje?

– Myślałem, że to pomyłka wynikająca z niewiedzy. Nie śmiałem cię poprawiać.

– Mógłbym ci może uwierzyć, gdybyś nie był Richardem Rosacherem, ale ponieważ nim jesteś... – Carlos zrobił komicznie smutną minę – nie wierzę ci.

Rosacher rozpaczliwie szukał wyjścia z tej sytuacji, gładkich słówek, które zdołałyby przekonać Carlosa, że wcale nie jest tym Rosacherem. Za dużo jednak wypił i za daleko zabrnął na drodze do kapitulacji.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – zapytał.

– To, co zapowiedziałem. Zostaniesz moim gościem w pałacu.

– Ale jak mnie ukarzesz?

– Za co miałbym cię karać? Dopuściłeś się jakiegoś przestępstwa? Owszem, krzywo patrzę na prowadzone przez ciebie interesy, ponadto jesteś faktycznym przedstawicielem rządu, który nie utrzymuje przyjaznych stosunków z Temalagą. Domyślam się poza tym, że obaj z panem Cerrutim nielegalnie przekroczyliście granicę. Tyle że karą za to wykroczenie jest grzywna i wyrzucenie z kraju.

– Twoi poprzednicy dość swobodnie interpretowali zapis o wyrzuceniu z kraju. Tę część wyroku często wykonywano

pośmiertnie.

– Jestem inni niż moi poprzednicy – odparł stanowczo Carlos. – Wrócisz z nami do pałacu, gdzie zamieszkaasz z gwardzistami. Będziesz miał ograniczoną możliwość poruszania się, ale poza tym nikt ci niczego nie będzie zabraniał. Będziesz mógł jeść i pić do woli, podobnie jak cieszyć się wdziękami kobiet. Te warunki zostaną utrzymane w mocy dopóty, dopóki nie ujawnisz powodów, dla których przybyłeś do Temalaguy. Potem będziesz miał wolną rękę. Odejdiesz, zostaniesz... Nie zamierzam robić ci krzywdy. Jeżeli postanowisz zostać, to zważywszy na twoje dotychczasowe osiągnięcia, jestem przekonany, że będę się mógł od ciebie dużo nauczyć, zwłaszcza w dziedzinie prowadzenia interesów. Jestem również przeświadczony, że znajdziemy wspólne zainteresowania, co umożliwi nam ciekawe dyskusje. Będziesz mile widzianym uzupełnieniem mojego dworu. – Uśmiech króla był wyrazem samozadowolenia i pewności siebie. – Oczywiście możesz mi przedstawić swoją motywację tu i teraz. Wówczas cały ten ciąg dalszy stanie się zbędny.

– Skąd przypuszczenie, że kiedykolwiek zechcę ci wyjawić swoją motywację? – zapytał Rosacher.

Król znowu uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni, Richardzie. Ba, powiem więcej: jesteśmy niemal jednym i tym samym człowiekiem. Mam jednak nad tobą pewną przewagę: ja jestem sobą od urodzenia, ty zaś zostałeś zmuszony – nie wiem, za sprawą okoliczności czy wskutek działania jakiejś potężnej siły – do przyswojenia sobie umiejętności, które ukształtowały nasz wspólny charakter. Ze względu na tę przewagę wiem o rzeczach, o których ty nie masz pojęcia. Dlatego między innymi jestem pewien, że pewnego dnia znudzi ci się proponowane przeze mnie nudne życie i sam mi ujawnisz swoje sekrety, chociażby po to, by wprowadzić w swoją egzystencję odrobinę dramatyzmu.

Rosacher nie mógł zaprzeczyć prawdziwości tych twierdzeń, ale nawet teraz, gdy godził się z dokonaną przez Carlosa błyskotliwą analizą ich bratnich dusz, miał wrażenie, że się od niego oddala, ogląda go przez odwróconą lunetę i widzi, że Carlos

jest człowiekiem pełnym dobrych intencji, zdolnym – o ile tylko pożyje dostatecznie długo – dokonać wielkich rzeczy, zmienić losy kraju, wydzwignąć rzesze ludzi z biedy. Nie robi tego jednak dlatego, że jest altruistą czy świętym, lecz przede wszystkim dlatego, że jest narcyzem. Podobnie jak każdy narcyz (wliczając w to także Rosachera), Carlos miał skłonność do gwałtownych zmian usposobienia, i choć nikt nigdy nie widział, by król odrzucił swą dobroduszną, łaskawą pozę, była to jednak tylko poza. Nie można więc było wykluczyć, że pewnego dnia, pod wpływem niewiadomego jeszcze wydarzenia, zmieni się z człowieka karmiącego swoje ego dobrymi uczynkami w monstrum zdolne do czynienia niewyobrażalnego zła. Opinia Rosachera na temat Carlosa uległa tak dramatycznemu przeobrażeniu, że nagle poczuł się zupełnie zagubiony i mógł już tylko biernie czekać na dalsze wydarzenia, które przyniesie noc.

– Żadna z tych rzeczy by się nie stała – wytknął Carlosowi płacziwym tonem – gdybyś prowadził ostrożniejszą politykę zagraniczną.

Carlos natychmiast spowaźniał.

– Nie rozumiem – przyznał. – Do czego pijesz?

– Do twojego sojuszu z Mospielem. Do waszych wspólnych knowań wymierzonych przeciwko Teocinte.

– Zwariowałeś? – Carlos parsknął śmiechem. – Nie snuję żadnych planów w odniesieniu do kraju, który sam lada chwila rozleci się na kawałki. Co zaś tyczy się Mospielu, to prędkiej poszedłbym do łóżka z barba amarilla, niż wszedł w alians z kardynałami.

– Teocinte jest dziś mocne jak nigdy przedtem – zaoponował Rosacher.

– Albo to ja mam złe informacje, albo twoje związki z rządem nie są aż tak ścisłe, jak mi się wydawało. – Carlos nalał sobie wina. – Naprawdę nie wiesz, czym zajmował się Breque przez ostatni rok? – Upił łyk i podniósł kieliszek do światła. Spojrzał z ukosa na Rosachera. – Po co przybyłeś?

Rosacher udał, że nie słyszy.

– Rajca Breque jest dobrym administratorem. Być może w

ostatnich miesiącach nie przykładałem się do nadzorowania go w takim stopniu jak przedtem... Miałem inne zajęcia. Ale wierzę, że działa w dobrze pojętym interesie Teocinte.

– Wobec tego pokładasz wiarę w głupcu lub szaleńcu. Albo w obu naraz. Breque przysłała mi listy, w których zapewnia o odwiecznej i niewzruszonej przyjaźni łączącej nasze kraje, a w tym samym czasie wydaje fortunę na uzbrojenie dla marynarki wojennej. Uzbrojenie, którego jedynym zastosowaniem byłoby zaatakowanie naszych portów. Mogłoby mnie to niepokoić, gdybym nie wiedział z wiarygodnego źródła, że państwowa kasa Teocinte świeci pustkami i Breque nie ma za co kupić samych okrętów. Ale o tym z pewnością wiesz.

– Skąd masz te informacje? – zapytał Rosacher wstrząśnięty słowami Carlosa. – I czy jesteś pewien, że są prawdziwe?

– O tak! Bardzo niedługo, za kilka miesięcy, najdalej za pół roku gospodarka Teocinte legnie w gruzach. Choćbyście nie wiadomo ile wилu wyprodukowali, wierzyciele upomną się o swoje należności na długo przed tym, jak dostaniecie pieniądze, żeby ich spłacić. Zresztą termin płatności w wielu wypadkach już minął. Breque będzie zmuszony wyprzedać swój arsenał i obniżyć cenę wилu, jeśli chce uratować ślaniające się Teocinte.

– Zakup paru sztuk broni...? Nie rozumiem, dlaczego coś takiego miałyby wstrząsnąć gospodarką.

– Siedemset armat to chyba nie parę sztuk? Albo sześć tysięcy najnowocześniejszych rosyjskich karabinów? Sto transporterów opancerzonych, zdolnych przedrzeć się przez dżunglę, z których każdy pomieści kompanię wojska? Ale w sumie masz rację, to tylko najnowsze nabytki Breque'a, kropla, która przepełniła czarę. W stoczniach Mataplanu położono stępki pod siedemnaście wielkich okrętów, zamówionych przez niego do przewiezienia sił inwazyjnych... Tyle że nie stać go na ich ukończenie. Mógłbym wyrecytować długą litanię takich chybionych zakupów; Breque ma najwyraźniej plany odnoszące się do całego litoralu, może nawet całego kontynentu. Bez względu na przyświecające mu cele zgromadził więcej broni, niż powołał żołnierzy; ma więcej okrętów niż marynarzy. Nie boję

się Teocinte, wasz kraj jest skazany na zagładę. Obawiam się czegoś innego: gdy tylko ten idiota Breque wypatroszy Teocinte, wkroczy Mospiel, żeby zaprowadzić tam porządek, i w ten sposób wchłonie oddzielający nas naturalny bufor. – Carlos zawiesił na chwilę głos. – Zostałeś oszukany, przyjacielu. Widzę to po twojej reakcji. Wypada jednak postawić pytanie: dlaczego zostałeś oszukany? I jak twoja obecność tutaj wiąże się z tym faktem?

W uchu Rosachera zabzyczał moskit, na co ten plasnął go otwartą dłonią. Jak na dany sygnał z dżungli najpierw dobiegło basowe warczenie, a zaraz potem ryk, jakiego sam Griaule by się nie powstydział, tak potwornie i druzgocąco zabrzmiał. Odpowiedziały mu krzyki i kanonada strzałów.

Carlos i Rosacher porwali sztucery i wycelowali je w dżunglę. Rozległy się kolejne wrzaski, a potem z liściastego mroku wyprysnął przy wtórze trzasku łamanych gałęzi Frederick, jakiego Rosacher jeszcze nigdy nie widział, przyobleczony w niby-niedźwiedzie kształty, które do tej pory pozostawały co najwyżej wytworem wyobraźni i ołówka artysty. Wspięty w świetle pochodni na tylne łapy, młóćący powietrze pazurami, ryczący wściekle i obojętny na karabinową palbę, prezentował się o wiele bardziej przerażająco niż na portrecie. W tej pozycji, wyprostowany na całą wysokość, musiał mierzyć dobre dwadzieścia stóp od czubka nosa do końca ogona. Jego ciało było pokryte szorstkim czarnym futrem. Kręcąc na boki głową (przywodzącą na myśl jakiś osobliwy owoc, zmutowany arbuz, zniekształconą dynię), odsłaniał twarz, chropawą maskę zaledwie o pół tonu jaśniejszą od futra; zatknięta na końcu wydłużonego łba wyglądała tak, jakby dawno temu ktoś nabił ją na tępy pniak, a ona z upływem lat zrosła się z tym kikutem, połączyła z nim siateczką nerwów i włóknami mięśni, dzięki czemu mogła teraz łytać ślepiami, wykrzywiać się w odrażających grymasach, warczeć i wydawać inne odgłosy wściekłości i żądz. Oczy miał zaropiałe, bardziej zaczerwienione niż na rysunku królewskiego artysty i nieco bardziej skośne, co upodabniało go do jakiegoś gniewnego tybetańskiego bóstwa –

tyle że to nie był kolorowy, zrytualizowany i abstrakcyjny wizerunek zła, lecz zło prawdziwe, zło wcielone, zębate, ociekające śliną i potworne, z wiszącym z pyska jęzorem, pobrużdżonym czołem i dominującą na obliczu pustką obłądu.

Wszelkie myśli o sojuszu z tą bestią ulotniły się w mgnieniu oka, przegnane strachem. Rosacher strzelił raz, drugi, widział, jak pociski dosięgają celu i wywołują jeszcze głośniejsze ryki, jak krew chlusta z rozoranego kulą policzka i czoła... gdy wtem usłyszał za plecami okrzyk:

– Do rzeki!

Ktoś złapał go za rękę, szarpnął. Rosacher stoczył się ze skarpy i wylądował na wznak w wodzie, zniknął pod powierzchnią, po czym natychmiast wynurzył się, plując i parskając. Przez cały czas nie wypuścił broni z rąk. Próbował stanąć na nogi, ale w tym miejscu było za głęboko. Otarł wodę zalewającą mu oczy i zobaczył tuż obok, na wyciągnięcie ręki, głowę Carlosa. Nieco dalej w górę rzeki było widać cztery, może pięć innych głów, ale tamtych Rosacher nie rozpoznawał. Pomrukujący gniewnie Frederick – jego ciało stało się teraz masywne, słoniowate – szedł ostrożnie brzegiem i Rosacher zaczynał mieć nadzieję, że intuicja go nie zawiodła; że kłamstwo o tym, jak znaleźli z Cerrutim schronienie w wodzie, okaże się zbawienne i ocali im życie. Wtedy jednak... Zapadła ciemność, nie było widać nawet pochodni, świat zatonął w cieniu i Rosacher nie był już do końca pewny, co właściwie widzi, ale wydawało mu się, że Frederick przystaje na brzegu, wykrzywia szyję pod nieprawdopodobnym kątem, wyciąga ją na dobre cztery, pięć stóp, pochyla się... i odrywa głowę jednemu z ludzi. Pozostali, wrzeszcząc ze zgrozy, młócili bezradnie wodę. Rosacher wypuścił karabin, zanurkował i zaczął płynąć ze wszystkich sił, najdłużej, jak tylko mógł bez nabierania tchu, po czym wynurzył się... i natychmiast znów zanurkował, i tak powtarzał ten cykl, aż wyczerpany wyczołgał się w końcu na przeciwległy brzeg rzeki i ukrył w cieniu, w zagłębieniu gliniastego gruntu, i tam znieruchomiał, przerażony każdym, choćby najmniejszym dźwiękiem i ruchem. W końcu zasnął, a kiedy się obudził, szcękając zębami, nad dżunglą

rozlewał się już szary świt. Wygramolił się wyżej na stromy brzeg i zdjął przemoczone ubranie. Zaczęło mżyć, zebrał więc swoje rzeczy w zawiniątko i schował się pod ogromnym drzewem puchowca, gdzie znalazł suchy skrawek ziemi wśród korzeni rozchodzących się na boki niczym ogony kajmanów, których łby uwięzły pod pnem. Wodził tępym wzrokiem po ociekającej wodą szarozielonej dżungli, napierającej nań ze wszystkich stron pierzastymi pióropuszcami palm i wielkimi jak szufle rozkołysanymi liśćmi, które pod uderzeniami kropel deszczu wydawały taki dźwięk, jakby dziecięce paluszki opukiwały tysiące małych bębenków. Deszcz się wzmógł i łoskot stał się ogłuszający. Ziąb przenikał Rosachera do szpiku kości. Nie miał jak rozpalić ognia, dlatego zaczął iść przed siebie, próbował biec, gdy tylko było to możliwe, co nie zdarzało się często, bo ścieżka wiodła to w górę, to w dół, często skręcała pod ostrym kątem, a zejście od podejścia dzieliło zaledwie kilka jardów. Kamienie i korzenie boleśnie dźgały podeszwy jego nagich stóp, uniemożliwiając szybszy marsz, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby włożyć buty pełne mułu i cuchnące rzeką. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje ani w jakim kierunku podąża. Jego myśli zwalniały tak samo jak nogi, w końcu Rosacher cały stał się ociężałą maszyną, zdolną tylko brnąć chwiejnie przed siebie.

Po jakimś czasie – dość długim, miał wrażenie – poczuł zapach gotowanego mięsa. Skradał się przez gąszcz, nie wiedząc, czy spotka na swojej drodze przyjaciela, czy wroga, aż zobaczył skarpe, na którą przewróciło się ogromne drzewo, tworząc naturalne schronienie. Pod drzewem siedział Carlos – bez koszuli, ale nadal w jeździeckich spodniach. Widok siedzącego spokojnie, zadowolonego z siebie króla wywołał u Rosachera uczucie rozgoryczenia. Nad ogniskiem z patyków piekło się na różnie jakieś nieduże zwierzę. Perspektywa ogrzania się i zjedzenia gorącej strawy była kusząca, ale Rosacher bał się podejść bliżej, niepewny, jakie przyjęcie go czeka. Carlos odkroił nożem do skórowania zwierzyny plaster mięsa z udźca i położył go na liściach do wystudzenia...

Ta pokusa okazała się zbyt silna. Rosacher wyszedł z zarośli.

– Richard! – Carlos podniósł wzrok. – Myślałem, że się utopiłeś.

Rosacher klapnął ciężko na ziemię przy ognisku. Widząc, że ciągle szczęka zębami, Carlos dołożył do ognia; wreszcie Rosacher wchłonął dość ciepła, żeby móc normalnie mówić.

– Co to było? – zapytał, przyjąwszy od Carlosa podany na czubku noża kawałek mięsa. Było tłuste, ale smaczne.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – przyznał król, dalej krojąc mięso. – Pewnie nie wiesz, czy ktoś jeszcze przeżył? Spotkałeś kogoś z naszych?

Rosacher pokręcił głową. Znowu dostał dreszczy. Carlos kazał mu się położyć, a sam rozłożył jego ubrania przy ogniu, żeby przeschły. Kiedy drzączka w końcu ustąpiła, Rosacher odgryzł drugi kęs mięsa.

– Dobre – powiedział. – Co to?

– Aguti. – Carlos również skubnął kawałek i zaczął żuć. – Moi dworzanie nie przepadają za mięsem, uważają, że jest dobre dla wieśniaków. Ale ja je lubię.

Rosacher skończył pierwszą porcję mięsa i król ukroił mu następną. Rosacher zaczął jeść, po czym, wspomniawszy powody swojego przybycia do Temalaguy, zapytał Carlosa, co się stało z Cerrutim.

– Nie jestem pewien – odparł król. – Było ciemno, nie widziałem za dobrze, ale wydaje mi się, że był jednym z tych, którym potwór urwał głowę.

Słyszając te słowa, Rosacher zaczął się zastanawiać, po co Cerruti w ogóle wchodził do wody. Zareagował instynktownie? Ktoś go popchnął? A jeżeli Carlos miał rację, to jak to świadczyło o więzi łączącej staruszka z Frederickiem? W głowie mu się kręciło, nie bardzo mógł się skupić na tych kwestiach, zapytał więc, jak Carlosowi udało się uciec.

– Widziałem, jak wskoczyłeś do wody, i wziąłem z ciebie przykład.

Jeżeli Carlos powiedział coś jeszcze, to uszło to uwagi Rosachera, który w tej właśnie chwili stracił przytomność. Ocknąwszy się, stwierdził, że król przykrył go swoim kaftanem,

chciał go więc oddać, ale Carlos odmówił jego przyjęcia.

– Jesteś wyziębiony – powiedział. – Mną się nie przejmuj. Nic mi nie będzie.

Deszcz znów przeszedł w drobną mżawkę. Rosacher włożył praktycznie suche spodnie i zapytał Carlosa, czy zna tę okolicę.

– Jesteśmy mniej więcej godzinę marszu na wschód od Chisecu. Tak przypuszczam. Od lat nie polowałem w tym rejonie, ale jeśli mnie pamięć nie myli, pół godziny stąd ścieżka powinna doprowadzić nas do czegoś na kształt traktu, który wiedzie przez dżungłę do wioski. – Król poklepał Rosachera po ramieniu. – Gotowy na małą przechadzkę?

– Jeszcze chwilę.

– Nigdzie nam się nie śpieszy, jeszcze nie ma południa. – Carlos dorzucił do ognia. – Wieczorem powinno nam się udać przekazać wiadomość do pałacu; jutro po południu ty już byś wygodnie wypoczywał, a ja mógłbym się zająć zorganizowaniem kolejnego polowania.

– Chcesz zapolować na to coś?

– Zakładając, że poza nami nikt nie ocalał, bestia zabiła ponad dwudziestu ludzi. Pozostawienie jej na wolności byłoby zbrodnią.

– Ale jak zamierzasz ją unicestwić?

– Gdyby udało się ją zapędzić w kozi róg, przyprzeć do jakiejś naturalnej przeszkody terenowej i tam uwięzić, moglibyśmy potem rozpalić ogniska dookoła i spalić ją żywcem. – Król splunął w ogień. – Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym; jutro wezwę łowczych, obmyślimy jakiś plan i opracujemy rozwiązania alternatywne, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Może i Carlos był narcyzem, ale z całą pewnością nie należało wątpić w jego odwagę – nawet jeżeli czasem brakowało mu zdrowego rozsądku. Rosacher po raz kolejny spróbował spojrzeć na swoją misję z dystansu – i po raz kolejny złapał się na tym, że podważa jej fundamenty: niepokój o los przedsięwzięcia, swoją niby-lojalność wobec całkowicie nielojalnego Breque'a, a także myśl o tym, że wszystko, czego w życiu dokonał, było tylko reakcją na działanie jakichś oszukańczych bodźców. Kiedy przed

laty przybył do Teocinte, wydawało mu się, że ma jakiś plan; od tamtej pory z pewnością nie miał żadnego. Do wszystkich działań został sprowokowany lub przymuszony i teraz, zdając sobie z tego sprawę, nie potrafił traktować poważnie żadnych swoich zamiarów na przyszłość, a już na pewno nie zamiaru zamordowania króla.

Podczas deszczu owady – wszystkie poza mrówkami grzybiarkami, przenoszącymi odcięte kawałki liści po wydeptanych w błocie cienkich jak nić ścieżynkach – gdzieś poznikały. Na początku wędrówki Rosacher z Carlosem niewiele rozmawiali. Przez pewien czas śledziły ich przemykające w koronach drzew ciemne sylwetki, które jednak nie obwieszczały głośno swojej obecności. Podszycie się przerzedziło i pnie puchowców były teraz widoczne z daleka niczym lotosowe kolumny poryte kaligrafią żywego zielonego mchu. Wyobrażenia zmęczonego Rosachera podsuwała mu wizje, w których ryty na kolumnach opisywały różne warianty czekającego go żałostnego losu: umierał w zielonym piekle, skorpiony pożerały jego ciało, żuki spijały wilgoć z kącików jego oczu i tak dalej.

Szacunki Carlosa, jakoby od traktu do Chisecu dzieliło ich zaledwie pół godziny marszu, okazały się żałośnie niedokładne, chybione o co najmniej godzinę, ale w końcu do niego dotarli: znaleźli wąską, krętą dróżkę, na wpół zarośniętą i pożłobioną koleinami po przejeździe wozów. Rosacher usiadł na środku drogi, zadarł głowę i zapatrzył się na sklepienie lasu. Carlos przysiadł na skraju traktu, na grudzie gliny oplecionej bluszczopodobnym zielskiem.

– Już niedaleko – powiedział. – Dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut.

– Twoje minuty są wyraźnie dłuższe od moich – mruknął ze złością Rosacher.

Carlos nie odpowiedział, ale było widać, że nie jest zadowolony. Zamiast go przeproszać, Rosacher zagadnął po chwili:

– Jak ludzie mogą mieszkać w takim miejscu?

– Masz na myśli dżunglę? Nie jest taka zła... Prawdę mówiąc, jest fascynująca. Uwielbiam tu przychodzić.

– Powiedział człowiek, który może sobie pozwolić na ochronę przed wszystkim, co w dżungli najgorsze.

Król chrząknięciem przyznał Rosacherowi rację, ale odparł:

– Taka ochrona również ma swoje granice, jak dobitnie pokazała wczorajsza noc. Ale masz rację, dżungla to nie miejsce dla człowieka. Ludzie mieszkają tutaj, bo tu się urodzili; nie mają ani motywacji, ani pieniędzy, żeby się przenieść gdzie indziej. Mimo to szkoda byłoby ją całą wykarczować.

– Wątpię, żeby do tego doszło.

– Wiem, że lasy w zachodniej Europie nie są tak śmiertelne jak nasza dżungla, ale kiedy człowiek zapragnął powiększyć przestrzeń życiową, zaczęły znikać. To samo czeka nas tutaj. Pewnego dnia nie będzie już ani dżungli, ani zamieszkujących ją zwierząt.

– Nie wierzę, żeby państwa litoralu kiedykolwiek osiągnęły taki poziom stabilizacji gospodarczej jak w Europie.

– To mi wygląda na wyjątkową krótkowzroczność z twojej strony.

– Kraje leżące na północ od Temalaguy mają nad nią ogromną przewagę zarówno jeśli chodzi o wielkość, jak i zasoby naturalne. Od niemal stu lat prowadzą wymierzoną przeciw wam kampanię opresji; spójrz tylko, jak mocno koncerny owocowe zaznaczyły swoją obecność. I będą was dalej naciskać, dopóki wasi przywódcy nie wykażą się mocnym kręgosłupem moralnym albo odpornością na przekupstwo. Oczywiście nie mówię tu o tobie.

– Taki argument brzmi dziwnie w ustach człowieka, który przez całe dziesięciolecia aktywnie wspierał jednego z takich przywódców. – Carlos z ożywieniem podrapał się po łydce. – Ale masz rację: jeżeli chcemy, żeby nasi łapówkarze zaczęli przypominać mężów stanu, potrzebujemy lepszych przywódców.

Rosacher się roześmiał.

– Celna uwaga – przyznał.

– Tak czy inaczej, dżungla wkrótce pozostanie tylko wspomnieniem, obojętne, czy to my ją wykarczujemy, czy też ktoś nas w tym wyręczy. Mój ojciec polował tu na jaguary; dzisiaj ktoś, kto spotka jaguara, może się uważać za szczęściarza.

– Ja uważam się za szczęściarza właśnie dlatego, że żadnego nie spotkałem – zauważył Rosacher.

– Może byś tak nie mówił, gdybyś widział to co ja. Dzień drogi stąd jest jezioro. Ojciec często mnie tam zabierał. Jezioro Izabal. Znajdowaliśmy sobie dogodny punkt widokowy wysoko nad wodą, przed świtem ukrywaliśmy się w trawie i czekaliśmy, aż jaguary zejną do wodopoju z samego rana, gdy mgła otulała niemal wszystko dookoła. Widok wynurzającego się z mgły jaguara... Miałem wtedy wrażenie, że cofam się w czasie do pierwszych dni po stworzeniu świata.

Carlos odchylił się do tyłu, wsparty na wyprostowanych rękach, z dłońmi ginącymi w gąszczu ciemnozielonych liści. Rosacher miał właśnie sarkastycznie skomentować jego słowa, gdy wtem król usiadł prosto, krzyknął z bólu i potrząsnął lewą ręką: prążkowany wąż o długości najwyżej dwudziestu cali wbił zęby jadowe w fałdę skóry między kciukiem i palcem wskazującym i zawisł tam niczym jakaś prymitywna ozdoba w czerwone, żółte i czarne paski. Król spojrzał Rosacherowi w oczy. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, jakby rozpaczliwie pragnął przekazać mu jakąś informację, ale z jego ust dobyło się tylko gardłowe, chrypliwe sapnięcie, zanim runął na wznak. Jego twarz zniknęła w zaroślach, wąż cały czas wpijał się w skórę dłoni. Przez chwilę ciałem króla wstrząsały dreszcze, zanim w końcu znieruchomiało. Rosacher, który przez ten czas zerwał się na równe nogi, wstrząśnięty i zdezorientowany patrzył, jak wąż chowa zęby jadowe, prześlizguje się wśród liści i znika z osobliwie beztróskim machnięciem ogona.

Wiedział, że król jest martwy, ale i tak spróbował namacać puls; dopiero gdy go nie znalazł, poczuł się zagrożony. Dżungla zacisnęła się wokół niego, powietrze pociemniało, do tego te dźwięki – świergot i cykanie, bzyczenie much, ćwierkanie i szczebiotanie z tysiąca gardeł, zaproszenie na ucztę, jaką wkrótce stanie się ciało króla, wezwanie do stołu dla całej armii maleńkich istot rodem z koszmarów... Natura naparła na niego ze wszystkich stron, aż odruchowo się cofnął, nerwowo strzelając oczami na boki, żeby w porę dostrzec następne zagrożenie,

następny złowróżbny kształt. Najpierw taka noc, a teraz to! Czyżby po tym, jak pierwsza próba zgładzenia Carlosa się nie powiodła, wąż stał się wykonawcą woli Griaule'a?

Rosacher siłą woli narzucił sobie spokój i uklęknął przy królu. Odwróciwszy zwłoki, wyjął tkwiący w pochwie u pasa nóż do skórowania. Oczy Carlosa łyskały białkami spod opadłych powiek, piana zebrała mu się w kącikach ust. Rosacherowi przeszło przez myśl, że może zostać obwiniony o śmierć króla, i to nawet nie do końca niezasażenie. Gdyby nie sprowadził Fredericka do Temalaguy, król w ogóle nie wyruszyłby na polowanie... Chociaż trudno byłoby mieć do niego pretensję o węża – chyba żeby rozpatrywać jego winy w jakimś wszechogarniającym kosmicznym kontekście. Już zamierzał odejść, gdy nagle uświadomił sobie, że Carlos w żadnym momencie nie zasugerował, w którym kierunku powinni ruszyć traktem. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą; miał nadzieję dostrzec jakąś wskazówkę lub, gdyby takowej zabrakło, wyciągnąć wnioski ze stanu otoczenia, może wypatrzeć ślady bytności człowieka. Towarzyszyło mu jednak tylko miarowe kapanie deszczu, przytłaczająca zieleń, fantasmagoryczne kształty kreślone pospołu przez liście, pnącza, pniaki, pleśń i podkreślające je cienie, oraz wyimaginowane bicie serca wygłodniałego drapieznika. Wydawało się, że królewskie zwłoki wytwarzają własną grawitację, która przyciągała Rosachera i nie zamierzała ustąpić. Dopiero kiedy przykrył twarz Carlosa chusteczką znaną w kieszeni kaftana, siła przyciągania zelżała.

Ponieważ wąż ukąsił króla w lewą rękę, Rosacher postanowił ruszyć w tym właśnie kierunku. Rozmyślał także o tym, co powie ludziom: wyruszył z Carlosem na polowanie, wydarzyła się tragedia, uciekli, spłynęli rzeką i wylądowali nieopodal traktu, na którym Carlos miał spotkanie z wężem. Tej opowieści tak bardzo brakowało jednak kontekstu, że zakrawała na kłamstwo; Rosacher przypuszczał, że dodatkowo wrażenie to potęgują jego wątpliwości, czy właściwie ocenił Carlosa jako człowieka. Carlos mógł być narcyzem, lecz w swojej odmianie narcyzmu otarł się o

granice zdolności rodzaju ludzkiego do zrodzenia człowieka dobrego.

Zastanawiał się, czy nie wygłosić krótkiej mowy pożegnalnej, ale nie bardzo wiedział, komu miałby powierzyć królewskiego ducha, ruszył więc przed siebie, w stronę Chisecu, w głąb nowego zielonego piekła, gotowy na spotkanie z nieznanym, skoncentrowany na czekającej go drodze i niechętny rozważaniom o tym, co może się czaić za jego plecami.

Rosacher spędził w Temalagui osiem lat. Dysponując funduszami więcej niż dostatecznymi i odcięty od dawnych obowiązków, nie śpieszył się do powrotu do dawnego życia. Kupił sobie dom w dobrej dzielnicy Alta Miron i zajął się handlem egzotycznymi ssakami i ptakami, z których wiele trafiło do europejskich ogrodów zoologicznych. Głównym obiektem jego zainteresowań pozostał jednak Frederick, który w dalszym ciągu terroryzował dżunglę na wschód od stolicy. Nowy król – kolejny Carlos – nie odziedziczył po ojcu altruizmu ani troski o podwładnych i kompletnie nie zajmował się możliwością zapolowania na Fredericka. Alta Miron było wspaniałym miastem i oferowało najróżniejsze rozrywki, ale Rosacher rzadko wychodził z domu, skąd – motywowany okrutnymi czynkami Fredericka – kierował organizowaniem kolejnych polowań. Sam nie brał w nich udziału, dawno bowiem pogodził się z myślą, że nie jest człowiekiem odważnym. Czasem, wspominając Carlosa, powątpiewał w ogóle w istnienie prawdziwej odwagi i dochodził do wniosku, że brawura króla brała się z jego źle rozumianej niezniszczalności, a odwaga w swej pospolitszej odmianie nie jest niczym innym jak towarem, który można kupić. Nie był jednak pewien, czy sam w to wierzy: ludzie, których posyłał przeciw Frederickowi, znacznie lepiej niż on panowali nad swoim strachem, i nawet jeśli ich odwaga opierała się na perspektywie zarobku, to przecież nie przestawała od tego być odwagą. Sowiec ich wynagradzał, pilnował, żeby byli w pełni świadomi natury bestii i zagrożeń związanych z polowaniem na nią. Niektórzy ginęli podczas tych wypraw, ale nie zniechęcało to ich następców, i chociaż nie udało im się zabić Fredericka, z upływem lat tak bardzo uprzykrzyli mu życie, że zepchnęli go na południe, na tak zwane Febryczne Wybrzeże, rzadko zaludnione i odwiedzane głównie przez

szmuglerów i rozbójników. Rosacher uznał, że w tych okolicznościach jego odpowiedzialność za Fredericka się kończy, zaprzestał organizowania łowów i zostawił zamieszkujące tamte rejony ludzkie szumowiny na pastwę losu. Spodziewał się, że Frederick wycofa się w głąb dżungli, by z dala od ludzi spokojnie polować na liczne w tej okolicy zwierzęta.

Doszły go nowiny z Teocinte: mospielska kampania Makdessiego zakończyła się sukcesem i – chociaż sam Makdessi zginął – położyła kres rządów kardynałów. Wielu z nich zawisło na szubienicach na placu przed pałacem. Na tę wieść Rosacher przypomniał sobie Arthura, który z prawdziwą radością przewodniczyłby uroczystej egzekucji. Czarne przewidywania Carlosa w kwestiach gospodarczych się nie sprawdziły. Zastrzyk finansowy w postaci zdobytych w Mospielu bogactw pozwolił oddalić niebezpieczeństwo bankructwa i może nawet na dobre ustabilizowałby gospodarkę Teocinte, gdyby nie Breque, którego rozrzutność utrzymywała kraj w stanie permanentnego kryzysu i uniemożliwiła terminową spłatę zadłużenia. Rosacher przyjmował te wiadomości z coraz mniejszym zainteresowaniem i dopiero po upływie ośmiu lat, gdy Griaule przebudził się z tysiącletniego snu i zniszczył większość miasta, zanim ostatecznie wyzionął ducha i tym samym położył kres produkcji wилu... Dopiero wieść o tych wydarzeniach zmobilizowała Rosachera do odwiedzenia kraju, który niegdyś nazywał swoim domem.

Regularne połączenie promowe pomiędzy Temalagą i Port Chantay dwukrotnie skróciło czas podróży i Rosacher, skorzystawszy z tego dogodnego środka transportu, przybył do Teocinte niespełna dwa tygodnie po śmierci smoka. To, co zastał na miejscu, wstrząsnęło nim. Dom Griaule'a został zrównany z ziemią – podobnie jak całe Morningshade: domy albo uległy zmiążdżeniu przez cielsko smoka, leżące teraz w poprzek zrujnowanego miasta, albo spłonęły w ogniu, którym Griaule rzygnął w ostatnim ataku na świat człowieka. Ogień spopielił także spory kawał miasta poza granicami Morningshade. Zabudowania na Zmiennej Grzędzie ocalały, choć nie bez

szwanku. Tylna część katedry, mieszczącej obecnie sierociniec, legła w gruzach. Budynki rządowe odniosły mniejsze szkody. Wśród zgłiszczy wyrosło rozległe miasteczko namiotowe, zamieszkane przez ludzi ocalałych z zagłady oraz imigrantów, najczęściej zwabionych perspektywą rozszabrowania skarbu, jakim było truchło Griaule'a. Okolicą rządzili rzezimieszki, oprychy i bandyci wszelkiej maści i kto tylko poważył się zapuścić w kręte uliczki Morningshade, brał na siebie pełną odpowiedzialność za swój los. O każdej porze dnia i nocy miasteczko rozbrzmiewało strzałami z broni palnej – to oblężone niedobitki armii Teocinte, usiłujące chronić prawa nabywców, którzy przed śmiercią smoka zawarli umowy przejęcia na własność jego łusek, kości i organów wewnętrznych, odpierały ataki niegodziwców, którzy te same dobra chcieli pojąć nielegalnie. Na cielsku Griaule'a wyroiły się tysiące ludzi zajętych odcinaniem, rąbaniem i odłupywaniem. Zdołali odsłonić jedno ogromne żebro: krwawe kościane przesło wznosiło się teraz nad rojowiskiem dwunogich much niczym olbrzymi, niedokończony łuk triumfalny. Ze szkarłatnych otchłani smoczego ciała również dobiegały odgłosy kanonady. Zainstalowane w pośpiechu windy i wyciągarki mozoliły się przy wrywaniu zębów. Mężczyźni w rzeźnickich fartuchach wywozili na wózkach gigantyczne bryły mięsa. Tak wielu ludzi brało udział w rozbieraniu truchła, piłowaniu kości i łusek, odciąganiu płynów ustrojowych, nawet polowaniu na smocze pasożyty – gigantyczne larwy żerujące we wnętrzościach – że Rosacher odnosił wrażenie, jakby oglądał unicestwienie zwyczajnej jaszczurki dokonywane rękami lilipucich hominidów, wyęcających w tej roli mrówki i żuki, a zamieszkujących osadę domków z brudnoszarego płótna, które skrywało większość ich odrażających obyczajów przed wzrokiem postronnych osób. Ten widok jednocześnie napawał zgrozą i porażał epickim rozmachem; nasuwał skojarzenia z majestatem przyrody i stanowił nieodparty komentarz na temat plugawej natury rodzaju ludzkiego. Rosacher cieszył się, że ciało Griaule'a gnije w tempie wprost proporcjonalnym do jego metabolizmu za życia: na razie w powietrzu unosiła się zaledwie delikatna nuta

odoru, który wkrótce miał przesyć całą okolicę.

Rankiem następnego dnia po przyjeździe odwiedził Breque'a w domu – biało tynkowanym dworku w stylu kolonialnym, krytym czerwoną dachówką, stojącym w palmowym gaju i otoczonym wysokim kamiennym murem patrolowanym przez uzbrojonych strażników. Położona po drugiej stronie Zmiennej Grzędy posiadłość uniknęła zniszczenia i zdawało się, że istnieje w jakiejś odrębnej, spokojnej krainie, bardzo odległej od przeciwległego stoku wzgórza, który odczuł skutki smoczego gniewu. Służący zaprowadził Rosachera po kręconych schodach na piętro i dalej korytarzem wyłożonym mahoniową boazerią ozdobioną scenami z najnowszej historii Teocinte, wśród których poczesne miejsce zajmował osobisty triumf Breque'a, czyli zwycięstwo nad Mospielem. Trafili w końcu do przestronnej, choć ponurej sypialni, gdzie rodzina Breque'a zebrała się wokół wielkiego jak stół bankietowy łoża z baldachimem z zielonego aksamitu. W spoczywającej na łożu wyniszczonej postaci Rosacher z trudem rozpoznał Breque'a. Padająca spomiędzy zaciągniętych zasłon blada pręga światła rozpraszała się na drobinach kurzu i kładła wąskim paskiem na środku łóżka. Powietrze było przesycone zapachem medykamentów, głównie kamfory. Już wcześniej doszły Rosachera wieści o chorobie rajcy, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Wątle pasemka siwych włosów kładły się na plamiastej skórze głowy mężczyzny. Zapadnięta twarz była upstrzona wątrobowymi plamami, kościste dłonie podrygiwały na przykryciu niczym para morskich stworów porzuconych podczas odpływu na płyciźnie i z wolna dogorywających w słońcu. Na polecenie Breque'a jego żona – niegdyś wielka piękność, dziś zasuszony strzęp kobiety – zabrała z pokoju ich dwóch dorosłych synów, on zaś ledwie dosłyszalnym szeptem przywołał Rosachera. Bliżej łóżka zapach kamfory jeszcze się wzmaczał. Czające się w półmroku pod ścianami ogromne ciemne szafy wyglądały jak dwaj milczący zakapturzeni świadkowie.

– Nic się nie zmieniłeś, przyjacielu. – Głos Breque'a zabrzmiał mocniej, jakby bliskość Rosachera dodała mu sił. Musiał jednak

głęboko zaczerpnąć tchu, zanim mógł wypowiedzieć następne zdanie. – Zdumiewająco dobrze się trzymasz.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki chory – przyznał Rosacher.

– Całe życie jest chorobą, czy to ciała, czy duszy. Przywykłem do swoich słabości. A to... – Breque lekko skinął drżącą prawą ręką: mierne echo gestu, który w jego lepszych latach uchodziłby za zamaszysty. – Śmierć to kończąca życie nędzna szmira, na którą wszyscy dostajemy bilet... Może wszyscy poza tobą.

Wcześniej Rosacher zamierzał domagać się od rajcy zadośćuczynienia za zdradę, lecz widząc go w takim stanie, stracił do tego zapał.

– Nie jestem już taki jak dawniej – zapewnił. – Może nie wyglądam na swoje lata, ale możesz mi wierzyć, że boleśnie odczuwam każdy przeżyty rok.

Przysunął sobie stojące pod ścianą krzesło, obrócił je i usiadł przodem do Breque'a. Nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, opisał ze szczegółami swoje spotkanie z Carlosem, po czym – założywszy, że twierdzenia Carlosa odnośnie do jego braku planów wobec Teocinte były prawdziwe – zapytał Breque'a, co właściwie chciał osiągnąć, wyznaczając mu tak nieistotną w gruncie rzeczy misję.

– Nie chciałem, żebyś się tu kręcił, kiedy zaatakuję Mospiel. Twoja obecność mogłaby mieć niekorzystny wpływ na przebieg kampanii. Spodziewałem się poza tym, że jeżeli uda ci się zabić króla, wpływy Onyksowego Tronu znacząco osłabną, a to przecież nic złego. Cóż, pomyliłem się nie pierwszy i nie ostatni raz. Ten nowy Carlos wydaje się bardziej skłonny do poszerzenia terytorium Temalaguy niż jego ojciec.

Oczy rajcy błyszczały coraz jaśniej, w miarę jak się rozkręcał. Wpatrywał się w Rosachera z niepokojącym zapałem i pewnością siebie. Rosacher próbował mu opowiedzieć o tym, jak spędził ostatnie osiem lat, ale Breque nie dał mu dojść do słowa.

– Przez cały czas miałem cię na oku – przyznał. – Nawet kupiłem od twojej firmy kilka ptaków ku uciechu dzieci. Oczywiście słyszałem również o twoich zmaganiach z Frederickiem. Przegnaliście go na Febryczne Wybrzeże, prawda?

– Podobno spodobało mu się polowanie w dżungli vis-à-vis Kukurydzianej Wyspy. Zarośla mangrowe uniemożliwiają osiedlanie się tam ludzi, a w lasach wprost roi się od dzików i tapirów. Mam nadzieję, że więcej o nim nie usłyszymy.

– Chciałbym go zobaczyć.

– Widziałem go wtedy nad Rio Coco i... to nie jest miłe wspomnienie.

– Mimo wszystko... – powiedział Breque i umilkł.

Rosacher zaczął się zastanawiać, jak uprzejmie wymówić się od dalszej rozmowy. Wyglądało na to, że niewiele mają sobie z Brekiem do powiedzenia, mimo że przecież łączyła ich wspólna przeszłość. Miał świadomość, że jego obecność sprawia rajcy przyjemność, ale wiedział również, że jeżeli przeciągnie swoją wizytę ponad miarę, sytuacja zrobi się niezręczna. Upłynęło dziesięć minut, oddech Breque'a stał się głębszy i bardziej miarowy. Myśląc, że rajca zasnął, Rosacher spróbował wstać, ale wtedy ręka Breque'a wystrzeliła w bok i palce zacisnęły się na przegubie dłoni gościa.

– Zostań – poprosił Breque. – Jeszcze chwilę.

Gwałtowny wysiłek najwidoczniej go wyczerpał: zasapał się, świszcząco mu w płucach, leżał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt baldachimu – a mimo to nie rozluźnił uścisku na nadgarstku Rosachera. W końcu obrócił głowę na bok, spojrzął Rosacherowi w oczy i z wyraźnym wysiłkiem stęknął:

– Byliśmy wielcy!

Rosacher nie wiedział, co powiedzieć, gdyż w słowach Breque'a zabrzmiała jednocześnie pewność tej proklamacji, jak i prośba o potwierdzenie jej słuszności.

– Wiem, nie zgodzisz się ze mną – podjął rajca – ale naprawdę byliśmy wielcy. Ty nawet bardziej niż ja. Ja próbowałem dokonywać rzeczy wielkich, lecz bez powodzenia. A tobie się udało.

– I co niby osiągnąłem? Bogactwo? Ludzi zamożnych nie brakuje, ale mało który z nich jest wielki.

– Zabiłeś Griaule'a! W którym to dziele byliśmy zresztą współnikami. Wspólnymi siłami unicestwiliśmy potwora, jakiego

świat nie znał.

– To Cattanay zabił smoka.

– Cattanay był tylko narzędziem. To twój geniusz go natchnął, mój zaś polegał na tym, że udzieliłem ci wsparcia i pozwoliłem działać. Tymczasem ja zostanę zapamiętany wyłącznie przez swoje szaleństwo, a o tobie prawdopodobnie wszyscy zapomną. Mimo to... – Wargi Breque'a zadrżały. – Mimo to byliśmy... byliśmy wielcy! – Najpierw rozluźnił palce, a w końcu całkiem puścił nadgarstek Rosachera. – Nie zgadzasz się, wiem. Musiałeś trzymać wszystkich na dystans, nieludzki dystans, żeby dokończyć swoje dzieło. Jedyne osobiste pragnienie, jakie udało ci się zaspokoić, to pragnienie bycia nieszczęśliwym. Jedyne kobieta, którą kochałeś, miała jeszcze bardziej depresyjną naturę od ciebie. Ale kiedy usłyszysz te słowa z moich ust, może przestaniesz oceniać siebie zbyt surowo. Taką mam nadzieję.

Rosacher wbrew sobie wzruszył się przemową Breque'a. Łzy napłynęły mu do oczu i chciał odpowiedzieć podobnym pocieszeniem, ale nie umiał znaleźć właściwych słów; kwaśniały mu w ustach i rozplływały się, zanim zdążył je wypowiedzieć. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko posiedzieć przy Breque'u jeszcze trochę, do czasu, gdy rajca poprosił go, żeby zawołał jego żonę i synów. Kiedy weszli do sypialni, Rosacher zamknął za nimi drzwi, usiadł na ławce w korytarzu i czekał na to, co nieuchronne. Cofnął się pamięcią do dnia, w którym poznali się z Brekiem: wtedy też siedział na ławce, tyle że przed salą rady miejskiej. Zamyślił się na chwilę nad cyklicznością ich losów. Patrzył na mahoniową boazerię, na której rzeźbione okręty zbliżały się do nadmorskiego miasta, i nagle zdał sobie sprawę, że ogląda nie wizję przeszłości, lecz przyszłość, która nigdy się nie ziściła: płaskorzeźbę zamówiono przed zaplanowanym przez Breque'a najazdem na Temalagę. Na tę myśl posmutniał jeszcze bardziej i przypomniał sobie ostatnie przesłanie Breque'a. Nie podważał jego słuszności ani celowości, próbował je tylko zakwalifikować do kategorii przejawów życzliwości potworów, łagodności bestii, dobroci ludzi, których sumienia obciążała śmierć tysięcy ofiar, a którzy u kresu życia próbowali

błogosławić światu.

Przesiedział tak piętnaście, może dwadzieścia minut, gdy wtem przeszedł go silny dreszcz, jakby następstwo jakiegoś niezwykle ważkiego wydarzenia. Podszedł na palcach do drzwi sypialni i je uchylił; przypuszczał, że doznanie sprzed chwili oznaczało odejście duszy Breque'a. Zobaczył jednak, że starszy z synów pochyła się nad rajcą, niemal przykłada ucho do jego ust, nasłuchując jakichś poleceń lub życzeń ojca. Zamknął drzwi i wrócił na ławkę. Wciąż jeszcze odczuwał ślad tamtego wydarzenia, drżenie przeszywało go jak niegasnące – choć niesłyszalne – wibracje gongu, aż doszedł do wniosku, że musi obwieszczać odejście innej duszy, znacznie potężniejszej niż dusza Breque'a; że oto jakieś kluczowe zranienie, jakaś niedawna krzywda wyrządzona cielesnej powłoce smoka wyzwoliła jego ducha z oków rozkładającego się truchła i ten, uwolniony z więzienia ciała, ostatni raz rzucił cień na miasto, na którym od tak dawna chciał się zemścić... A może był to po prostu źle zrozumiany objaw gnicia samego Rosachera, drobne zaburzenie rytmu serca, delikatna palpacja.

Zza drzwi sypialni dobiegł przytłumiony lament. Rosacher wstał i obciągnął marynarkę. Mógł być pewny, że będzie wydawał właściwe dźwięki i wypowiadał odpowiednie słowa, bo choć ludzie pozostali dlań niepojęci na poziomie emocjonalnym, w sytuacjach oficjalnych zawsze umiał się znaleźć i zachować stosownie do okoliczności.

Epilog

Na wyspie, która leży daleko od wszystkiego, Rosacher zbudował dom. Blisko brzegu. Z werandy ma widok na ocean, drzewo nerkowca i pas płowego piasku poprzecinany wstęgami wilca. Jeżeli wychyli się nieco w przód i spojrzy w lewo, zobaczy dom sąsiada stojący po drugiej stronie kępy palm sabałowych – pudełko zbudowane na palach dla ochrony przed przytłuwami morza, pomalowane na jasnoniebieski kolor, z nieco ciemniejszym błękitem stolarki okiennej. Pod domem znajduje się zagroda dla świń. Od czasu do czasu, bardzo rzadko, sąsiad – czarnoskóry mężczyzna imieniem Peter – zabija i rozbiera jedną ze świń; pozostałe najwyraźniej niczego nie zauważają. Z drugiej strony, na prawo od Rosachera, plaża – ograniczona rzędem przygiętych wiatrem palm i zaśmiecona odłamkami kokosowych skorup – ciągnie się aż do zdradliwego cypla zwanego Punta Manabique, na którym nikt nie chce mieszkać. Nocami ludzie chodzą po plaży, przyświecając sobie latarniami. Zdarza się, że poleje się krew – pójdzie o kobietę, czasem o ziemię, ale poza tym okolica jest spokojna, i właśnie to jej wyciszenie, ta beztraska niewrażliwość na mało istotne namiętności i niepokoje przekonała Rosachera do zapuszczenia tutaj korzeni.

Często myśli o Griaule’u – jakżeby mógł inaczej? – i czasem dochodzi do wniosku, że być może był świadkiem ewolucji boga. Jego zdaniem bogowie są wytworami nadzwyczajnych okoliczności, a cóż może być bardziej nadzwyczajnego od tysiącletniego zniewolenia, od stuleci wypełnionych marzeniami o ucieczce, od ciągnącej się przez wieki nauki manipulowania ludźmi i naginania wydarzeń do swojej woli, gromadzenia coraz większej mocy, tworzenia konwertytów, by na koniec, po rzeczywistym odzyskaniu wolności, przejść w bezcielesny stan istnienia, porzucić swoich poddanych i w ostatnim etapie ewolucji udać się w zupełnie inne miejsce, by tam oddać się grze,

której zasad nikt poza nim nie rozumie? Kiedyś taka idea wydawałaby się Rosacherowi ekscytująca; dziś wywołuje wyłącznie znudzenie. Idee w ogóle przestały go interesować, aczkolwiek boli go fakt, że życie nie ma wyraźnie określonej sumy, spójnego kształtu; że jest tylko sekwencją kiepsko zagranych scen w poronionej sztuce teatralnej.

Przez bardzo długi czas bał się, że nigdy nie umrze; że Griaule obdarzył go niechcianą nieśmiertelnością. Odkąd jednak zaobserwował u siebie pewną nieruchawość, niepewny krok, lekkie zawężenie pola widzenia – ot, drobne oznaki zużywania się ciała – czuje się w swojej skórze dobrze jak nigdy przedtem. Wszystko, czego potrzebuje, świat sam podrzuca mu pod drzwi. Dzieci sąsiadów biegają po plaży przed jego domem, a on przygrywa im na gitarze (na której zaczął się uczyć grać wkrótce po przybyciu w to miejsce) i zabawia je topornie rzeźbionymi drewnianymi zabawkami własnej roboty. Najlepiej idzie mu rzeźbienie piszczalek. Kobiety przepływają przez jego życie, zatrzymują się na kilka dni, na tydzień, on jednak nie próbuje ich zatrzymywać, chce, żeby odeszły, a one to wyczuwają i rzeczywiście odchodzą. Ostatnio często śni mu się jedna konkretna kobieta, dyskretnie atrakcyjna, szczupła brunetka o ciętym dowcipie i łagodnym sposobie bycia. Wyobraża ją sobie w białej letniej sukience z subtelnym kwiatowym deseniem. Drażni się z nim, nabija się z jego pozerstwa, drwi z jego słabostek, ale czyni to z czułością. Nie jest dla niej pępkiem świata – ona ma swoje własne obsesje, którym regularnie folguje, pielęgnuje je z fantazją artysty i konsekwencją ogrodnika. W łóżku jest zajadle skoncentrowana, przybiera różne postaci, dopasowuje się do jego aktualnego kształtu, bierze nie mniej, niż daje, obiecuje mu wieczność, nie mówiąc ani słowa. Rosacher myśli, że nigdy jej nie spotka; że jest kobietą, jaką mógłby poznać, gdyby nie związek, który połączył go z Griaule'em; gdyby życie toczyło się w leniwym rytmie pruskiego walca, a nie pędziło w takt tańca derwiszów. A mimo to, mając pełną świadomość, że ten sen będzie musiał mu wystarczyć, szuka jej we wszystkich kobietach, które spotka.

Wieczorami ludzie tworzący plażową społeczność przychodzą posiedzieć u niego na werandzie, najczęściej w pojedynkę, choć zdarza się i tak, że odwiedzi go cała rodzina. Rozmawiają wtedy o tym i o owym, o pogodzie, o łowieniu ryb, o nadziejach, jakie wiążą z dziećmi, o zasłyszanych w miasteczku plotkach. Od czasu do czasu dają upust niezadowoleniu z tego, jaki obrót przybrało ich życie, narzekają na los, mówią o swoich potrzebach: przydałyby się nowe sieci, sukienka na komunię najmłodszej córki, poziomicca, większa łódź, lepszy zegar, nowa krowa w miejsce tej, która niedawno zdechła. I często jak za sprawą cudu rankiem znajdują komunijną sukienkę schludnie złożoną na progu domu, kołyszący się na kotwicy skif, sieć rozwieszoną na palach rozchwierutanego pomostu. Rosacher wie, że te drobne prezenty są kolejnym dowodem na życzliwość potworów. Nie ma dzieci i jest wdzięczny, że nie musiał patrzeć, jak jego syn z chłopca wyrasta na mężczyznę; jak w przeciwieństwie do ojca staje się człowiekiem zrównoważonym w swoich nawykach i osiągnięciach; jak uważa się za człowieka przyzwoitego i prawego, by na koniec odkryć w sobie naturę bestii i fundamentalną obojętność na cierpienie innych. Ludzie z plaży stali się jego adoptowanymi dziećmi, które może bezpiecznie trzymać na dystans – lub im błogosławić, gdy najdzie go ochota. Wydaje się, że rozumieją i szanują anonimowy charakter jego dobroczynności i naruszają go tylko w chwilach upojenia, dopominając się o pieniądze, alkohol lub inne zbędne dobra, które nie przysłużyłyby się niczemu poza wpadnięciem w uzależnienia. Na takie prośby nie reaguje.

Niedawno zaczął prowadzić dziennik. Notuje w nim urywki rozmów, spostrzeżenia odnoszące się do ludzi i świata natury, skrótowe opisy, ironiczne komentarze. Oto jeden z ostatnich wpisów:

Dwa tygodnie temu, idąc plażą, natknąłem się na drewnianą piszczałkę mojej roboty, beztrąsko porzuconą przez zapominalskie dziecko i na wpół zagrzebaną w piasku. Maleńki

krab, nie większy niż paznokieć mojego małego palca, urządził sobie w niej dom. Związek kraba z piszczalką wydał mi się nieodparcie atrakcyjny przez swoją osobliwość – do tego stopnia, że zabrałem piszczalkę do domu i położyłem na poręczy werandy. Krab musiał być przerażony. Przez cały wieczór nie wychylał się z kryjówki, w końcu udało mi się jednak wywabić go pozostałymi po kolacji okruchami ryby. Podjadłszy, zaczął rażno kursować po poręczy w tę i z powrotem, jakby nagle nabrał pewności siebie i wiary w swój nowy dom, w którym czuł się bezpieczny od znanych zagrożeń i kaprysów morza.

Od tamtej pory dokarmiam go co wieczór, a on rośnie. Niedługo piszczalka przestanie mu wystarczać; wyjdzie z niej wtedy po raz ostatni i ruszy w świat w poszukiwaniu jedzenia i schronienia. Może wypłynie w morze wraz z odpływem i na krótki czas stanie się żeglarzem. Wyobraziłem sobie, że oto mam okaz wśród krabów absolutnie wyjątkowy, skorupiakowego geniusza, który – wychowany w muzycznym domu – nauczył się we wszystkim szukać wielkiego planu, poczuł natchnienie, by zbadać lądy leżące za Punta Manabique i zobaczyć miejsca, których ja, zamknięty w swojej kruchej skorupie, obejrzeć nie mogę, krainy zachodzącego słońca, plaże skąpane w odcieniach różu i brzoskwini, indygowe klify, gwiazdy posyłające z przepaści kosmosu migotliwe zwiastuny spektakularnych królestw światła, nieskończoność odpowiedzi, morał, którym zamknie się nasza mało ważna historyjka... Wtedy jednak kres moim fantazjom położył Walker James, który przysiadł na stopniu werandy. Wszelkie myśli o odpowiedziach i morałach wywietrzały mi z głowy, gdy słuchałem, jak opowiada o swoim dniu, o córeczce cierpiącej na ból ucha, o gabarytach swojej nagradzanej maciory, o zachłanności właściciela miejscowej karczmy, człowieka, który „nie postawiłby ci drinka, chyba że wcześniej słoneczny duch zstąpiłby na ziemię i skwaśił mu całą whisky”. Na wyspie pełnej gawędziarzy Walker uchodzi za jednego z najlepszych. Tamtego wieczoru opowiedział mi o tym, jak karczmarz zakochał się w Hiszpance z kontynentu i chwycił się coraz bardziej groteskowych pomysłów, by zaskarbić sobie jej względy.

Posiedział potem jeszcze ze mną, wsłuchany w ciężki łoskot przyboju i szum palmowych liści tarמושonych północnym wiatrem, który groził przerodzeniem się do rana w sztorm. Niebo nad Manabique płonęło odpryskami złocistego ognia. W końcu Walker usłyszał kobiecy głos nawołujący go po imieniu z nad brzegu morza. Wstał, przeciągnął się i zadął głowę, żeby rozluźnić napięty kręgosłup.

– Spójrz, Richardzie. – Wskazał na niebo. – Czy to nie piękne? Nie smuci cię to czasem, że nigdy nie usłyszymy historii, która byłaby godna takiego nieba i takich gwiazd?